SONDAŻ POLITYKI
Polacy o Ukraińcach

Z ciążą do Niemiec • Super maturzyści • Mądre ptasie móżdżki
Projekt Petru • Z kranu czy z butelki? • Spór o „Odyseję”

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY 1

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 31 (3575), 29.07–4.08.2026
USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Morawiecki idzie na swoje

Jakie będą skutki rozłamu na prawicy

s. 4, 18

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 31>
Wydanie w sprzedaży do 4.08.2026

© SHUTTERSTOCK AI/LEL

ZAPRASZAMY NA OLIMP

W sprzedaży

116 stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 4a128c0fe4

POLITYKA

w numerze 31 29.07–4.08.2026

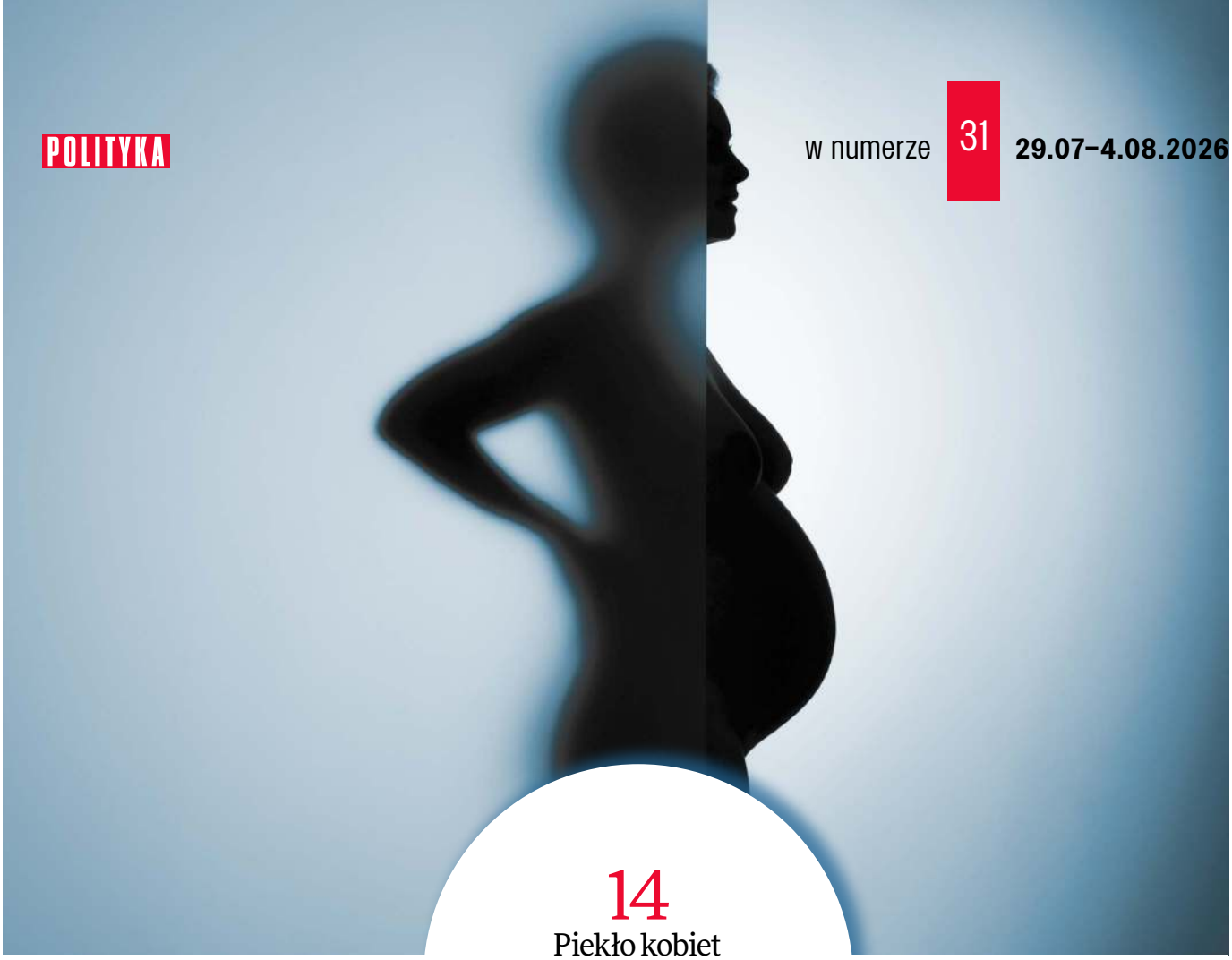

© SHUTTERSTOCK

14
Piekło kobiet

Tematy tygodnia

10 Mariusz Janicki SONDAŻ POLITYKI **Rośnie niechęć do Ukraińców**
14 O Polkach w ciąży, które muszą uciekać do Niemiec, by ratować życie – wstrząsająca rozmowa z dr **Marią Kubisą**, ordynatorką w szpitalu w Prenzlau

Polityka

18 Wojciech Szacki **Największy rozłam w dziejach PiS**
21 Rafał Kalukin **Projekt Petru**

Społeczeństwo

24 Joanna Cieśla **Andrzej Wachna – maturzysta na 100 proc. Jak to się robi?**
28 Violetta Krasnowska **Gang Różowej Pantery**
31 Katarzyna Kaczorowska **Wygrał fortunę w Anglii i... wraca do Polski**
34 Zbigniew Borek **Prosto o Krzywym Lesie**

Rynek

38 Joanna Solska **Wojna kranówki z wodą butelkowaną**
41 Adam Grzeszak **Mamy polski przemysł kosmiczny**

Świat

44 Agnieszka Lichnerowicz ROSJA – UKRAINA **Armie najemników**
47 Łukasz Wójcik **Basen – arena rasizmu**
50 Katarzyna Tubylewicz SZWECJA **Pastorka skandalistka – kłopotliwa żona premiera**
52 Ziemowit Szczerek BOŚNIA I HERCEGOWINA **Zlepiona kraina**

Nauka/projektpulsar.pl

54 Agnieszka Krzemińska **Królewskie odkrycie w wileńskiej katedrze**
57 Piotr Tryjanowski **Dowody na ptasią inteligencję**
60 Margit Kossobudzka-Lipińska **Nieetyczna biologia syntetyczna?**

Historia

62 Jacek Snopkiewicz **Generał Geibel – morderca Warszawy**
65 Czy Majowie naprawdę byli okrutni, opowiada dr hab. **Jarosław Źrałka**
68 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

74 Janusz Wróblewski **Gorąca debata wokół „Odysei" Christophera Nolana**
77 **Agata Grzybowska**, fotoreporterka i fotosistka, o tym, jak się trafia z barykad na czerwony dywan
80 Piotr Sarzyński **Igor Mitoraj – wielki rzeźbiarz czy producent kiczu?**
84 **Tom Hiddleston**, gwiazda filmowa, serialowa i teatralna, o swoich pasjach artystyczno-historycznych

Ludzie i style

93–97 • **Gniotki dla dorosłych**
• **Jazda z kupą**
• **Krypny od creepy**
• **Winiarskie genealogie**
• POCZTÓWKA POLITYKI **Egipt – niewidoczna autokracja**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **70** Afisz • **87** Witkowski • **88** Hartman
• **89** Lis • **90** Do i od redakcji
• **91**, **98** Galeria POLITYKI • **92** Sulej
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 4a128c0fe4

Demokraci z odzysku

Mariusz Janicki

Wygląda na to, że w PiS chyba rzeczywiście dokonał się rozłam, a dokładniej – wyrzucono z partii Mateusza Morawieckiego i jego ludzi. Jednak kiedy zamykamy to wydanie, absolutnej pewności jeszcze nie ma, zwłaszcza co do liczby tych, którzy „zrezygnowali z partii", jak to określił prezes Kaczyński. A i Morawiecki z Dworczykiem nadal wysyłają sygnały, że na coś jeszcze czekają, że prezes car ma jeszcze szansę zmienić decyzję podpowiedzianą mu przez złego bojara Sasina. Nawet jeśli to tylko jakieś gierki, wszystko wygląda dość żałośnie. Dopóki zatem nie utworzy się nowy klub Rozwoju Plus, jeszcze wszystko może się zdarzyć, a i potem także (więcej na s. 18).

Zwłaszcza że konflikt w PiS ma charakter personalny, ambicjonalny, może trochę pokoleniowy, a najmniej ideowy. Sam Morawiecki mówi o „sporach w rodzinie", o języku, jakim trzeba łowić wyborców dla prawicy, a jego ludzie dają do zrozumienia, że w końcu znowu stworzą obóz z PiS. Były premier to bowiem pisowiec wzorcowy, jak z katalogu. Jan Rokita stwierdził ostatnio, że jest on wręcz strażnikiem dziedzictwa PiS. To głównie dziennikarze, zwłaszcza ci, którzy w minionej dekadzie tworzyli fanklub byłego premiera, dostawali od niego zaproszenia na eventy, lepienie pierogów i do rządowego samolotu, wmawiają Morawieckiemu, że jest tym „lepszym PiS-em", bardziej światowym, cywilizowanym, w zasadzie prounijnym. Nic na to nie wskazywało przez osiem lat rządów PiS i nic o tym nie świadczy teraz. Morawiecki nie kłóci się z Kaczyńskim o pryncypia demokracji czy przestrzeganie konstytucji, tylko o to, jak najskuteczniej pogonić Tuska. Kiedy Morawiecki był premierem, on i jego „harcerze" nie tylko nie hamowali procesu demontażu praworządnego państwa, ale go popierali, w tym sam Morawiecki, który wielokrotnie z pogardą wyrażał się o niepokornych wobec „reform" Ziobry sędziach, złośliwie o Unii Europejskiej i jej procedurach, był zwolennikiem wszystkich prawicowych fantazmatów, także tych historycznych, a przynajmniej nie zrobił niczego, aby podejrzewać go o odrębne własne zdanie; to już Andrzej Duda incydentalnie miewał propaństwowe przebłyski.

Mateusz Morawiecki jest i pozostanie częścią zasobów radykalizującej się prawicy, bez względu na bieżące ulokowanie na politycznej scenie. Nieprzypadkowo ludzie Morawieckiego zamieszczają pod swoimi wpisami hasło wyborcze Karola Nawrockiego, to ma być teraz ich patron. Czasami jako dowód na to, że Morawiecki jest bardziej europejski, traktuje się dzisiaj jego niechętne wypowiedzi o radykałach typu Braun, ale werbalnie Jarosław Kaczyński też Brauna atakuje. To tylko słowa i strategia – szukanie władzy dla siebie i swoich ludzi, przewodniczy bowiem środowisku nieco młodszych polityków, którzy chcą odgrywać większe role w przyszłych rządach i wynikających z tego bonusach, które ich zdaniem mają nadejść w 2027 r. Dlatego mówienie o tym, że były premier przemodeluje scenę polityczną, naruszy „żelazny duopol", jest o tyle bezzasadne, że był on i jest częścią tego duopolu, to byłoby tylko przestawienie tych samych figur, nadal ze sobą połączonych.

Morawiecki odgrywa jednak istotną rolę, może nawet bardziej dla drugiej politycznej strony, bo dla części elektoratu może rozmywać kontury zasadniczego politycznego konfliktu w kraju. Rozważa się całkiem poważnie, że Morawiecki mógłby tworzyć koalicje z PSL, może z Hołownią i Pełczyńską-Nałęcz, że to jakieś „aspiracyjne centrum". Niektórzy politycy dawnej Trzeciej Drogi dają do zrozumienia, że nie mówią nie. Sam fakt, że traktuje się takie scenariusze jako wyobrażalne, pokazuje, że sukcesywnie zanika podział na obóz broniący zasad demokracji i formacje, które je naruszają i niszczą. PSL głosował razem z PiS za kandydaturą Mateusza Szpytmy, byłego zastępcy Nawrockiego, na szefa IPN, bo to człowiek życzliwy „ruchowi ludowemu". Widać to było także przy okazji wyboru Sylwii Abram-Grzegorczyk na stanowisko rzecznika praw obywatelskich, kiedy po stronie teoretycznie niepisowskiej zarzucano nowej rzecznik, że była zaangażowana w spór PiS kontra PO „po stronie jednej partii". Czyli już nie było po prostu walki o wolne sądy i praworządny ustrój, bo wszystko to może być uznane za aktywność czysto partyjną, a sama liberalna demokracja staje się poglądem politycznym jak inne. Krytyka rządu Donalda Tuska, w wielu przypadkach całkowicie uzasadniona, ma i ten efekt, że jeszcze bardziej normalizuje PiS, a już całkowicie Morawieckiego. To dzisiaj w zasadzie równoważne opcje: którego premiera wolisz, brzmiało pytanie w jednym z ostatnich sondaży (dla „Rzeczpospolitej"). Przewagę zyskał w tym badaniu Tusk – 37,2 proc., a Morawiecki – 24,6 proc., co biorąc pod uwagę, jak faworyzuje się w mediach byłego szefa rządu, jest sygnałem, że może obecna władza nie jest jeszcze na straconej pozycji. Jednak zagrożeniem jest wspomniana normalizacja, nieustanne oswajanie nawet tej radykalnej prawicy, traktowanie Grzegorza Brauna z pobłażaniem czy stwierdzenia, że Krzysztof Bosak to w sumie miły młody człowiek, który się ładnie wypowiada, jest „obliczalny" i zostanie kiedyś premierem.

Wybory w 2027 r. może być zatem trudniej przedstawiać jako kolejną ostateczną walkę między demokratami a autokratami, bo w granicznym murze pojawiło się wiele dziur. Zresztą już to, że wielu wyborców dawnej Trzeciej Drogi zameldowało się u Mentzena, pokazuje, że te „bańki" nigdy szczelne nie były. Może to sugerować, że zbliżająca się kampania wyborcza będzie mniej wzmożona moralnie, a bardziej skupiona na konkretach i życiu codziennym ludzi. Jednak tym razem to PiS będzie występował w roli „obrońców demokracji przed reżimem" – tak jak PO w 2023 r. walczyła „ze złem" – podkręci emocje do maksimum. Dlatego odkrywanie realnych intencji prawicy, ale też rozmaitych nagłych demokratów z odzysku, przypominanie, jak po 2015 r. urządzili państwo Kaczyński ręka w rękę z Morawieckim, będzie istotnym wyzwaniem dla obozu dzisiejszej władzy.

eprasa.pl 4a128c0fe4

Albatros travel

Albatros 40 lat

Chile i Argentyna

na kraniec świata przez Patagonię i Ziemię Ognistą

Fantastyczna wycieczka do Patagonii i Ziemi Ognistej połączona ze zwiedzaniem Santiago de Chile i Buenos Aires.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Santiago de Chile. **Dz. 3** Wycieczka do Valparaíso i Viña del Mar z wizytą w winnicy w Dolinie Casablanca. **Dz. 4** Santiago de Chile – Natales w Patagonii. **Dz. 5** Park Narodowy Torres del Paine – rejs łodzią do lodowca Grey. **Dz. 6** Dzień wolny lub opcjonalna wycieczka do lodowców Balmaceda i Serrano. **Dz. 7** Przejazd do El Calafate w Argentynie. **Dz. 8** Całodniowa wycieczka do lodowca Perito Moreno. **Dz. 9** Dzień wolny lub opcjonalna wycieczka po jeziorze Argentino. **Dz. 10** Przelot El Calafate – Ushuaia, zakwaterowanie, zwiedzanie miasta. **Dz. 11** Park Narodowy Tierra del Fuego i rejs po Kanale Beagle'a. **Dz. 12** Lot z Ushuaia do Buenos Aires. **Dz. 13** Buenos Aires. Czas wolny lub opcjonalna wycieczka Fiesta Gaucha (pampa, gauchos i obiad na ranczo). **Dz. 14** Buenos Aires i powrót do domu. **Dz. 15** Przylot do Polski.

NOWOŚĆ

15 dni
Wyloty z Warszawy
09/11 2026
10/02 2027
od **26.998,-**

2 posiłki dziennie

Niezwykła podróż po Bułgarii i Rumunii

Odkryj pełne tajemnic Karpaty, malownicze wioski, średniowieczne miasta oraz zachwycającą przyrodę i odwiedź Siedmiogród, gdzie legenda o Drakuli jest wciąż żywa.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Sofia. Zwiedzanie miasta i kolacja powitalna. **Dz. 2** Sofia – Klasztor Rila – Sofia. Wycieczka do klasztoru Rila, obiad i Muzeum Historyczne. **Dz. 3** Sofia – Koprivsztica – Płowdiw. Domy kupieckie w Koprivszticy i zwiedzanie Płowdiw – Europejskiej Stolicy Kultury 2019. **Dz. 4** Płowdiw – Kazanłyk – Wielkie Tyrnowo. Produkcja olejku różanego, grobowiec królewski w Kazanłyku, przełęcz Szypka i Muzeum-skansen w Etar. **Dz. 5** Wielkie Tyrnowo – Bukareszt. **Dz. 6** Bukareszt – Sybin. Pałac Parlamentu, klasztor Cozia, przejazd przez Karpaty i wycieczka po Sybinie. **Dz. 7** Sybin – Sighişoara – Sybin. Wycieczka do średniowiecznego miasteczka Sighişoara oraz kolacja u lokalnej rodziny. **Dz. 8** Sybin – Bran – Braszów. Wizyta w stadninie koni lipicańskich i „Zamek Drakuli" w Bran. **Dz. 9** Braszów – Sinaia – Braszów. Zamek Peleş w Sinaia, Czarna Bazylika w Braszowie i czas wolny. **Dz. 10** Braszów – Bukareszt – Warszawa i powrót do domu.

10 dni | Wylot z Warszawy 18/09 2026 | od **7.998,-**

3 posiłki dziennie

Indie – Klejnot Imperium

Złoty Trójkąt Indii: New Delhi, Jaipur i Agra z Taj Mahal, a także rezerwat tygrysów bengalskich w P.N. Ranthambore, potężne forty i pałace maharadżów.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do New Delhi. **Dz. 2** Przylot do New Delhi, przejazd do Jaipur i wycieczka po mieście. **Dz. 3** Jaipur. Pałac Wiatrów i Fort Amber. **Dz. 4** Jaipur - Ranthambore. Wizyta w wiosce i Rezerwat Tygrysów. **Dz. 5** Ranthambore. Safari w godzinach porannych i popołudniowych. **Dz. 6** Ranthambore – Agra. Opuszczone miasto (Miasto Duchów) Fatehpur Sikri. **Dz. 7** Agra. Taj Mahal i Fort. **Dz. 8** Agra – New Delhi. Brama Indii (India Gate) oraz zwiedzanie Starego Delhi. **Dz. 9** Wylot z New Delhi. Powrót do domu.

9 dni | Wyloty z Warszawy 09/11 2026, 01/02*, 08/03 2027
8 dni | Wyloty z Warszawy 21/04, 19/05 2027
*możliwość przedłużenia pobytu do 15 dni

od **6.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL28**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 4a128c0fe4

Wysoka cena taniej dostawy

Marka Pyszne.pl powstała we Wrocławiu w 2010 r., ale dziś należy do koncernu Just Eat Takeaway.com z siedzibą w Holandii. Do niedawna Pyszne.pl uchodziło za jedyną spośród platform kurierskich dostarczających jedzenie i zakupy, która choć trochę przejmowała się losem pracowników. Nie mieli oni co prawda etatów, tylko umowy cywilnoprawne, ale korzystali przynajmniej z minimalnej stawki za godzinę pracy. Teraz jednak Pyszne.pl doszło do wniosku, że to zbyt drogie rozwiązanie i chce zastosować model konkurencyjnych platform jak Glovo, Bolt czy Uber. Tam kurierki i kurierzy mają już od dawna umowy z tzw. partnerami flotowymi, czyli zewnętrznymi firmami, które świadczą usługi na rzecz właścicieli popularnych aplikacji.

– W takiej sytuacji nie ma żadnej gwarantowanej stawki godzinowej, tylko prowizja od dostarczonego zamówienia. Całe ryzyko spada na pracownika, bo nigdy nie wie, ile uda mu się zarobić. Zależy to od liczby obsłużonych zleceń każdego dnia. Kurierki i kurierzy nie mogą też liczyć na odzież roboczą, nikt nie zwraca uwagi na przepisy bhp. Partnerzy flotowi pojawiają się i znikają, a omijanie przepisów to ich specjalność – mówi Michał Lewandowski, przewodniczący OPZZ Konfederacji Pracy, która stara się pomóc 5 tys. kurierów i kurierek Pyszne.pl skazanym w sierpniu na transfer do firm zewnętrznych.

W przypadku innych platform związkowcy są bezradni, bo model partnerów flotowych uniemożliwia im skuteczną działalność. Pyszne.pl zdążyło ściągnąć na siebie gniew polityków – ministra pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk nakazała Głównemu Inspektoratowi Pracy kontrolę umów. Być może okaże się, że dostawcy powinni mieć dotąd etaty, a nie śmieciówki. Przekształcenie umów utrudniłoby Pyszne.pl ich zwolnienie. Na ironię zakrawa fakt, że kłopoty ma firma, która dotąd jako jedyna zatrudniała bezpośrednio kurierów, a nie jej konkurenci, wykorzystujący od dawna kontrowersyjny model partnerów flotowych. Oni mogliby bać się tylko wdrożenia w Polsce unijnej dyrektywy platformowej, która dałaby wszystkim dostawcom prawo do minimalnego wynagrodzenia. Niestety, rząd dopiero pracuje nad odpowiednią ustawą i nie wiadomo, kiedy wejdzie ona w życie.

Na luce prawnej korzystają międzynarodowe platformy liczące swoje zyski i klienci cieszący się z tanich dostaw. Mają one jednak swoją prawdziwą cenę – tyle że ją płacą kurierzy pracujący często kilkanaście godzin na dobę na podstawie umów, które nie dają im żadnych praw. (CK)

W imię ojca

Po 20 latach zakończył się proces w sprawie śmierci ojca Zbigniewa Ziobry. Sąd orzekł, że oskarżeni lekarze: prof. Jacek Dubiel, prof. Katarzyna Styczkiewicz oraz dr Andrzej Kmita, nie są winni śmierci Jerzego Ziobry. Postępowanie wobec czwartego lekarza, prof. Dariusza Dudka, zostało umorzone w związku z przedawnieniem. Sędzia przyznał, że ostatni z lekarzy nieumyślnie naraził pacjenta na bezpośrednie zagrożenie życia i podjął decyzję o nieodpowiednim leczeniu. Prokuratura, która po zmianie władzy już nie była zależna od Zbigniewa Ziobry, zmieniła zdanie i na ostatniej rozprawie domagała się uniewinnienia lekarzy, uznając, że zgromadzone dowody nie pozwalają przesądzić o ich winie. Prokurator po ogłoszeniu wyroku ocenił, że: „Jest on salomonowy, w którym każdy odnajdzie coś korzystnego dla siebie. (…) Troje lekarzy uniewinnionych. W przypadku głównego operatora sąd stwierdził, że leczenie było nieoptymalne".

Ziobro oświadczył na X, że wyrok to: „Sądowe potwierdzenie prawdy, o którą nasza rodzina walczyła przez dwadzieścia lat". Obrońcy lekarzy odpowiadają, że to nadinterpretacja. Zgodnie z prawem, jeśli postępowanie wobec jednego z lekarzy jest umorzone, to wina jest nieokreślona i obowiązuje domniemanie niewinności. Dla oskarżonego prof. Dudka to mniej komfortowa sytuacja niż dla uniewinnionych lekarzy.

Rodzina jest przekonana, że Jerzy Ziobro zmarł przez błędy lekarzy. Sprawę wielokrotnie opisywaliśmy w POLITYCE; obserwowaliśmy z bliska proces lekarzy, pierwsi też w 2017 r. opisaliśmy narzędzia, jakie stworzył Zbigniew Ziobro, aby zyskać przewagę w tej batalii. „Sprawa stanowi jaskrawy przykład wykorzystywania prokuratury dla załatwiania prywatnych interesów ówczesnego prokuratora generalnego. Zmiana przepisów prawa pozwalająca na przeniesienie ciężaru kosztów procesu na Skarb Państwa, inicjowanie postępowań badających wielorakie aspekty związane ze śmiercią jego ojca, nieograniczony budżet na różne opinie sądowo-lekarskie pokazują jak w soczewce dyskryminacyjny legalizm, wyrażający się w nierównym traktowaniu obywateli" – napisała Prokuratura Krajowa w tzw. raporcie Bodnara (2025 r.), opisującym 200 upolitycznionych postępowań z czasów rządów PiS. Śledztwo dotyczące przekroczenia uprawnień przez ministra Ziobrę w sprawie śmierci swojego ojca prowadzi prokuratura w Gdańsku. Może zakończyć się zarzutami dla byłego ministra.

Sprawa przypomina o standardach sprawowania władzy przez PiS. Najlepszym testem dla państwa prawa nie są sprawy sądowe zwykłych ludzi, lecz procesy tych, którzy nim rządzą. (DĄB.)

© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, PAP, PAP/SZYMON PULCYN

eprasa.pl 4a128c0fe4

Radykalnie umiarkowani

Przemysław Sadura

Socjolog, profesor UW, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej

Jeśli ktoś pomyślał, że dziś będzie o Klubach Radykalnego Centrum Profesora Marcina Matczaka, to się rozczaruje. Nie oceniajcie książki po okładce, a felietonu po tytule. Zwłaszcza w wakacje. Chociaż nie. Wakacji od polityki nie ma już od dawna i w najbliższym czasie nie będzie, a o Matczaku trochę będzie. Tyle że nie o hamletyzowaniu. Jego być czy nie być w polityce już teraz jest ciekawe. Jednak będzie niejedna okazja, żeby wrócić do tematu, jeśli odpowie: „być". Tymczasem wspomniane Kluby zakładane przez prof. Matczaka są istotne, ale jako symptom szerszego zjawiska: powszechnej radykalizacji. Stała się ona w Polsce tak modna, że aż obowiązkowa i już nawet w umiarkowaniu musimy być radykalni.

Mógłbym dać teraz krótki wykład o tym, jak internet oparty na algorytmach, a więc karmiący się każdą różnicą i eskalujący nawet niewielkie rozbieżności do przepaści głębokiej jak Wielki Kanion Kolorado, zmienił sferę medialną, a następnie politykę. Kiedyś obowiązywała zasada, że w debacie publicznej nie spieramy się o fakty, tylko o opinie. Dziś media po różnych stronach barykady mają swoje fakty, swoich bohaterów i relacjonują równoległe rzeczywistości, między którymi próżno szukać punktów stycznych. Tym śladem poszły partie polityczne. Dawniej rządziły duże machiny partyjne osadzające się gdzieś w pobliżu politycznego centrum. Łowiły wyborców, szukając największego wspólnego mianownika. Kto go znalazł, wygrywał wybory. Dziś rządzi nie największy wspólny mianownik, a największa różnica. W erze deficytu uwagi wyścig wygrywa ten, kto się lepiej odróżni od reszty.

To samo znajdziemy w mądrości ludowej. Świetnie wyraziła to kiedyś uczestniczka jednego z moich przedwyborczych wywiadów. Zapytana o to, który z polityków robi na niej szczególne wrażenie, odpowiedziała, że Janusz Korwin-Mikke. „Najbardziej imponuje mi tym, że nie zmienia poglądów. Nie jest jak inni, to nie człowiek-chorągiewka". Natychmiast zapytałem, jakich to poglądów nie zmienia Korwin-Mikke. Odpowiedź okazała się kluczowa: „W sumie nie wiem jakich, ale to nie jest ważne. Ważne, że jest w tym zdecydowany".

To tłumaczy obecne ruchy na scenie politycznej lepiej niż niejedna wielostronicowa analiza. Po lewej stronie na lewicową wyrazistość rywalizują stara Nowa Lewica oraz zawsze odosobnione Razem. Na politycznych antypodach od dawna trwa przesuwanie ściany w prawo. PiS, ziobryści, ludzie Bąkiewicza, Konfederacja Mentzena, Konfederacja Brauna. Zrobił się tłok. Przyszła kolej na centrum. Porażka Trzeciej Drogi i rozpad Polski 2050 spowodowały, że chwilowy monopol miała Koalicja Obywatelska. To ustabilizowało jej sondażowe poparcie na wysokim poziomie. Już teraz widać jednak, że za chwilę i tam zaroi się od inicjatyw. Zapowiadana przez Petru „Konfederacja light", „Radykalne Centrum" Matczaka czy wreszcie Rozwój Plus Morawieckiego zdają się radykalizować narracje idące w stronę środka sceny politycznej. Kto zabłyśnie wyrazistością, ten może liczyć na wyborczą premię.

Rekord na UW

Ogłoszono wyniki rekrutacji na największej polskiej uczelni, czyli Uniwersytecie Warszawskim. Okazało się, że był to rekordowy rok – ponad 38,8 tys. osób złożyło ponad 76,9 tys. wniosków o przyjęcie na studia. Najpopularniejsze kierunki to: ekonomia, finanse i rachunkowość (3494 rejestracje), zarządzanie (3142) oraz psychologia (2943).

Gdzie najtrudniej było się dostać? Co chyba nie dziwi – na kierunek lekarski. O jedno miejsce starały się aż 32 osoby. Co więcej, w tym roku chętnych było o 36 proc. więcej niż w ub.r. O tym, że młodzi stawiają na kierunki gwarantujące im przede wszystkim sukces finansowy i prestiż, pisaliśmy niedawno na polityka.pl. Dariusz Chętkowski, nauczyciel i publicysta, podkreślał, że w efekcie szturmu na klasy o profilu biologiczno-chemicznym w liceach sytuacja wygląda dziś tak, że te „najbardziej prestiżowe mogłyby otworzyć tyle klas o profilu biologiczno-chemicznym, ile się da. Chętnych nie zabraknie. Dawniej wystarczała jedna, teraz nawet trzy to za mało".

Co poza medycyną? Trudno było też o indeks na kierunku o nazwie business and management – o jedno miejsce starało się tu 26 osób. A także – kultury Azji i Afryki (19 osób na miejsce). Jeszcze dwa lata temu na pierwszym miejscu była medycyna (30 osób na miejsce), potem koreanistyka (24 osób na miejsce), filologia angielska (16 osób na miejsce) i psychologia (15 osób na miejsce).

Wśród nowych kierunków – tu zawsze są niespodzianki – najpopularniejsze okazały się: pedagogika opiekuńczo-wychowawcza i szkolna (299 rejestracji na 30 miejsc) oraz zaoczna kryminologia (327 rejestracji na 70 miejsc).

Również kolejny rok szkolny zapowiada się rekordowo z powodu znacznie większej liczby maturzystów. W maju 2027 r. do egzaminów przystąpi nie 321 tys. osób, jak w tym roku, lecz 386 tys. uczniów (wzrost o 20 proc.). Jest to skutek reformy Anny Zalewskiej, ministry edukacji w rządzie PiS, która podwyższyła wiek szkolny z 6 do 7 lat, zostawiając rodzicom możliwość wyboru, kiedy dziecko rozpocznie naukę. De facto półtora rocznika napisze w przyszłym roku maturę; ci, którzy poszli do szkoły jako siedmiolatki oraz ich o rok młodsi koledzy. Walczące z niżem demograficznym uczelnie zacierają ręce, a przyszli maturzyści już rozglądają się za korepetycjami. (AGSZCZ)

eprasa.pl 4a128c0fe4

Dwie cieśniny

Z soboty na niedzielę, pierwszy raz od 13 nocy, Amerykanie nie zaatakowali Iranu. Wcześniej wymiana ognia trwała, odkąd Teheran ostrzelał tankowce w cieśninie Ormuz i obie strony oskarżyły się o złamanie rozejmu. Przez te dwa tygodnie Amerykanie nie ograniczali się do ataków na cele wojskowe – zniszczyli m.in. kilka ważnych mostów i uszkodzili jeden z zakładów odsalania wody. Z kolei Irańczycy uderzali w arabskich sojuszników Ameryki oraz w bazy USA, zabijając sześciu amerykańskich żołnierzy. Przed weekendem media pisały o nowych amerykańskich jednostkach przerzucanych w okolice Iranu – w tym o rozbudowie medycznego zaplecza – co miało świadczyć o przygotowaniu potężnego uderzenia.

Weekend minął jednak relatywnie spokojnie. Według przecieków z Waszyngtonu Biały Dom spuścił z tonu z powodu wyczerpujących się zapasów pocisków do systemu Patriot, który zapewnia osłonę przed irańskim ostrzałem. Ale jest też inna interpretacja, czyli **Huti**. Ta organizacja, która ponad 10 lat temu przejęła władzę w zachodnim Jemenie, kontroluje brzegi drugiej co do ważności – po Ormuzie – cieśniny w regionie: tzw. Bramy Łez (Bab al-Mandab), łączącej Morze Czerwone i Ocean Indyjski. W zeszłym tygodniu doszło do kolejnej zbrojnej wymiany na linii szyiccy Huti – sunnicka Arabia Saudyjska. W rezultacie Huti zaatakowali tankowce z saudyjską ropą w pobliżu Bramy Łez i zagrozili następnymi atakami.

Ten konflikt ma własną dynamikę, ale może być też kolejnym stopniem eskalacji kryzysu w Zatoce Perskiej. Huti są sojusznikami Iranu i Teheran mógł poprosić ich o pomoc, gdy amerykańskie ataki stały się zbyt uciążliwe. Jednoczesna blokada dwóch cieśnin w regionie to przepis na światowy kryzys paliwowy – już w piątek cena baryłki ropy znów przekroczyła 100 dol., żeby zaraz potem spaść, gdy Amerykanie wstrzymali ataki na Iran. „Chcemy dać przestrzeń dla negocjacji" – tłumaczy się z tego ruchu Waszyngton, ale czy nie był to wynik irańsko-jemeńskiej presji?

W cieniu wojny Donald Trump nadal próbuje robić interesy i w zeszłym tygodniu ogłosił podpisanie z Arabią Saudyjską „cywilnej umowy nuklearnej". Niby nic nadzwyczajnego, Amerykanie mają takie kontrakty z kilkudziesięcioma państwami – w standardowej wersji przewidują one sprzedaż amerykańskich technologii i surowców (wzbogaconego uranu) do produkcji energii elektrycznej z atomu. W tym przypadku Trumpowi chyba się spieszyło, bo Rijad tak zmodyfikował umowę, że w obecnym kształcie bardzo ułatwia drogę do saudyjskiej bomby atomowej. Prezydent USA prawdopodobnie się zorientował, jakie to może rodzić konsekwencje geopolityczne, i już po fakcie dorzucił warunek, że Saudyjczycy muszą uznać państwo Izrael. Dziś to mało realne.

ŁUKASZ WÓJCIK

Prezydent Midas

Najsurowsi krytycy **Donalda Trumpa** twierdzą, że żaden z niego biznesmen, bo gdyby odziedziczone po ojcu 100 mln dol. zainwestował na giełdzie, zarobiłby więcej niż na inwestycjach w nieruchomości, które kończyły się bankructwami. A jednak Trump dowiódł, że ma ogromny talent do robienia pieniędzy. Wystarczyło, że został prezydentem.

W 2025 r. powiększył majątek o co najmniej 2,2 mld dol. To prawie cztery razy więcej niż rok wcześniej, kiedy był zwykłym obywatelem. W pierwszym roku drugiej kadencji pomnożył aktywa głównie dzięki dochodom z kryptowalut, które przyniosły mu ponad 1,4 mld dol. Jeszcze kilka lat wcześniej piętnował bitcoiny jako „oszustwa", ale po powrocie do Białego Domu nazywa USA „kryptostolicą planety" i cieszy się zyskami z operujących na tym rynku firm Celebration Coins i World Liberty Financial. Pozostałe źródła dochodów są bardziej tradycyjne: z klubów golfowych w kraju i za granicą, z akcji na giełdzie i z ugód sądowych z pozywanymi przez siebie mediami, które wypłaciły mu ponad 80 mln dol.

Jak wielki jest obecny majątek Trumpa, nie wiadomo; szacuje się go na 6,5 mld („Forbes") albo 7,6 mld dol. (Bloomberg). Fakt, że wzbogacił się tak bardzo – i tak jawnie – będąc prezydentem, nie ma precedensu w nowszej historii USA. Biały Dom twierdzi, że ten wzrost dochodów nie ma nic wspólnego z pełnionym urzędem i nie dochodzi tu nigdy do potencjalnego choćby konfliktu interesów. To nieprawda. Rząd Wietnamu ułatwił mu szybkie inwestycje golfowe w swym kraju, by uniknąć nowych ceł importowych. W podobnym celu jedna z firm z Korei Południowej wpłaciła 2 mln dol. na konto inwestującego w pola golfowe holdingu Trumpa. Przywódcy państw, często dyktatur, prześcigają się w przysługach dla prezydenta USA, oczekując pomocy albo cofnięcia zapowiadanych sankcji.

Zasoby pomysłów Trumpa są niewyczerpane. Najnowszy to miesięczna opłata w wysokości 100 tys. dol. za specjalną subskrypcję na błyskawiczny dostęp do wpisów w sieci Truth Social – w tym jego własnych. A ponieważ tą drogą Trump dzieli się informacjami na temat swej polityki, subskrybenci, a więc mogące sobie pozwolić na taki wydatek korporacje, będą mogły zarabiać miliony na handlu akcjami firm, których ceny będą zależeć od jego posunięć. Innymi słowy, *insider trading* z udziałem prezydenta.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

eprasa.pl 4a128c0fe4

Zmiany, zmiany, zmiany

Wygląda na to, że była to jedna z największych politycznych pomyłek w karierze Wołodymyra Zełenskiego, który przy okazji dymisji gabinetu Julii Swyrydenko pozbył się z rządu ministra obrony Mychajły Fedorowa. Najmłodszy, 35-letni minister zdążył zaskarbić sobie sympatię społeczną. Stawiał na unowocześnienie wojny, chciał, żeby na polu boju ludzi zastępowały maszyny, wprowadzał jasne procedury przetargowe. Plan uderzeń na tyły wroga (np. niszczenie rafinerii) zaczął przynosić efekty. W obronie Fedorowa ludzie wyszli na ulice.

Nastrojów nie uspokoiło powierzenie obowiązków ministra obrony gen. Jewhenowi Chmarze, dotychczasowemu szefowi Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, znanemu z przeprowadzania spektakularnych akcji dywersyjnych. Obok haseł powrotu Fedorowa pojawiły się żądania dymisji głównodowodzącego siłami zbrojnymi gen. Ołeksandra Syrskiego – który był w konflikcie ze zdymisjonowanym ministrem. Syrski na froncie radził sobie dobrze, ale – w opinii wojskowych i cywili – nie liczył się ze stratami. Faworyzował lojalnych wobec siebie oficerów, a w elitarnych wojskach szturmowych dochodziło do brutalnego traktowania żołnierzy.

Zełenski – po serii konsultacji z wysokimi rangą oficerami – odwołał Syrskiego. Jego miejsce zajął **Mychajło Drapaty** – jeden z najzdolniejszych ukraińskich dowódców, dotychczas dowódca Sił Połączonych, nazywany „generałem z okopów". Przy okazji kryzysu ujawniły się podziały wśród najważniejszych oficerów – część z nich publicznie popierała Syrskiego, część Fedorowa. Prezydent próbował dogadać się z tym ostatnim. Proponował mu posady w rządzie (m.in. wicepremiera odpowiedzialnego za zaopatrzenie armii). Fedorow publicznie odrzucił propozycje, mówiąc, że interesuje go tylko powrót na stanowisko szefa resortu obrony. Według badania Rating Group w ciągu tygodnia zaufanie do niego wzrosło z 35 do 65 proc. To daje drugie miejsce, po byłym głównodowodzącym gen. Wałeriju Załużnym. Fedorow (obok Załużnego i Zełenskiego) znalazł się też w pierwszej trójce w sondażu prezydenckim.

Wygląda na to, że prezydent chciał odstawić na boczny tor zyskującego popularność ministra, ale sam pomógł wykreować groźnego konkurenta. Podobnie było w przypadku Załużnego – Zełenski zwolnił go w 2024 r., wysłał do ambasady w Londynie, co nie zmniejszyło popularności generała. Prezydent jest w trudnej sytuacji. Mógłby przywrócić Fedorowa, ale ustępstwo oznaczałoby okazanie słabości. Zełenski ustępuje rzadko. Zrobił to jednak w 2025 r. – także pod naciskiem protestów obywatelskich i zachodnich dyplomatów wycofał się z prób podporządkowania sobie służb antykorupcyjnych. Ich niezależne śledztwo – po kilku miesiącach – ujawniło wielką aferę korupcyjną, w którą byli zamieszani najbliżsi współpracownicy prezydenta. PR

Zielona gorączka

Wyspy Zielonego Przylądka to jeden z największych zwycięzców minionego mundialu FIFA, przynajmniej w przeliczeniu na 530 tys. wyspiarskiej ludności. Dotarły do fazy pucharowej, gdzie prawie ograły Argentynę, a bramkarz Vozinha stał się ludowym bohaterem i z dnia na dzień zyskał na Instagramie 27 mln obserwujących. Czy ta nagła globalna popularność przełoży się na coś więcej? Wcześniej już bywało, że mundialowe odkrycia Chorwacji (2018 r.) i Maroka (2022 r.) przynosiły im turystyczny boom. Wyspy, których nawet nie ma na wielu mapach, żywią podobne nadzieje. Liczba wyszukiwań ofert wakacyjnych w internecie wzrosła już 50-krotnie, nadspodziewanie wielu chętnych było np. z Japonii i Korei Południowej – i rzecz jasna ze Stanów Zjednoczonych.

Położony u zachodnich wybrzeży Afryki archipelag odwiedziło w 2025 r. 1,25 mln turystów, ponad dwóch na mieszkańca. Teraz zaczyna się mówić o szybkim sforsowaniu progu 2 mln. Warunki są: łagodny klimat (lepszy niż na Kanarach), sezon przez cały rok, niezła infrastruktura, w którą chętni powinni chcieć zainwestować. Dziś oferta sprowadza się do dwóch z dziesięciu wysp, które widnieją na narodowej fladze – Sal i Boa Vista, a przybysze pochodzą głównie z pięciu europejskich krajów, na czele z Brytyjczykami, Francuzami i Niemcami oraz Portugalczykami, bo to do 1975 r. była ich kolonia. Głównie zimą na all inclusive na Sal przybywają też Polacy (osiem godzin lotu). Szlaki są przetarte.

Atutem Wysp Zielonego Przylądka jest przyjazność i gościnność, nazywana tutaj marabezą, niespieszne wyspiarskie tempo życia przyprawionego melancholią (patrz: **Cesária Évora**). Kraj należy do pierwszej trójki najbardziej demokratycznych państw Afryki i do trzech pierwszych, gdzie całkowicie wytępiono malarię, miejscowa waluta (escudo) jest powiązana z euro, nie występują tendencje separatystyczne, brak podłoża dla terroryzmu, można się tu czuć stosunkowo bezpiecznie, choć szybko rośnie drobna przestępczość i zdarzają się problemy z narkotykami. Największy minus – w zgodnej opinii – to stan służby zdrowia. Turystyka zapewnia dziś 25 proc. PKB i 40 proc. miejsc pracy; to za mało i młodzi stąd uciekają. W ogólnym klimacie euforii ginie fakt, że na Sal pojawiły się już oznaki overtourismu i to powinna być przestroga. Porównania z Chorwacją są mocno naciągane, ale niszczący walec turystyki wszędzie jest ten sam. Jak długo pod tym naporem przetrwa marabeza? Trochę szkoda kolejnych wysp. Oby nie ukuł się nowy termin sportowo-turystyczny – klątwa FIFA. WP

© MOHAMMED HAMOUD/GETTY IMAGES, MAY JAMES/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES, GENYA SAVILOV/AFP/EAST NEWS, MARCO BUNK/IMAGEBROKER/FORUM

eprasa.pl 4a128c0fe4

Polska i Ukraina: skąd ten gniew?

Jaki jest dzisiaj stosunek Polaków do Ukrainy, Ukraińców, do wojskowej pomocy w wojnie z Rosją, do unijnych aspiracji wschodniego sąsiada, do kwestii wysłania polskich żołnierzy, aby nadzorowali ewentualne porozumienie pokojowe? Postanowiliśmy to sprawdzić w sondażu POLITYKI i pracowni Opinia24.

MARIUSZ JANICKI

Rośnie liczba przypadków agresji wobec Ukraińców mieszkających w Polsce. Policja zatrzymuje kolejnych podejrzanych o obrażanie i napaści fizyczne; ataki dotyczą dzieci i dorosłych. Następuje istotna zmiana, którą też widać w internecie – gdzie ksenofobiczne wpisy stają się niemal normą – i w przestrzeni publicznej. Sami Ukraińcy mówią o pogorszeniu ich poczucia bezpieczeństwa, o tym jak coraz trudniej im się funkcjonuje, że wcześniej było inaczej. Tę ewolucję poglądów, postaw i zachowań potwierdza nasz sondaż.

W pierwszym pytaniu – z uwagi na duże znaczenie polityczne i symboliczne – powróciliśmy jeszcze do kwestii decyzji prezydenta Nawrockiego o odebraniu Orderu Orła Białego prezydentowi Ukrainy Zełenskiemu. Widać, że późniejsze reakcje na to postanowienie Nawrockiego i komentarze wskazujące na negatywne konsekwencje dla wzajemnych relacji w zasadzie nie zmieniły społecznej oceny tego aktu. Popiera tu polskiego prezydenta 55 proc. respondentów, w tym 38 proc. – zdecydowanie. Dlatego nie dziwi, że Nawrocki, jak pokazały inne sondaże, został niejako nagrodzony za ten

© JANUSZ FAJTO/AI

eprasa.pl 4a128c0fe4

Czy prezydent Karol Nawrocki zrobił słusznie, odbierając Order Orła Białego prezydentowi Ukrainy Wołodymyrowi Zełenskiemu?

(w proc.)

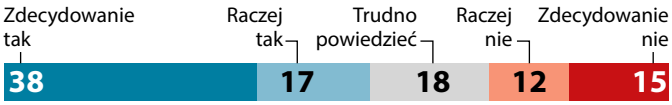

gest także ogólnym wzrostem poparcia i zaufania, to ponad 5 pkt proc. w krótkim czasie. Na te 55 proc. wskazań za pozbawieniem Zełenskiego orderu złożyło się także wielu zwolenników PSL, Polski 2050 (ok. 30 proc. z nich), a nawet 16 proc. tych, którzy identyfikowali się w badaniu jako wyborcy Koalicji Obywatelskiej.

Zwraca też uwagę, że wyjątkowo dużo zdecydowanych zwolenników decyzji Nawrockiego pochodzi z podkarpackiego – 53 proc., o kilkanaście pkt procentowych więcej niż w przypadku innych województw. Kiedy weźmie się pod uwagę głosowanie w ostatnich wyborach prezydenckich w 2025 r., to zwolenników pozbawienia Zełenskiego orderu jest zdecydowanie najwięcej wśród wyborców Sławomira Mentzena, dopiero później (ze sporą różnicą) Nawrockiego i Brauna.

II

Po drugie, zainteresowaliśmy się, jak wygląda gotowość do dalszego pomagania Ukrainie w wojnie z Rosją, już po nagłośnionych faktach upamiętnień, czasami gloryfikacji, działań UPA przez kręgi rządzące u wschodniego sąsiada. Na tym wątku próbował budować swoją pozycję kandydat na premiera z PiS Przemysław Czarnek, kiedy zapowiedział wstrzymanie pomocy wojskowej dla Kijowa do czasu, kiedy Ukraina nie potępi dawnych zbrodni i „banderowskiego nazizmu". Potem na Czarnka spłynęła krytyka, także ze strony prezesa Kaczyńskiego, że jego wystąpienie zanadto pokrywało się z moskiewską narracją i zostało zresztą w Rosji odnotowane.

A co na to respondenci naszego sondażu? Okazuje się, że 41 proc. jest za dalszą pomocą Ukrainie (w tym tylko 17 proc. – „zdecydowanie tak"), natomiast 44 proc. jest za jej wstrzymaniem (w tym 25 proc. – „zdecydowanie"). Czarnek więc jakoś specjalnie nie przestrzelił ze swoim postulatem. Najbardziej proukraińscy w tej kwestii są wyborcy KO i Lewicy, choć i 19 proc. tych, którzy określili się jako sympatycy PiS, są „raczej za" utrzymaniem wsparcia walczącej Ukrainy.

Zwraca uwagę jeszcze jeden wynik: choć 42 proc. zwolenników Adriana Zandberga w ostatnich wyborach prezydenckich opowiedziało się zdecydowanie za kontynuacją pomocy dla Ukrainy, to jednocześnie 30 proc. z nich jest tu na „raczej nie". Widać, że stosunek do Ukrainy dzieli nawet tak wydawałoby się zwarty ideowo elektorat jak ten lidera Partii Razem, albo też prawdziwa była kuriozalna obserwacja sprzed roku, że część wyborców traktowała wymiennie Zandberga i Mentzena.

III

W trzecim pytaniu interesowało nas, jak zmieniał się stosunek Polaków do Ukraińców w ostatnich kilku latach, od początku wojny w 2022 r. do dzisiaj. Badanie wykazało, że w tym czasie lepiej zaczęło postrzegać Ukraińców 3 proc. zapytanych, natomiast gorzej – 36 proc. W przypadku 54 proc. żadna zmiana w tej kwestii nie zaszła. W największym stopniu negatywnie Ukraińców zaczęli postrzegać wyborcy PiS (61 proc.) i Konfederacji (57 proc.), nawet bardziej niż Korony Polskiej Grzegorza Brauna (51 proc.), ale także Polski 2050 – 46 proc., co jeszcze raz potwierdza, ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

Czy wobec upamiętniania oddziałów UPA w Ukrainie Polska powinna nadal pomagać Ukrainie w wojnie z Rosją tak jak wcześniej?

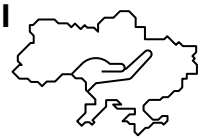

(w proc.)

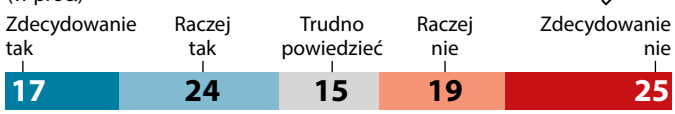

▶ że elektorat tego ugrupowania był i jest najbliżej Konfederacji i tam się po 2023 r. przemieszcza.

W najmniejszym wymiarze ta relacja zmieniła się u zwolenników KO i Lewicy, jednak i co czwarty, piąty wyborca tych partii zmienił opinię o Ukraińcach na gorsze. Podobnie 34 proc. wyborców Adriana Zandberga z elekcji w 2025 r. zmieniło na gorsze stosunek do Ukraińców, tyle samo zwolenników Szymona Hołowni, nawet 24 proc. ówczesnych sympatyków Rafała Trzaskowskiego. Ciekawa jest struktura wiekowa: im starsi respondenci, tym rzadziej deklarowali pogorszenie swojego postrzegania Ukraińców: w przypadku 60-latków i starszych to było 25 proc., a w przedziale 18–39 lat ponad 40 proc. zapytanych.

IV

Czy zatem Polska powinna wspierać Ukrainę w staraniach o przystąpienie tego kraju do Unii Europejskiej? – tak brzmiało czwarte pytanie naszego badania. Tutaj wynik jest dość jednoznaczny i dla unijnych aspiracji wschodniego sąsiada surowy. Tylko 33 proc. uważa, że Polska powinna sprzyjać staraniom Ukrainy o akcesję do UE, w tym 12 proc. „zdecydowanie". Aż 52 proc. respondentów mówi „nie", w tym aż 28 proc. – „zdecydowanie nie". I tu na „tak" wyróżniają się wyborcy KO i Lewicy, ale dołączają w niemal równym stopniu sympatycy PSL, co może nieco zastanawiać, skoro prawica od dawna twierdzi, że Ukraina w Unii Europejskiej to zagrożenie dla konkurencyjności polskiego rolnictwa. Może to sygnał, że nie każdy spin automatycznie działa przynajmniej w elektoracie PSL. Trzeba jednak zauważyć, że porównując miejsce zamieszkania, to jednak względnie wieś jest najbardziej przeciwna członkostwu Ukrainy w Unii. Ogólnie tak niski stopień wsparcia starań Ukrainy w kierunku UE zapewne będzie wpływał na działania polskich ekip rządzących, co skomplikuje sytuację w polityce europejskiej, kiedy temat rzeczywiście pojawi się na agendzie. Polska zapewne nie stanie się w tej mierze drugimi Węgrami, ale entuzjazmu – jak widać – nie będzie.

V

Piąte, ostatnie pytanie naszego sondażu: czy Polska powinna wysłać do Ukrainy swoje wojska, aby po wojnie nadzorować rozejm lub porozumienie pokojowe? Stanowczy, „wyprzedzający" sprzeciw rządu Donalda Tuska w tej kwestii, zdaniem części obserwatorów, osłabia pozycję Polski w grupie państw, które będą aktywnie uczestniczyć w odbudowie Ukrainy po wojnie i czerpać z tego korzyści.

Ale wynik naszego badania pokazuje, że politycy mają tu trochę związane ręce: tylko 18 proc. respondentów naszego badania (w tym 5 proc. „zdecydowanie") dopuszcza taką obecność polskich wojsk poza granicami, a aż 65 proc. wyklucza tę możliwość. Jeśli brać pod uwagę opcję „raczej nie", to nie ma tu większych różnic między KO (33 proc.), Lewicą (29 proc.) i PiS (26 proc.). Widać ją przy „raczej tak", tutaj ok. 20 proc. sympatyków ugrupowań rządzących byłoby skłonne zgodzić się na wysłanie wojsk, ale to wciąż bardzo mało.

Czy Pana|Pani stosunek do Ukraińców od początku wojny do dzisiaj zmienił się?

(w proc.)

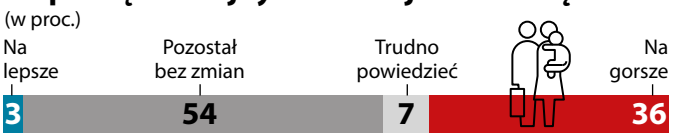

W przypadku Korony Polskiej, co niespecjalnie dziwi, aż 83 proc. wybrało odpowiedź „zdecydowanie nie". W sumie ta kategoryczna niezgoda na obecność polskich sił pokojowych w Ukrainie to jeden z nielicznych punktów w polskiej polityce, gdzie zbiegają się poglądy bardzo różnych w innych sprawach elektoratów.

VI

Nasz sondaż pokazuje w konkretnych liczbach to, co się czuje w atmosferze społecznej, co widać na ulicach: rośnie niechęć wobec Ukraińców i zmienia się na gorsze stosunek do Ukrainy. Nie jest do końca jasne, czy najpierw zmieniły się nastroje, a politycy dostosowują do nich swoje przekazy, czy to jednak propaganda najpierw tej radykalnej, braunowskiej, a potem całej prawicy przesunęła zbiorową opinię w kierunku antyukraińskości. To, że politycy potrafią w krótkim czasie zmienić poglądy znacznej części społeczeństwa, pokazała sytuacja z okresu 2014–15, kiedy neutralny lub nawet przychylny stosunek Polaków do imigrantów dosłownie w ciągu kilku miesięcy zamienił się w głęboką niechęć i lęk. Wystarczyła zmasowana akcja PiS, te słynne „pasożyty" itp. Teraz może być nieco podobnie, do tego dochodzą rosyjskie boty, wojna psychologiczna, którą Moskwa wydała Polsce, NATO i całemu Zachodowi.

Bo w sferze realnej i moralnej nic się specjalnie nie zmieniło od lutego 2022 r. Podział na agresora i ofiarę jest tak samo klarowny jak cztery lata temu. Nadal to Rosja napadła na Ukrainę i nie zamierza się wycofać – zabija ludzi, niszczy miasta i infrastrukturę, a porozumienie pokojowe jest daleko. Nadal Ukraina, stawiając zacięty opór, pozostaje kluczowym buforem chroniącym Polskę przed bezpośrednim sąsiedztwem z siłami zbrojnymi Rosji na długim odcinku granicy, co łącznie z obwodem kaliningradzkim tworzyłoby już złowrogie, strategiczne kleszcze. Nie ma żadnego powodu, aby Ukrainie teraz nie pomagać, skoro pomagało się jej przez minione lata. Pod względem militarnym i polskich interesów związanych z bezpieczeństwem sytuacja pozostaje niezmieniona, a nawet w obliczu częstych rosyjskich prowokacji jest jeszcze bardziej napięta, więc rola Ukrainy jako przeszkody w eskalacji takich działań powinna wzrosnąć.

VII

Prawica ma jednak swoje argumenty przeciwko pomocy dla Ukrainy.

Po pierwsze: Ukraina nie jest nam wystarczająco wdzięczna za pomoc, Zełenski za mało dziękuje, a Polska dokonała wielkiego wysiłku na początku rosyjskiej agresji i nadal gości około miliona ukraińskich obywateli, którzy korzystają z nadmiernych przywilejów socjalnych, a ponadto bywają sprawcami poważnych

eprasa.pl 4a128c0fe4

Czy Polska powinna wspierać Ukrainę w staraniach o przystąpienie do Unii Europejskiej?
(w proc.)

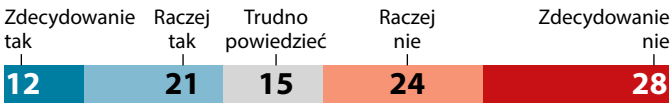

przestępstw. A Ukraina nie chce nawet współpracować z Polską w kwestii technologii dronowej. **Po drugie**: przesadza się z rolą Ukrainy w utrzymywaniu bezpieczeństwa Polski, bo Rosję już teraz mamy na północnej granicy, a poza tym przesadza się także w przedstawianiu siły Rosji. **Po trzecie**: Ukraina gloryfikuje UPA i OUN, sabotuje ekshumacje ofiar masakry wołyńskiej, nie chce się przyznać do zbrodni dokonanych na Polakach. **Po czwarte**: w Ukrainie panuje monstrualna korupcja i duża część międzynarodowej, w tym polskiej pomocy, jest rozkradana. **Po piąte**: Ukraina nie powinna przystępować do Unii Europejskiej, bo przez niższe koszty produkcji zagrozi polskiemu rolnictwu, a poza tym argumentem „przeciw" jest korupcja. **I szósty zarzut**: Ukraina próbuje budować nowy porządek w tej części Europy, gdzie wspólnie z Niemcami i przy wsparciu Brytyjczyków oraz Francuzów jako nowe wschodnie „mocarstwo" chce zastąpić Polskę w roli głównego państwa regionu, a ponadto Ukraina staje się silnym graczem także pod względem militarnym. Takie przekazy PiS i obie Konfederacje wysyłają każdego dnia, co musiało się w końcu przełożyć na zmianę nastrojów wobec Ukrainy.

VII

Walczą zatem ze sobą dwa zestawy racji i poglądów: Ukrainie trzeba pomagać ze względów geopolitycznych i strategicznych, a zastrzeżenia prawicy, mimo że częściowo słuszne, są mimo wszystko drugorzędne. I druga opcja: należy albo wygasić pomoc, albo powinna być udzielana w mniejszym stopniu i po spełnieniu wielu warunków, okres ochronny się skończył. Na to nakłada się szersza sytuacja międzynarodowa, gdzie także widać przesunięcie akcentów. Można dostrzec efekt zmęczenia wojną w Ukrainie, stopniowego zobojętnienia, zresztą poza Europą od początku była ona postrzegana znacznie mniej dramatycznie, moralne potępienie Rosji nie było oczywiste. A kraje spoza Zachodu, często odległe od demokratycznego modelu, także w wyniku antyeuropejskiej polityki prezydenta Trumpa, zaczynają się coraz bardziej liczyć w globalnej układance, ich głos również.

Teraz widać coraz szybszy powrót Rosji do głównego nurtu, np. w świecie sportu, gdzie kolejne federacje dopuszczają start Rosjan już nie tylko indywidualnie, ale także drużynowo. Może to być zresztą duży problem dla Polski, która w przyszłym roku organizuje mistrzostwa świata w siatkówce i prawdopodobnie drużyna Rosji będzie dopuszczona do gry. Wyczuwa się ogólne oczekiwanie na koniec wojny również dlatego, by szybko podjąć interesy z Rosją i przywrócić ją do organizacji gospodarczych, mówią o tym np. urzędnicy administracji amerykańskiej, ale i politycy niemieccy. Wszystko to powoduje, że kwestie moralne są relatywizowane, ujawniają się rozmaici „realiści", których trudno czasami odróżnić od prorosyjskich lobbystów, ale też nie spotyka ich za to jakieś szczególne potępienie czy wykluczenie.

W polskich warunkach antyukraińskości sprzyja także przesuwanie się obu Konfederacji do politycznego mainstreamu

Czy gdyby doszło do porozumienia pokojowego lub rozejmu pomiędzy Ukrainą a Rosją, Polska powinna wysłać do Ukrainy wojska w celu nadzorowania tego porozumienia?
(w proc.)

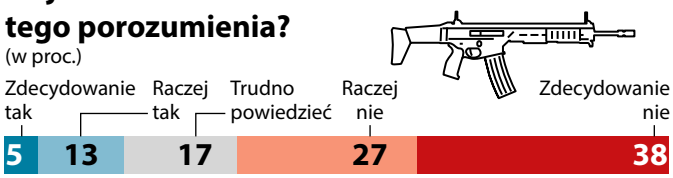

i – co ważne – podążanie za nimi partii Jarosława Kaczyńskiego. Następuje przez to normalizacja postaw antyukraińskich, nie grozi już za to etykieta „ruskiej onucy", ponieważ wątek rosyjski jest w dużej mierze przez prawicę pomijany, jako politycznie nieefektywny, a poza tym „przecież Kaczyński nie jest prorosyjski". Za to Ukraińcy jako nowy, wydajny, bo obecny fizycznie w kraju, wróg dają prawicy nadzieję na sondażowe wzrosty, dlatego nie należy się spodziewać hamowania tych tendencji. Upomnienie, jakiego udzielił szef PiS „kandydatowi na premiera" Przemysławowi Czarnkowi po jego radykalnej wypowiedzi o cofnięciu pomocy wojskowej dla Kijowa, służyło raczej wewnętrznym rozgrywkom w partii, czyli usadzaniu po równo przedstawicieli różnych frakcji i koterii w PiS; zaraz potem Kaczyński wziął się za Morawieckiego.

Rząd Tuska bierze pod uwagę tę zmianę nastrojów, ale jako władza ma mniejsze pole manewru. Jeżeli Tusk chce pozostać w dużej europejskiej grze związanej z wojną i przyszłością Ukrainy po jej zakończeniu, musi prowadzić zręczną, elastyczną politykę, lawirować pomiędzy historycznymi sporami i bieżącymi interesami. Już teraz zauważalne jest pewne oddalenie polskiego premiera od głównego decyzyjnego stołu, nie w każdym formacie dotyczącym Ukrainy bierze udział. Stara się to na razie tuszować, ale czyhająca na takie przypadki opozycja wychwytuje każdą sytuację, kiedy wydaje się, jakby Ukraina i jej zachodni partnerzy próbowali Polskę obejść. Polskie władze, co widać, mają teraz pewien problem z Zełenskim, który gdyby chciał, mógłby naciskać na Niemcy i Wielką Brytanię, aby włączać Polskę do wszystkich formatów decyzyjnych, ale tego nie robi. Tutaj jest pole do rozmów i zakulisowych działań, już także na polu gospodarczym, biznesowym, z dbaniem o rachunek finansowy.

Pójście z kolei zbyt daleko za prawicą i jej elektoratem w antyukraińskości może spowodować odwrócenie się tych wyborców, którzy – jak pokazuje nasz sondaż – wciąż w dużej liczbie chcą Ukrainę wspierać. Problem pojawi się wówczas, kiedy te antyukraińskie nastroje, wzmacniane przez prawicową propagandę, będą się pogłębiać i rozszerzać, wtedy trudno będzie je politycznie ignorować, kiedy myśli się o przedłużeniu rządów. Oznaczałoby to, że opinia publiczna mocno ograniczy działania rządu na niwie europejskiej, pogarszając jego zewnętrzną sytuację negocjacyjną i dyplomatyczną. Widać zatem już teraz potrzebę ofensywy po stronie władzy, która mogłaby ograniczyć skuteczność antyukraińskiej retoryki, w czym działania Zełenskiego i jego ekipy, takie jak ostatnia obietnica przyspieszenia ekshumacji na Wołyniu, mogłyby tylko pomóc.

MARIUSZ JANICKI

Sondaż Opinia24 w dniach 13–15 lipca 2026 na próbie 1000 dorosłych Polaków metodą mixed mode po 50 proc. CATI/CAVI

eprasa.pl 4a128c0fe4

TEMAT TYGODNIA

Piekło kobiet

Rozmowa z dr Marią Kubisą, ordynatorką oddziału ginekologii operacyjnej szpitala w Prenzlau, o Polkach w ciąży, które muszą uciekać do Niemiec, żeby ratować zdrowie i życie.

MARTYNA BUNDA: **– Pani strona na Facebooku, którą nazywa pani „Pamiętnikiem z Prenzlau", pokazuje prawdziwe dramaty polskich kobiet.**

MARIA KUBISA: – Pracuję po dwóch stronach granicy. W Polsce – w Szczecinie i Nowogardzie – i w Niemczech, gdzie skończyłam studia medyczne, w Prenzlau. W Niemczech prowadzę szpitalny oddział ginekologii operacyjnej. Jakiś czas temu zaczęłam opisywać przypadki Polek, które tu do mnie trafiają. I jest to również lista kobiet, które musiały uciekać z Polski, żeby nie umierać tylko dlatego, że są w ciąży.

Kobiety odnajdują panią w internecie, na Facebooku?

Czasem na Facebooku, gdzie dyżuruje moja córka, żeby mnie odciążyć, czasem znajdują numer telefonu, który krąży w sieci. Bywa, że po prostu dzwonią do szpitala do Prenzlau. I zawsze są tak samo zdesperowane. To słychać w ich głosie.

Kto dzwoni?

Ostatnio miałam całą serię przypadków, gdy w 12. lub 13. tygodniu wykryto poważne wady u płodu skutkujące zagrożeniem życia matki. Rozszczep kręgosłupa, wytrzewienie, brak kończyn, brak mózgu i czaszki... W Polsce, zamiast terminować taką ciążę, proponuje się kobiecie kolejne badania prenatalne, amniopunkcję, przewleka się, jak długo się da, tę pozorną diagnostykę, a na koniec oferuje może hospicjum perinatalne. Czy słyszała pani o czymś takim? Chyba tylko u nas można to było wymyślić.

Dzwoni do mnie kilka, a czasem kilkanaście kobiet w miesiącu. A to już prawo statystyki, że co któraś z nich trafia do mnie w stanie zagrożenia życia. Bo uszkodzony płód to nie tylko obciążenie dla całego organizmu kobiety – jej wątroby, nerek, już nie wspomnę o psychice – to ryzyko powikłań, które mogą się skończyć śmiercią. Tuż przed naszą rozmową dzwoniła kolejna taka pacjentka, z Torunia, że jedzie do mnie. Mam nadzieję, że nie dotrze za późno.

Dużo kobiet udało się pani uratować od ryzyka śmierci?

To bywa nawet jeden przypadek w każdym miesiącu. Przyczyny są różne, nie zawsze to uszkodzenie płodu, ale w tle jest zawsze ciąża i polska obsesja antyaborcyjna. Dopiero co wyjechała trzydziestokilkuletnia matka dwójki dzieci. Przyjechała z mężem aż z południowej Polski. Dowiedzieli się od lekarza, że to ósmy tydzień, że zarodek niby jest poza macicą, ale może jednak w macicy – i że w Polsce nie mogą jej pomóc. Jestem przekonana, że polscy lekarze doskonale rozumieli, co się dzieje, ale gdyby natychmiast usunęli źle ulokowany płód, jak powinni byli zrobić, to później jakiś prokurator mógłby się przyczepić... No

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 4a128c0fe4

więc badam ją. W brzuchu jest już półtora litra krwi. Ledwo zdążyliśmy ją przenieść na stół operacyjny. Gdyby ta macica pękła kilka godzin wcześniej, w drodze do Prenzlau, a nie już w szpitalu, pacjentka by nie przeżyła, nie miałaby szans.

W tamtym wypadku macicę też udało się uratować, choć nie było łatwo. Ale pacjentka odpowiedziała mi, że dziękuje, ale nie – więcej ciąż nie będzie. Koszty ratowania jej życia w Niemczech wyniosły kilka tysięcy euro, które polski NFZ oczywiście nam zwraca. Ale nie sądzę, żeby ktoś zainteresował się tym, dlaczego pacjentka w ogóle pojawiła się w Prenzlau, skoro kilkadziesiąt godzin wcześniej była w polskim szpitalu.

Opowiedzmy kolejny przypadek z pani „Pamiętnika".

Proszę bardzo. Kobieta jedzie do mnie po pomoc z głębi Mazur. Jedzie całą noc, bo wie, że walczy o życie – a nie chce osierocić trójki dzieci. Dociera już z gorączką i objawami sepsy. Jeszcze chwila i nie byłoby kogo ratować. Ciąża, 13. tydzień. Embrion z licznymi wadami rozwojowymi – wytrzewienie, rozszczep kręgosłupa, brak czaszki. Również i ta pacjentka została wypisana z polskiego szpitala. Rozpoznanie wad płodu było prawidłowe, ale ostatnie zdanie w wypisie brzmiało: „Brak podstawy prawnej do terminacji wadliwej ciąży". Przecież to jasne dla lekarza, że pozostawienie w macicy takiego płodu może kosztować kobietę życie. Kiedy czytam coś takiego, nie wierzę, że to się w ogóle może dziać...

Kobiety, które pani ratuje od śmierci, często mają już inne dzieci.

Najczęściej. Ostatnio ratowałam matkę pięciorga – i wszystkie dzieci przyjechały potem do mnie podziękować mi, że ją ocaliliśmy. Wstrząsnęło to mną, ciągle mnie ściska w gardle, kiedy o tym myślę. Ta pacjentka była w 12. tygodniu ciąży. Dotarła z objawami ostrego brzucha, oczywiście ona też świeżo wypisana z polskiego szpitala. To była jej szósta ciąża, pięć poprzednich rozwiązano przez cesarskie cięcia, więc macica była w strzępach. Badam i stwierdzam gigantyczny krwotok, embrion już w jamie brzusznej. Walczyliśmy o nią razem z chirurgiem przez kilka godzin. To, że z polskiego szpitala ją odesłano, to jedno – czego nie mogę pojąć. Ale nie mogę też zrozumieć, dlaczego odmówiono jej przecięcia jajowodów, choć wcześniej prosiła o to przy każdym cesarskim cięciu. Szósta ciąża to był dla niej wyrok. Ta macica nie miała szans wytrzymać. Z powodów hormonalnych pacjentka nie mogła skutecznie stosować antykoncepcji, spirale nie wchodziły w grę ze względu na stan macicy – więc wszystko wydawałoby się oczywiste. Więc co oni sobie myśleli?

Bali się oskarżenia o ubezpłodnienie, zagrożone karą do trzech lat więzienia.

Czy może mi pani wyjaśnić, kto i w jaki sposób miałby być poszkodowany przez takie ubezpłodnienie? Chyba tylko w Polsce można myśleć w ten sposób. Kiedy w końcu się ockniemy?

Ubezpłodnienie. Ten wątek powraca w pani „Pamiętniku" jako stały motyw.

Bo to jest stały motyw. Przykład z ostatnich dni. Przyjeżdża dwudziestokilkuletnia dziewczyna. Nie chce być w ciąży, bo jest nosicielką genu dystrofii Duchenne'a, prosi o przecięcie jajowodów. Gdyby w Polsce było normalne prawo, ona wiedziałaby, że będzie mogła terminować chory embrion i nie dręczyć dzieciaka i siebie. I pewnie zdecydowałaby się na ciążę. Strasznie było mi jej żal. Ale ona doskonale rozumiała, jakiego ryzyka się boi. Jej 20-letni brat umierał w męczarniach na dystrofię, a to straszliwa śmierć. Ostatnie, co pamiętała z ich wspólnego życia, to jak ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

Ofiary zakazu aborcji w Polsce

Agata Lamczak (miała 25 lat, zm. we wrześniu 2004 r.) – była w ciąży, gdy zdiagnozowano u niej wrzodziejące zapalenie jelita grubego. Odmawiano jej pełnej diagnostyki (w tym badań endoskopowych) w obawie przed uszkodzeniem płodu. Lekarze radzili, aby „martwiła się o brzuch, a nie dupę". Po tym, jak płód obumarł, u Agaty rozwinęła się sepsa i niewydolność oddechowa.

Justyna z Wodzisławia Śląskiego (34 lata, zm. w grudniu 2020 r.) – zmarła w piątym miesiącu ciąży. Lekarze odraczali wykonanie cesarskiego cięcia po przedwczesnym odejściu wód płodowych. Czekali, aż płód, u którego wcześniej stwierdzono wady rozwojowe, sam obumrze. Sytuacja zaczęła się pogarszać, pojawiła się sepsa. O śmierci Justyny jej partner dowiedział się od pielęgniarki przed szpitalną windą.

Anna Żbik ze Świdnicy (miała 32 lata, zm. w czerwcu 2021 r.) – trafiła do szpitala z wysoką gorączką i tam dowiedziała się, że płód obumarł. Zaczęto jej podawać oksytocynę, by wywołać skurcze porodowe. Anna rodziła przez kilkanaście godzin w ciężkim stanie zakażenia, podczas gdy błyskawicznie postępowała infekcja. Kolejnego dnia zmarła z powodu rozwiniętego wstrząsu septycznego i niewydolności wielonarządowej.

Izabela Sajbor z Pszczyny (30 lat, zm. we wrześniu 2021 r.) – ostatnią dobę spędziła w szpitalu, obawiając się o swoje życie. Na skutek bezwodzia wystąpił stan zapalny. Była w 22. tygodniu ciąży, miała 40 stopni gorączki, lekarz był u niej raz. W esemesach do swojej mamy pisała, że lekarze są bezczynni ze względu na ustawę antyaborcyjną, bo „serce płodu bije". Zmarła w wyniku sepsy. Sąd uznał trzech lekarzy za winnych rażących zaniedbań.

Agnieszka z Częstochowy (37 lat, zm. w styczniu 2022 r.) – przez tydzień nosiła w macicy martwy płód. Lekarze czekali, bo była szansa, aby „uratować drugie dziecko" z ciąży bliźniaczej. Drugi płód też obumarł, a Agnieszka zmarła wkrótce potem z powodu wycieńczenia organizmu i zakażenia. Do dzisiaj nie wiadomo, czy to nieprzerwana ciąża spowodowała śmierć Agnieszki, sekcja zwłok tego nie wykluczyła.

Marta z Katowic (miała 36 lat, zm. w kwietniu 2022 r.) – trafiła do szpitala w 20. tygodniu ciąży z silnym bólem brzucha. Od momentu przyjęcia na oddział wskaźniki stanu zapalnego w jej organizmie lawinowo rosły. Płód obumarł, ale nie zdecydowano o farmakologicznym poronieniu. Lekarze twierdzili, że „trzeba urodzić". Niedługo potem, trzy dni po trafieniu do szpitala, Marta zmarła.

Dorota Lalik z Nowego Targu (33 lata, zm. w maju 2023 r.) – została przyjęta do szpitala w 5. miesiącu ciąży po przedwczesnym odpłynięciu wód płodowych. Przez trzy doby kazano jej leżeć z uniesionymi nogami, licząc na „powrót wód". Zmarła z powodu sepsy oraz niewydolności wielonarządowej kilka godzin po obumarciu płodu.

▶ brat w niewyobrażalnych cierpieniach przeklinał ich matkę, że w ogóle go urodziła. Ja też widziałam, jak wygląda śmierć w dystrofii, i proszę mi wierzyć, to są rzeczy nie do zapomnienia. Więc mimo żalu, złości na taki stan rzeczy rozumiałam ją doskonale. Za to dziwię się społeczeństwu, które uważa, że powinno wymusić na kimś cierpienie. A jeśli chodzi o przecinanie jajowodów, sądzę, że to przykład jawnej dyskryminacji ze względu na płeć w Polsce.

Mężczyzna może zrobić wazektomię, a kobieta nie może przeciąć jajowodów.

W Polsce bardziej opłaca się narażać kobietę na śmierć. Jeden z ostatnich przypadków, które opisałam: kobieta, która przyjechała do mnie z mamą i niemowlęciem, chyba dwumiesięcznym. Była po trzecim cięciu cesarskim. Jej też odmówiono przecięcia jajowodów w czasie tamtego zabiegu, mimo że chorowała na epilepsję i kolejna ciąża była dla niej podwójnym ryzykiem. Z tego strachu, z tego stresu, że musi się przedzierać przez granicę, do obcego państwa, i z tego zmęczenia, z tym niemowlęciem, z tą mamą, równie zdenerwowaną jak ona, w trakcie zabiegu dostała ataku epilepsji. Skończyło się realnym zagrożeniem życia. Choć dwa miesiące wcześniej można było przeprowadzić ten zabieg na otwartym już brzuchu, w kilka minut, niezauważalnie.

Ale mówiąc o dyskryminacji ze względu na płeć, myślę też o tym, że państwo polskie z niewiadomych powodów blokuje pacjentkom również dostęp do profilaktyki. Przecięcie jajowodów jest rekomendowane także z powodów medycznych.

Jakich?

Na przykład przy endometriozie ta metoda niesie ogromne korzyści zdrowotne. Krew miesiączkowa przez jajowody nie cofa się do brzucha i nie osadza tam. Ryzyko endometrialnego raka jajnika spada o ponad 20 proc. Podobnie jest w przypadku niektórych innych schorzeń. W Niemczech przecięcie jajowodów traktuje się jak profilaktykę medyczną. W Anglii pacjentki po czterdziestce dostają od swoich lekarzy listy z propozycją rozważenia tej opcji. A gdzie jest na tej mapie Polska?

A inne polskie „specjalności" widoczne z perspektywy Prenzlau?

Dziury w macicach. Tu już przyczyny są dla mnie niepojęte, ale polskie szpitale zwykle nie wiedzą, jak szyć. W Niemczech niemal się to nie zdarza. W Polsce – nieustannie. Powikłania są uciążliwe, bo pacjentka z ubytkiem w macicy praktycznie przez cały czas krwawi. Miesiączki się ciągną, zaczynają się anemie, życie intymne leży. I co? Wciąż trafiam na pacjentki, które w Polsce usłyszały, że „taka ich uroda". Krwawi? No to niech sobie krwawi, choć należałoby to otworzyć i zszyć jeszcze raz. Ale skutkiem ubocznym tych źle zszywanych macic są właśnie źle ulokowane kolejne ciąże. Każda jest potencjalnie groźna dla życia kobiety. I każda jest traktowana przez polskie szpitale jak kukułcze jajo. Okołoaborcyjny problem.

Przyjeżdżają do pani też pacjentki, które w ogóle nie trafiły do szpitala, bo bały się polskich ginekologów.

Tak, to prawda. Zwłaszcza młode dziewczyny. Wiedzą, gdzie kupić środki przerywające ciążę, jak je zażyć, ale są tak nieufne w stosunku do lekarzy, że jeśli coś idzie źle, czekają, czekają. Na koniec przyjeżdżają do mnie. Kilka dni temu miałam taką pacjentkę. Zrobiła test, był dodatni. Wiedziała, że jest ciąża. Kupiła tabletki, zastosowała je, zaczęła krwawić. Ale czas mijał, a krwawienie nie ustępowało. Bolało ją, bolało, ale ona nie poszłaby do lekarza w Polsce. Była przekonana, że zaraz wpiszą ją do jakiegoś systemu rejestracji ciąż. Może aresztują?

W końcu, wyczerpana bólem, tym ciągnącym się od tygodni krwawieniem, przyjechała przez pół Polski do Niemiec. Gdzieś

eprasa.pl 4a128c0fe4

mnie znalazła w internecie. Okazało się, że ciąża była pozamaciczna. Na taką ciążę tabletki nie działają. Ją też ledwo uratowałam, bo ciąża była już dość duża. Masakra. To wszystko zaraz by pękło. A wtedy ta młodziutka dziewczyna pewnie by umarła. Myślę o niej jeszcze. Bo to nie ona powinna się bać lekarza albo więzienia. To państwo powinno sobie w końcu uświadomić skalę przestępstw, które co dzień popełnia na kobietach.

Pracuje pani i w Polsce, i w Niemczech. Czy te światy jeszcze się widzą?

Nie bardzo. Tych 30 lat okołoaborcyjnej histerii tak głęboko przeorało mentalność polskich lekarzy, że w wielu kwestiach nie zrozumieją się już oni z kolegami z zagranicy. Niemcy patrzą na polską ginekologię z rezerwą wynikającą z bezradności. Diagnostyka jest dziś na tak wysokim poziomie, że przypadki z Polski są w tym świecie kompletnie niezrozumiałe. Przeciętnemu ginekologowi z powiatowego miasta w Niemczech nie mieści się w głowie nie tylko, że można pozostawić w brzuchu kobiety wytrzewiony płód i nie uważać tego za przestępstwo medyczne, ale też nie rozumieją, że można przywoływać na świat kalectwo, nieszczęście, cierpienie, ból – i twierdzić, że tak jest lepiej. Pomysł hospicjum perinatalnego dla kobiet noszących płody bez czaszek mógł się zrodzić tylko w Polsce. Co więcej, ta przepaść pomiędzy światami wciąż się pogłębia. Na tyle, że większość niemieckich szpitali nie chce się już zajmować pacjentkami z Polski. Dzwonią do mnie, odsyłają je. Przynajmniej jednak mówią mi, w czym rzecz.

Ciągła konieczność ratowania czyjegoś życia w zastępstwie systemu to kosztowne dla pani.

Ja jestem waleczna. A kiedy już brakuje mi sił, to przypominam sobie, że mam córkę w wieku kobiet, które ciągle nie mogą się czuć w Polsce bezpiecznie. Spośród znanych mi młodych kobiet w wieku mojej córki większość już wyjechała z Polski. Ale ponieważ nie wyobrażam sobie, żeby ją ktoś mógł tak pozostawić bez pomocy, pracuję dalej. Nie mam wyjścia.

Jednak więcej niż ratowanie życia kobiet kosztuje mnie to, że państwo, które wyręczam w jego sprawach, postanowiło mnie nękać. Od lat ktoś składa na mnie donosy, policja już nieraz wpadała do mojego polskiego gabinetu. Przyjmuję tak wiele Polek po niemieckiej stronie granicy, że w internecie nie jestem już anonimowa. W 2023 r. do mojego polskiego gabinetu wpadło dla odmiany CBA i strasząc mnie krótką bronią, zarekwirowało całą moją dokumentację medyczną, karty wszystkich moich pacjentek z wielu lat. Szukano tam śladów mojego „pomocnictwa w aborcji". Pacjentki poskarżyły się na łamanie ich praw, ale prokuratura umorzyła sprawę, twierdząc, że mimo zabrania dokumentacji nikt nie zginął – a dokumentację odwiozła policja. Pacjentki skierowały tę sprawę dalej, do Strasburga.

Mnie z kolei postawiono zarzut pomocnictwa w aborcji, ale od półtora roku prokurator nie może zebrać dowodów na moje rzekome przestępstwo. Pozostaje mi żyć w cieniu tej sprawy. To kosztuje mnie chyba więcej niż historie, o których pani opowiedziałam.

Ale ponieważ nie jest łatwo mnie zastraszyć, przeciwnie – takie rzeczy na mnie nie działają – zaczęłam pisać swój pamiętnik. Wpis robię raz w tygodniu. Zamieszczam też zdjęcia płodów, co Facebook zaraz zamazuje, ale i bez tych zdjęć mój akt oskarżenia wobec polskiego państwa nieustannie rośnie. Bo mimo tak wielu nadziei w Polsce nic się nie zmieniło.

ROZMAWIAŁA MARTYNA BUNDA

REKLAMA

Zapisz się na newslettery POLITYKI i bądź na bieżąco

Newsletter poranny
5 najważniejszych tematów na dobry początek dnia.

Newsletter wieczorny
Najlepsze teksty i najważniejsze wydarzenia dnia w jednym mailu.

Kulturalny newsletter „Polityki"
Co tydzień podpowiadamy, co przeczytać, obejrzeć i zobaczyć.

Newsletter historyczny
Historia, która pomaga lepiej zrozumieć współczesność.

Najnowsze wydania specjalne „Polityki"
Informacje o nowych wydaniach specjalnych i premierach dla subskrybentów.

Wybierz swój!

polityka.pl/newslettery

eprasa.pl 4a128c0fe4

Tylko trzy miesiące obowiązywała doktryna dwóch płuc PiS. Teraz Jarosław Kaczyński uznał, że wystarczy mu jedno, i wyrzucił z partii frakcję Mateusza Morawieckiego. Co to oznacza dla sceny politycznej?

Rozwód Plus

WOJCIECH SZACKI

Jest w jakimś sensie po wszystkim – podsumował ostatnie chwile Mateusza Morawieckiego i jego ludzi w PiS Jarosław Kaczyński. Był piątek 24 lipca, kilkanaście godzin wcześniej minął termin ultimatum, które władze partii postawiły członkom stowarzyszenia Rozwój Plus i które zostało przez nich zignorowane. Największy rozłam w historii PiS stał się faktem. Z ugrupowaniem żegna się 40 posłów, jeden senator i trzech europosłów.

Pisowskie armaty zaczynają strzelać w Morawieckiego – teraz to już doradca Donalda Tuska, przeciwnik programu 800 plus i zakupu myśliwców F-35; działacze Rozwoju Plus odpowiadają, że grupa intrygantów przejęła PiS, i sugerują, że Kaczyński stracił panowanie nad partią. Uruchamiają się skrypty znane z poprzednich rozłamów – od Prawicy RP Marka Jurka po Solidarną Polskę Zbigniewa Ziobry.

Ale nie jest „po wszystkim". Zaczyna się całkiem nowa historia i nawet jej bohaterowie nie mają pojęcia, jak ich przygoda się zakończy. Ba, trudno nawet wskazać dokładny moment, kiedy się zaczęła.

Ultimatum Sasina i Kaczyńskiego

Wiadomo natomiast, kiedy sprawy przyspieszyły. W środowe popołudnie 15 lipca zebrało się prezydium komitetu politycznego PiS, tradycyjnie już bez Morawieckiego, który kilka miesięcy wcześniej oznajmił, że nie zamierza uczestniczyć w obradach tego zdominowanego przez jego oponentów ciała.

© SHUTTERSTOCK AI/LEL

eprasa.pl 4a128c0fe4

W tym dniu na Nowogrodzkiej sporo się zresztą działo; Kaczyński wystąpił w towarzystwie Marka Wocha i ogłosił, że porozumiał się z nim w sprawie startu w wyborach do Senatu. Było to wydarzenie z gatunku dziwnych, bo Woch słynie z tego, że w każdych wyborach zajmuje ostatnie miejsce (w kampanii prezydenckiej z 2025 r. zdobył 0,09 proc. głosów), ale wnet okazało się, że to tylko preludium do decyzji ważniejszych niż sojusz z niedawnym kolegą Grzegorza Brauna.

Kierownictwo PiS podjęło uchwałę zobowiązującą parlamentarzystów do wypisania się ze stowarzyszeń założonych przez polityków PiS pod groźbą utraty członkostwa w partii. Na podpisanie lojalki dostali czas do północy w czwartek 23 lipca.

Ultimatum – przygotowane przez lidera frakcji maślarzy Jacka Sasina – było wymierzone w Morawieckiego, który w kwietniu wbrew Kaczyńskiemu założył stowarzyszenie Rozwój Plus skupiające ponad 40 polityków PiS.

Ruch Kaczyńskiego i Sasina zaskoczył harcerzy, czyli frakcję byłego premiera. Przecież nie tak dawno – 21 kwietnia – Kaczyński i Morawiecki po kolacji u europosła Adama Bielana ogłosili doktrynę „dwóch płuc", którymi miał odtąd oddychać PiS. Prezes zalegalizował istnienie frakcji ekspremiera, a Morawiecki zapewniał, że jego stowarzyszenie działa na rzecz PiS, by docierać do bardziej umiarkowanego elektoratu, gdy kandydat na premiera Przemysław Czarnek miał się bić z Konfederacją i Koroną o wyborców radykalniej prawicowych.

Gdy władze PiS ogłaszały ultimatum, harcerze przygotowywali się do swej pierwszej dużej imprezy – zaplanowanego na 31 lipca w Warszawie grilla dla około tysiąca uczestników w połączeniu z rozmowami o gospodarce, bezpieczeństwie i demografii.

Fiasko rozmów ostatniej szansy

Po ultimatum zrobiło się nerwowo. Ze stowarzyszenia zrejterował europoseł Daniel Obajtek. Polem bitwy między frakcjami stał się X (dawny Twitter), gdzie co rusz dochodziło do malowniczych awantur (łącznie z apelem „stul pysk!" i zapowiedzią pozwu) maślarzy z harcerzami, czemu w osłupieniu przypatrywali się wyborcy prawicy. Negocjacje trwały do ostatniej chwili. Wysłannicy Morawieckiego – Paweł Jabłoński i Szymon Szynkowski vel Sęk – rozmawiali z szefem struktur PiS Piotrem Milowańskim, torując drogę do czwartkowego spotkania byłego premiera z prezesem.

Morawiecki poszedł na Nowogrodzką z pakietem ustępstw. Proponował ograniczenie działalności Rozwoju Plus, zmianę jego statutu oraz powołanie rady konsultacyjnej, która koordynowałaby aktywności partii i stowarzyszenia. Zaoferował też, że zrezygnuje z funkcji wiceprezesa PiS. Sądził, że idzie na rozmowę w cztery oczy, ale na miejscu zastał Sasina, którego Kaczyński przedstawił jako szefa maślarzy. Dla polityków Rozwoju Plus był to czytelny sygnał, że zgody nie będzie. Prezes postawił dwa warunki, które lider stowarzyszenia odrzucił: zaprzestanie działalności Rozwoju Plus oraz podpisanie lojalki. Ostatnie godziny ultimatum niczego nie zmieniły. Posłowie bliscy Morawieckiemu byli telefonicznie wzywani na indywidualne rozmowy na Nowogrodzką – PiS próbował ograniczyć skalę rozłamu – ale nikt się już nie wyłamał.

Dzień później Kaczyński wystąpił na Nowogrodzkiej: „Trzydziestu kilku posłów naszej formacji zrezygnowało z członkostwa. Komitet polityczny przyjmie ten fakt do wiadomości. Sprawa ta jest związana ze stowarzyszeniem Morawieckiego, ale przede wszystkim z propozycją, która padła już wiele tygodni temu, żeby podzielić naszą partię. W tej sytuacji nie mogliśmy patrzeć na Stowarzyszenie inaczej niż jako na element planu podziału partii".

Morawiecki z grupą parlamentarzystów zrobił konferencję w Sejmie, a w późniejszym wywiadzie w TV Republika tłumaczył: „Byliśmy zaskoczeni tym bardzo brutalnym wypchnięciem nas z PiS. Nie chcieliśmy tego do samego końca i walczyliśmy o zgodę. Nie ma dzisiaj hegemona na prawicy. Musimy uczyć się współpracować".

Dlaczego się rozwiedli

Rozmowy z politykami PiS i Rozwoju Plus nie dają jasnej odpowiedzi na pytanie o przyczyny rozłamu. Niewykluczone, że zarówno Kaczyński, jak i Morawiecki chcieli tego uniknąć, ale na jakimś etapie przestali panować nad rzeczywistością i toczącymi się w partii procesami, a rozstanie stało się jedynym wyjściem z sytuacji bez dobrego wyjścia.

Morawiecki – by sięgnąć do języka prawa karnego – mógł działać w zamiarze ewentualnym; rozłam nie był jego celem, ale jako doświadczony polityk musiał brać pod uwagę, że do niego dojdzie. Na starcie tej rozgrywki, wiele miesięcy temu, miał trzy duże słabości. Po pierwsze, mało kto w PiS widział w nim lidera; posłowie traktowali go jako wykonawcę poleceń Kaczyńskiego, a nie jako partnera prezesa. Po drugie, na jego otoczenie składała się garstka najbliższych współpracowników z czasów premierowania. Po trzecie, współpracownicy ci byli poza partyjnymi ciałami decyzyjnymi.

Morawiecki poświęcił mnóstwo czasu i energii, by to zmienić. Zaczął się stawiać prezesowi, pokazywał się jako potencjalny lider. Tu zlekceważył polecenie stawienia się na posiedzeniu władz PiS, ówdzie zorganizował konkurencyjne wobec partyjnego spotkanie wigilijne; powtarzał, że ponownie chce zostać premierem. Z czasem zaczął kwestionować także strategię PiS, jego retorykę i wybory personalne.

Równolegle poszerzał zaplecze. Wyszedł poza grono młodszych polityków, którzy byli ministrami i wiceministrami w jego rządzie, i sięgnął po posłów z dalszych ław, pozbawionych protektorów, skłóconych z okręgowymi władzami PiS, niepewnych przyszłości. Wreszcie założył stowarzyszenie, do którego przystąpiło ponad 40 parlamentarzystów. W kolejnym kroku celem było zmuszenie Kaczyńskiego do przebudowy kierownictwa PiS i wpuszczenie do władz grupy stronników byłego premiera – miało to zabezpieczyć interesy frakcji Morawieckiego na etapie tworzenia list wyborczych. Ten statek już odpłynął, ale wcześniej lider Rozwoju Plus zdążył urosnąć w partii bardziej niż którykolwiek z dawnych rozłamowców.

To zaś postawiło Kaczyńskiego przed dylematem. Mógł wyrzucić Morawieckiego i jego ludzi za cenę potężnego rozłamu. Albo zaakceptować frakcję w partii, która przez ćwierć wieku była budowana tak, by frakcje nie zaistniały. To byłoby jak wciskanie kwadratowego klocka w trójkątny otwór, zadanie frapujące, lecz efekt mizerny. Bo istnienie frakcji wymusza demokratyzację procedur, kompromisy, w miarę cywilizowaną rywalizację, słowem – wszystko to, co w uniwersum Kaczyńskiego nie miało racji bytu. I to mogła być przyczyna wyrzucenia Morawieckiego i spółki.

Jednak może być i tak, że Kaczyński jedynie uprzedził ruch byłego premiera, który szykował się już do ewakuacji. Bo Morawiecki, choć się wzmocnił, to ciągle był daleko od osiągnięcia celu. Zgromadził spore siły, ale wciąż był w mniejszości, bez szans na przejęcie władzy nad PiS. Partia – to język morawiecczyków ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ – szła w suwpolizację (czyli upodobniała się do ugrupowania Ziobry), ewentualnie stawała się podróbką prawicowej konkurencji („Konfederacja z Temu"), a kandydatem na premiera był umiarkowanie ceniony przez Morawieckiego Czarnek. Były premier mógł uznać, że lepiej mu będzie bez Kaczyńskiego, a prezes go przejrzał i uderzył pierwszy w dogodnym dla siebie momencie.

Jest wreszcie i trzecia hipoteza – że Morawiecki padł ofiarą rosnących w siłę maślarzy. Ci intryganci (jak nazywają ich członkowie Rozwoju Plus) mieli opleść mackami swoich wpływów Kaczyńskiego i skłonić go do wykluczenia frakcji byłego premiera. Poza Sasinem grupę tę tworzą m.in. Tobiasz Bocheński, Patryk Jaki, Elżbieta Witek, Kacper Płażyński, Rafał Bochenek, Andrzej Śliwka czy Jacek Kurski. Dla tej koterii Morawiecki – poza kwestią osobistej niechęci – był groźny z dwóch powodów. Jego ludzie stanowili konkurencję przy układaniu list wyborczych, a po drugie – po wyborach frakcja harcerzy mogłaby być na tyle silna, że Morawiecki zyskałby pozycję de facto koalicjanta, bez którego PiS nie miałby większości.

Niezależnie od tego, która z tych hipotez jest najbliższa rzeczywistości (a ziarno prawdy może być w każdej), rozłamowi sprzyjały też okoliczności sondażowe. Poparcie dla PiS jest znacznie niższe niż w 2023 r., a to sprawia, że wszyscy – od Kaczyńskiego po szeregowych posłów – stają się nerwowi. Z obecnych badań wynika, że partia straci ok. 50 mandatów, a więc politycy są bardziej skłonni do gwałtownych ruchów.

Kim są ludzie Morawieckiego i co planują

Na starcie były premier ma za sobą 39 posłów (plus siebie), reprezentujących 28 z 41 okręgów wyborczych. Rzuca się w oczy nadreprezentacja niektórych regionów: po trzech posłów pochodzi z okręgów: legnickiego, wałbrzyskiego (PiS nie ma tu teraz ani jednego posła), lubelskiego oraz świętokrzyskiego. Pustawo na tej mapie jest zaś na północnym zachodzie – Morawiecki nie ma nikogo w województwach lubuskim i zachodniopomorskim. Nie zdobył też na razie przyczółków w woj. podlaskim i opolskim oraz w części okręgów śląskich i wielkopolskich.

Średnia wieku posłów Rozwoju Plus to 53 lata, ciut mniej niż całego PiS. Trudno mówić o jakimś buncie pokoleniowym. Jest i 33-letni Robert Gontarz, i 77-letni Ryszard Terlecki. W stowarzyszeniu Morawieckiego spotkali się liczni weterani jego rządu: Waldemar Buda, Michał Dworczyk, Piotr Müller, Łukasz Schreiber, Agnieszka Ścigaj, Marcin Horała, Paweł Jabłoński, Szymon Szynkowski vel Sęk, Janusz Cieszyński, Olga Semeniuk-Patkowska, Grzegorz Puda, Ireneusz Zyska, Krzysztof Szczucki, Marzena Machałek, Krzysztof Kubów czy senator Włodzimierz Bernacki.

Odnaleźli się tu także mniej znani posłowie: Elżbieta Duda, Grzegorz Lorek, Mirosława Stachowiak-Różecka, a także Sylwester Tułajew i Sławomir Skwarek.

Secesjoniści po cichu zapowiadają też, że wkrótce można się spodziewać jeszcze kilku transferów z PiS, które podgrzałyby atmosferę i zwiększyły zainteresowanie nową siłą.

Morawiecki tuż po rozłamie nie chciał zdradzać planów na najbliższe dni, ale jest jasne, że pierwszym krokiem będzie utworzenie klubu parlamentarnego. Byłby on trzeci co do wielkości w Sejmie i zapewne dostałby fotel wicemarszałka sejmu. Na horyzoncie majaczy też założenie własnej partii. Były premier celowałby w miejsce, które kiedyś zajmowała Trzecia Droga, tylko o bardziej prawicowym zabarwieniu. A więc: konkurencja z Kaczyńskim, zwalczanie maślarzy, wrogość wobec Tuska i Lewicy, gotowość do debaty z PSL i Polską 2050 z jednej strony, a Konfederacją z drugiej. Do tego przyjazne relacje z Karolem Nawrockim. Program byłby nieodległy od propozycji PiS, lecz okraszony rozwojowo-technokratyczną retoryką byłego premiera; inna będzie zapewne retoryka wobec UE.

Stowarzyszenie Rozwój Plus liczy ok. 200 osób, ale podobno kolejne 250 zgłoszeń czeka na weryfikację. Nasi rozmówcy z otoczenia Morawieckiego zapewniają, że dołączą do nich samorządowcy, także obecni radni z PiS.

Co to zmieni na scenie

Wyłania się z tego obraz największego kryzysu PiS w historii. PJN w 2010 r. i Solidarna Polska w 2011 r. z trudem utworzyły kluby parlamentarne, Morawiecki ma więcej posłów niż te ugrupowania razem. Co więcej – PiS w tamtych czasach nie mierzył się z żadną poważną konkurencją na prawicy, a dziś będzie musiał nawigować między Rozwojem Plus, Konfederacją i Koroną.

Do pierwszych sondaży uwzgledniających formację Morawieckiego (dają mu kilkuprocentowe poparcie) nie należy się przywiązywać, ale jeśli we wrześniu–październiku notowania Rozwoju Plus ustabilizują się na poziomie 6–7 proc., Kaczyński będzie miał potężny problem, bo będą to procenty wyrwane głównie jemu.

Jeszcze groźniejsze dla PiS byłoby powstanie wrażenia, że jest to partia schyłkowa, ze słabnącym i starzejącym się liderem, której ton nadają Sasin z Kurskim i Dariuszem Mateckim, a do kampanii prowadzi ją Czarnek (Czarnek to zresztą osobna katastrofa; w środku rozłamu PiS chwalił się, że doprowadził do konsolidacji partii i jej sondażowych wzrostów, a sam zajmuje jedno z ostatnich miejsc w sondażach zaufania do polityków, daleko za Morawieckim).

W krótkiej perspektywie z secesji Morawieckiego korzysta Tusk, bo awantura na prawicy usunęła w cień niemal wszystkie inne tematy. Cieszy się też Konfederacja, która w osłabieniu PiS widzi szansę na swój awans na drugie miejsce w sondażach.

Wzmacnia się Nawrocki – na tle tego, co dzieje się na prawicy, prezydent prezentuje się jak prawdziwy lider i może występować jako patron całości.

Ale dopiero za kilka miesięcy będzie wiadomo więcej, w jaką stronę to zmierza. Rysują się trzy scenariusze.

W pierwszym Rozwój Plus okazuje się niewypałem, ląduje trwale pod progiem wyborczym albo balansuje wokół niego, a jego samodzielne bytowanie kończy się wchłonięciem przez PiS tuż przed kampanią wyborczą, już na wasalnych zasadach.

W drugim Morawieckiemu udaje się wkroczyć na terytoria dawnej Trzeciej Drogi, przejąć trochę wyborców PiS i Konfederacji i urosnąć do 10 proc. Wtedy PiS ze swoimi, powiedzmy, 22 proc. głosów miałby szansę wrócić do władzy w koalicji z Rozwojem Plus i Konfederacją, ale już bez Brauna. W spiskowych teoriach o wielkim tajnym planie Kaczyńskiego właśnie o to miało chodzić, o wyeliminowanie z przyszłego rządu Brauna i jego ludzi.

W trzecim scenariuszu Morawiecki konsekwentnie podbiera poparcie swojej dawnej partii, której notowania spadają do kilkunastu procent; prawica powtarza więc do pewnego stopnia historię Unii Wolności i Platformy Obywatelskiej.

Ale można też sobie wyobrazić jeszcze dalej idące zmiany; rozłam w PiS byłby wówczas tylko fragmentem dużo większej całości. Konstrukcja stworzona przez Tuska i Kaczyńskiego nie będzie istniała wiecznie. Morawiecki, budując swoją frakcję, być może zrobił pierwszy krok do jej rozszczelnienia.

WOJCIECH SZACKI

eprasa.pl 4a128c0fe4

© PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Projekt Petru

Nie tylko na opozycyjnej prawicy dokonują się zmiany na partyjnej scenie. Także Ryszard Petru zapowiedział powstanie nowego wolnorynkowego ruchu politycznego, który ma podbierać wyborców Konfederacji i zebrać dawny elektorat Trzeciej Drogi. Będzie Nowoczesna Plus?

RAFAŁ KALUKIN

To już trochę inny Petru niż za pierwszym podejściem sprzed dekady. W czasach Nowoczesnej nieco przypominał bohatera szalonej kreskówki, który zawsze gdzieś pędzi na złamanie karku, wszystko mu się plącze, nie potrafi ocenić konsekwencji własnych decyzji. Teraz można odnieść wrażenie, że płyta przestała przyspieszać i wreszcie kręci się na prawidłowych obrotach. W ubiegłym tygodniu zaliczył szeroki przelot przez media, który powinien uznać za udany. Petru był spójny, kontrolował sens wypowiedzi, przekonująco argumentował. Tak jakby dopiero po przekroczeniu pięćdziesiątki udało mu się wreszcie nabrać cech dojrzałego polityka.

Próby powrotu do politycznej ekstraklasy zawsze są jednak trudne, gdyż publiczność ma wdrukowane stare wizerunki z czasów upadku. Tylko nieliczni, jak choćby Donald Tusk w latach 90., potrafili po przymusowej karencji zbudować się od nowa. Pewnie więc jeszcze długo będą ciążyć Petru jego słynne gafy, które w epoce mediów cyfrowych łatwo jest przecież odświeżać. Tak samo wspomnienie nieszczęsnego wypadu na Maderę w samym środku kryzysu politycznego, nawet jeśli życie dopisało do farsowej historii poważny happy end. Klubowa koleżanka, z którą lider Nowoczesnej wówczas romansował, od paru lat jest jego żoną.

Ambicję powrotu do pełnienia poważniejszych politycznych ról sygnalizował już od wielu miesięcy. Przed wakacjami ogłosił zamiar powołania nowej formacji politycznej pod roboczą nazwą „ruchu na rzecz wolności", chociaż na razie ogranicza się jedynie do przedstawienia ogólnych założeń. W rozmowie z POLITYKĄ zapewnia, że nie należy oczekiwać prostej powtórki z przeszłości, czegoś w rodzaju Nowoczesnej bis, kolejnej wodzowskiej partii. Samego siebie określa mianem współorganizatora, a z czasem mają oficjalnie dołączyć inni frontmani. „Ludzie nie tyle z polityki, co z okolic polityki", jak ich tajemniczo opisuje, przy czym trudno się rozeznać, jaki jest stopień zaawansowania całego planu.

Ale to w końcu dopiero etap gruntowania ścian przed nałożeniem właściwych kolorów. Premiera nowego ruchu zapowiadana jest na początek przyszłego roku. A więc wszystko ma się odbywać zgodnie z regułami sztuki, które zazwyczaj skłaniają politycznych debiutantów do wykładania kart na stół mniej więcej dziewięć miesięcy przed wyborami.

Wolnorynkowo i bez szaleństw

Zarazem doświadczenie uczy, że w każdym nowym sejmowym rozdaniu powinien pojawić się jakiś debiut. Zazwyczaj okazują się to z perspektywy czasu kariery krótkotrwałe, ograniczone do jednej kadencji. Tak było chociażby z Nowoczesną, a teraz wszystko wskazuje, że podobny los czeka Polskę 2050. Co nie zmienia tego, że trzy lata temu jako większościowy udziałowiec Trzeciej Drogi formacja Hołowni odegrała w wyborach istotną rolę, przyczyniając się w poważnym stopniu do zdobycia większości przez demokratyczną koalicję. ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ Przy udziale samego Petru, który będąc wówczas przygarniętym przez Hołownię wolnym strzelcem, powrócił po paroletniej przerwie do Sejmu. Na początku tego roku ubiegał się nawet o przywództwo w Polsce 2050, a dzisiaj wciąż jeszcze należy do sejmowego klubu uchodźców z tej partii spod szyldu Centrum. Do zakładanej przez to środowisko nowej partii zapisywać się jednak nie zamierza, gdyż ma własny, dużo ambitniejszy plan samodzielnego wypełnienia ziejącej pustki po zanikającej Trzeciej Drodze.

Sięga po mniej więcej te same patenty, co wcześniej Hołownia w sojuszu z PSL, czyli stawia na ekonomiczny liberalizm i wspieranie wolnej przedsiębiorczości. Tyle że teraz będzie trudniej się przebić z takim programem, gdyż – jak twierdzi Petru – rządząca koalicja zawiodła swoich wolnorynkowych zwolenników, wycofując się z większości złożonych trzy lata temu obietnic i zbyt często ustępując pola Lewicy (jak ostatnio w sprawie ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy). Nic dziwnego, że poszli w rozsypkę albo co gorsza odeszli pod skrzydła Konfederacji i teraz może być problem z ich odzyskaniem dla demokratycznej strony. Ale bez tego może być trudno z odbudowaniem większości – i to właśnie Petru chciałby podjąć się tego wyzwania.

W tym celu należy się jednak najpierw trochę cofnąć, poluzować szyki, zacząć wreszcie stawiać rządowi Tuska konkretne wyzwania. Dla Petru kluczowa i pod wieloma względami symboliczna pozostaje kwestia nieobniżonej składki zdrowotnej, którą wcześniej, ku utrapieniu przedsiębiorców, wywindował w górę rząd Mateusza Morawieckiego. Jeśli więc gabinet Tuska poważnie myśli o tej grupie – dodaje były lider Nowoczesnej – powinien jak najprędzej zrealizować wyborczą obietnicę. Jego zdaniem moment jest teraz sprzyjający, gdyż ujawnienie bajońskich zarobków lekarzy na publicznych kontraktach pokazało skalę marnotrawstwa pieniędzy w służbie zdrowia, która wymaga nie tyle kolejnych pieniędzy, ile uporządkowania wydatków.

Zarazem Petru nie zamierza wchodzić do rozpędzającej się licytacji na kolejne obietnice. W niedawnej rozmowie z TVP Info wręcz hamował oczekiwania swoich potencjalnych zwolenników. Popierając obniżenie składki, jednoznacznie dawał do zrozumienia, że po zrealizowaniu tej obietnicy już nie będzie w budżecie pieniędzy na podwyższenie drugiego progu podatkowego oraz wolnej kwoty. Bo możliwości są ograniczone i trzeba się na coś zdecydować, a zarazem bardzo się pilnować, żeby nie dokładać nowych podatków i najlepiej jeszcze ustabilizować system fiskalny, wydłużając o rok okres *vacatio legis* dla wszelkich zmian.

Być może dała tutaj o sobie znać przeszłość finansisty i bankowca, który musiał pracować na kalkulatorze. Chociaż ekonomiczna odpowiedzialność to przy okazji w pełni już zamierzony element politycznego wizerunku Petru, czym chce się odróżnić od uprawiającej wolnorynkowy populizm Konfederacji. Lubi zresztą określać swój nowy projekt jako Konfederację *light*, co jest zabiegiem czytelnym, jeśli chodzi o wskazanie miejsca na scenie, ale też dosyć ryzykownym w podkreślaniu imitacyjnego charakteru przedsięwzięcia. Szczególnie kiedy adresatem przekazu mają być wyborcy raczej młodzi, a więc ponadprzeciętnie wyczuleni na autentyzm. Jak zatem przekonać ich do formacji, która już na starcie pokazuje, że woli świecić światłem odbitym i do tego wyblakłym? Z Konfederacji *light* może się więc zrobić wrażenie Konfederacji *zero*.

Spacer po linie

Petru najwyraźniej polubił jednak swoją rolę cienia Sławomira Mentzena z poprzedniej kampanii parlamentarnej. Niemal całą uwagę skupił wtedy na liderze Konfederacji, którego konsekwentnie próbował demaskować jako wolnorynkowego blagiera z wyuczonym zestawem tyleż radykalnych, co pustych frazesów. Co miało przy okazji uwypuklać dzielący ich dystans wiedzy, powagi i autorytetu. „Podyskutujmy jak ekonomista z doradcą podatkowym" – zagajał z ostentacyjnym szyderstwem.

A rybka o dziwo połknęła haczyk i dała się namówić na radiową debatę, co dla nadmiernie pewnego siebie konfederaty skończyło się dosyć kiepsko. Za to powracający z politycznych zaświatów Petru mógł się po raz pierwszy zalegalizować w zupełnie nowej dla siebie przestrzeni mediów społecznościowych, które z jego potyczki z Mentzenem uczyniły polityczny szlagier. Pod koniec tamtej kampanii miała jeszcze miejsce nieoczekiwana dogrywka, kiedy Petru pojawił się na wiecu Mentzena w Poznaniu i na oczach fanów sprowokował gospodarza do wygłoszenia emocjonalnej, utrzymanej głównie w tonie *ad personam* tyrady.

Ale w przyszłym roku powinno to już oczywiście wyglądać zupełnie inaczej. Koniec z rolą osobistego „plastra" Mentzena, co ogranicza się do konsekwentnego podcinania skrzydeł frontmanowi Konfederacji. W kolejnej kampanii ma to być już starcie pełnoprawnych liderów swoich formacji, którzy bezpośrednio rywalizują o wyborców. Dodajmy: formacji o zbliżonym profilu, chociaż mimo wszystko zasadniczo odmiennych, znajdujących się po zupełnie innych stronach sceny politycznej.

Swoją ofertę Petru kieruje bowiem do pewnej tylko części elektoratu Konfederacji. Tego najbardziej liberalnego, dla którego najważniejsza jest wolność gospodarcza, popierającego dotąd KO bądź Trzecią Drogę, a teraz rozczarowanego do koalicji 15 października. W konfederackim pakiecie tacy wyborcy przeważnie dostrzegają jedynie hasła niskich podatków i ogólnej redukcji państwa, często na siłę odwracając wzrok od pozostałych komponentów, czyli nacjonalizmu, kulturowego konserwatyzmu oraz ideologicznej wrogości wobec Europy. Chodzi więc o to, żeby zapewnić im przyjaźniejszą polityczną przystań, w której wszystkie elementy układanki będą do siebie pasować.

Mimo wszystko – jak tłumaczy nam Petru – nowy projekt ma pozostać dosyć bliski niektórym prawicowym wrażliwościom. Inaczej niż dekadę temu Nowoczesna, która łączyła ekonomiczny liberalizm z wyraźnie progresywnym kursem. Teraz, zgodnie z ogólnym klimatem epoki, ma być bardziej konserwatywnie, tyle że na modłę realistyczną, możliwie najdalej od prawicowego *kulturkampfu*. W sumie mniej więcej w ten sam sposób, jak robi to dzisiaj niemal cały unijny mainstream, który idąc za „zdrowym rozsądkiem", dystansuje się od filarów swojej dotychczasowej polityki.

W takim właśnie duchu Petru opowiada nam o potrzebie zaostrzenia polityki migracyjnej. Krótko mówiąc: przyjmujemy wyłącznie migrantów potrzebnych na rynku pracy, dodatkowo zobowiązując ich do nauki języka i przyjęcia naszych norm kulturowych. Drugi żelazny temat to oczywiście polityka klimatyczna,

eprasa.pl 4a128c0fe4

którą „należy robić z głową”, żeby nie dobijać polskiej gospodarki cenami energii. Chociaż Petru po chwili zastrzega, że dopłacanie do węgla po blisko 10 mld zł rocznie – czyli tyle samo, ile budżet państwa przeznacza na kulturę – to jeden z tych polskich absurdów, z którymi należałoby jak najprędzej skończyć.

Planowana Konfederacja *light* nie zapomina wreszcie o młodych mężczyznach, chociaż bez otwartego negowania polityki równouprawnienia. Wystarczy, że będzie ona działać w obie strony, a z tym bywa u nas różnie. Petru uczula zatem na orzecznictwo sądów rodzinnych, które decydując o prawie do opieki nad dziećmi w sprawach rozwodowych, z reguły traktują potrzeby ojców po macoszemu. Dawniej nie było to być może wielkim społecznym problemem, gdyż mężczyznom mniej zależało na relacjach z dziećmi, ale normy kulturowe się zmieniają, ojcowie stają się bardziej odpowiedzialni i czas się zająć systemowo tą sprawą.

Co z tym liberalizmem?

Pod wieloma względami widać w takim podejściu konserwatywną postawę w duchu anglosaskim, która nakazuje nie stawać na drodze postępu, ograniczając się jedynie do punktowych korekt i prób kontrolowania tempa zmiany. Zarazem projekt Petru może sprawiać jednak wrażenie wykoncypowanego, trochę nadmiernie wyregulowanego pod polityczną konieczność pogodzenia sprzeczności. Jego lider niewątpliwie jest świadom reguł współczesnego świata i próbuje się do nich dostosować. Ale czy je faktycznie czuje?

W trakcie godzinnej rozmowy chwilami można odnieść wrażenie, że wciąż siedzi w nim ukształtowany w latach 90. polski liberał, skądinąd dawny wychowanek Leszka Balcerowicza. Zasadniczo nieufny wobec państwowych i unijnych regulacji, które ograniczają „niewidzialną rękę rynku”. I dotyczy to nawet regulowania działalności amerykańskich platform cyfrowych, które przecież w epoce transatlantyckich napięć coraz częściej stają się źródłem polityczno-ideowej dywersji wymierzonej w europejski projekt. Petru odmawia jednak uznania, że świat zmienił się już na dobre. Jego zdaniem prezydentura Trumpa to tylko przejściowa anomalia, po której świat powróci do pionu.

Odbija się w takich nadziejach dosyć karkołomne pragnienie przywrócenia również ideowej hegemonii liberalizmu epoki rozlewającej się po całym świecie globalizacji. W czasach swojej świetności faktycznie był on konstrukcją spójną, która łączyła sferę polityczną i ekonomiczną z idealistyczną wizją stosunków międzynarodowych. Ówcześni liberałowie szczerze wierzyli w ostateczny triumf demokracji, wolnego handlu i pokojowego ładu opartego na zbiorowych porozumieniach. Im mniej było w tym wszystkim państwa i narodowych egoizmów, tym lepiej.

W Polsce czasów transformacji tamten liberalizm był swoistym wyznaniem wiary w modernizację na wzór zachodni. Politycznie pozostawał jednak niszowy, gdyż warstwa beneficjentów zmiany długo pozostawała relatywnie niewielka, a sama transformacja większości Polaków kojarzyła się z udręką. Czego efektem stała się z czasem czarna legenda liberalizmu, będąca zaczynem politycznego podziału populistycznego na „lud” i „elity”, społeczną górę i dół. Z czego najpierw wzięło się poparcie dla PiS, chociaż mniej więcej na półmetku rządów tej partii socjalne napięcie zaczęło słabnąć, wypierane przez zupełnie inną emocję.

W efekcie dosyć nieoczekiwanie spadł popyt na rozdawnictwo, zastąpiony oczekiwaniem czegoś, co mogło wyglądać na potrzebę liberalnego zwrotu, chociaż tak naprawdę nie miało nic wspólnego z liberalizmem. Ową rozbudzoną potrzebą był społeczny egoizm. Skąd się wziął? Niewątpliwie z lęków rozbudzonych w czasach covidu i wojny w Ukrainie, chociaż należałoby pewnie poszerzyć perspektywę. W wydanej niedawno „Rewolucji ambicji” Jakub Dymek przekonująco wywodzi, że to dosyć paradoksalny skutek tak bardzo niegdyś upragnionego dogonienia Zachodu. Oto spełniło się marzenie ojców transformacji i większość Polaków poczuła się wreszcie wygranymi. Tyle że nie stali się od tego lepsi. Odtąd ich najważniejsza polityczna potrzeba sprowadza się do tego, żeby świeżo zdobyte bogactwo zabezpieczyć. A więc zakopać pod siebie i z nikim się nie dzielić. Jak najmniej oddawać łapczywemu państwu, przestać dokładać do „klimatycznego szaleństwa” i innych ograniczających życiową przestrzeń pomysłów Unii Europejskiej, wreszcie pogonić „żyjących za nasze” Ukraińców i innych obcych.

I jak powszechne są to obawy, można było dostrzec w trakcie ubiegłorocznej kampanii prezydenckiej, kiedy wszyscy kandydaci – z wyjątkiem skromnego lewicowego tercetu – demonstrowali wstręt do fiskalizmu oraz licytowali się na asertywność w relacjach z Brukselą i Kijowem. Niskie podatki najlepiej mimo wszystko rymują się dzisiaj z polexitem i ksenofobią skrajnej prawicy, co nie jest bynajmniej żadną anomalią, gdyż w tym pakiecie nie ma niczego liberalnego. Przeciwnie, ów nowy egoizm jest postawą głęboko antyliberalną, ukierunkowaną politycznie przeciwko elitom, wszelkim „globalistom”, salonowym liberałom. Takim właśnie jak Ryszard Petru.

Próżnia do wypełnienia

Co by oznaczało, że właściwie wszelkie próby wykonania politycznego szpagatu, co do zasady, okażą się mało skuteczne. Na szczęście projekt Petru ma skromniejsze ambicje niż przezwyciężenie nowego egoizmu, toteż nie należy go z góry skreślać. Na wycinkowych frontach demokratom niewątpliwie warto dzisiaj podjąć wysiłek zawalczenia o chwiejnych wyborców, których całkowicie nie pochłonęła jeszcze podtapiająca już niemal całą Polskę nacjonalistyczna fala. Tyle że na obecnym etapie oczywiście trudno prognozować szanse inicjatywy, o której wciąż niewiele wiadomo. Bezpieczniej po prostu założyć, że istnieje przestrzeń dla jakieś nowej „trzeciej drogi” i zapewne wcześniej czy później ujawni się realna siła zdolna wypełnić próżnię.

Dotychczas kręcili się w tym rejonie jedynie polityczni statyści, chociaż wciąż nie odpuszcza poszukujący nowego partnera PSL. Po rozłamie w PiS z pewnością powróci teraz kwestia aliansu ludowców z ekipą Mateusza Morawieckiego, co byłoby jednak dla strony demokratycznej rozwiązaniem ryzykownym, gdyż trudno być pewnym powyborczej lojalności tego środowiska. Inicjatywa Petru wydaje się na tym tle o wiele bezpieczniejsza, zwłaszcza gdyby miała faktycznie znacząco się poszerzyć, zmierzając w stronę dzisiaj nieoczywistego koncertu politycznych tenorów. Na razie to jednak tylko wstępna próba zaklepania sobie miejsca, w którym przez najbliższe miesiące jeszcze bardzo wiele się wydarzy.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 4a128c0fe4

Andrzej Wachna, maturzysta na 100 proc., i Kamila Czaplicka, jego polonistka, i wicedyrektorka szkoły, w której się uczył

© LESZEK ZYCH

Każdego roku mniej więcej 1 proc. zdających zalicza maturę na 100 proc. Od czego zależy tak wybitny wynik? Ogólnie od szczęścia, ale nie tyle do pytań na egzaminie, ile do ludzi. Bo system tym zdolnym za bardzo nie pomaga.

Zdolny do wszystkiego

JOANNA CIEŚLA

Andrzej Wachna na maturze zaliczył na 100 proc. siedem egzaminów: polski – podstawowy, ustny i rozszerzony, matematykę podstawową, angielski – podstawowy i ustny oraz historię sztuki (100 proc. jako laureat olimpiady). Poza tym przedmioty dodatkowe: 98 proc. z angielskiego, 87 proc. z historii i 85 proc. z geografii. To było w ubiegłym roku. W tym roku, po pierwszym roku studiów na historii sztuki, Andrzej znów podszedł do matury: z filozofii, z angielskiego na poziomie dwujęzycznym i z WOS. I znów ze wszystkich tych przedmiotów efektownie przeskoczył krajową średnią. A robi się to tak.

Mnemotechnik

Andrzej nigdy nie miał w swoim pokoju biurka. Uczy się, chodząc. Przemierza pokój wzdłuż i wszerz, powtarza to, co ma zapamiętać, albo zadaje sobie pytania i odpowiada. Nie dziwi

eprasa.pl 4a128c0fe4

go, że tym, którzy próbują zapamiętywać wiadomości, siedząc kamieniem, większość rzeczy wydaje się nudna.

Andrzej stosuje tradycyjne mnemotechniki (wsparcia pamięci) jak pomodoro: 50 minut pracy w skupieniu, dzwonek stopera i 10 minut przerwy. Pacyfikuje to skłonności do prokrastynacji. Ale nie tylko. To, jak przebiega zapamiętywanie samo w sobie, zawsze Andrzeja intrygowało. Dzięki temu wie, że także przed nauką albo po niej potrzebne jest dużo ruchu. Trenował szczypiorniaka, siatkówkę, koszykówkę, badminton, biegi przełajowe. Korzysta z narzędzi AI, ale nie do pisania prac. – *Wrzucam chatbotowi fragmenty podstawy programowej z dokładnym promptem, ile czasu i z jaką intensywnością mogę się uczyć, na co położyć nacisk i jaki jest cel, a bot potrafi zmontować bardzo zgrabne rozpiski* – relacjonuje 19-latek. Albo przed egzaminem prosi algorytm, żeby zadał pytania do napisanej wcześniej pracy, naprowadzał na inne kierunki myślenia lub znalazł wady tego, co Andrzej stworzył.

Maturzystów, którzy na egzaminach z przedmiotów obowiązkowych – języka polskiego, matematyki i języka obcego na poziomie podstawowym – zdobyli 100 proc. (próg zdawalności to 30 proc.) jest rok w rok ledwo 1 proc. Z przedmiotami na poziomie rozszerzonym (każdy egzaminowany musi napisać przynajmniej jeden, nie ma progu zdawalności) też nie ma szału. Średni wynik z historii czy z geografii to od lat czterdzieści kilka procent. Skąd się biorą ci z czołówki, którym się chce? I dlaczego im się chce?

Przecinki i wiersze

Pijemy kawę w gabinecie Kamili Czaplickiej, wicedyrektor Szkoły Podstawowej im. Powstańców Wielkopolskich w Nowych Skalmierzycach, między Ostrowem Wielkopolskim a Kaliszem. Kamila Czaplicka uczyła Andrzeja języka polskiego. Wyznaje, że zdziwiła się zaproszeniem do rozmowy, bo, jak mówi, nie przyłożyła się bezpośrednio do jego wyników maturalnych. – *A Andrzej na to: „gmach nie stałby mocno, gdyby nie solidne fundamenty”* – opowiada nauczycielka.

Andrzej mieszka na wsi, ale rodzina jest wykształcona – tata wojskowy i naukowiec z obszaru nauk ścisłych. Mama pracuje na odcinku domowym. Dzieci jest piątka, z zainteresowaniami na zmianę: najstarsza siostra Andrzeja – filolożka i poliglotka, drugi brat studiuje informatykę stosowaną, Andrzej – fascynat historii sztuki – jest środkowy, młodszy brat uczy się w technikum grafiki cyfrowej, a najmłodsza siostra ujawnia talent malarski. Więc nie ma wątpliwości – istotna część napędu do wiedzy Andrzeja uruchomiła się w domu. Jedno z najwcześniejszych wspomnień chłopaka: siedzi w spokojnym kąciku za fotelem i ogląda wyciągnięty z półki atlas świata. Według rodzinnego przekazu jako trzylatek nauczył się czytać.

– *Andrzej przez całe lata urozmaicał nam codzienność. W pandemii na zdalnym nauczaniu, wiadomo, wszystkim było ciężko* – kontynuuje opowieść Kamila Czaplicka. – *Na lekcji o interpunkcji dla rozluźnienia podaję przykład ilustrujący znaczenie przecinka, klasyczne zdanie: „Twoja stara piła leży w piwnicy” i „Twoja stara piła, leży w piwnicy”. Pytam, czy ktoś zna coś innego. Andrzej od razu łapka w górę: „Jedzcie, dzieci” i „Jedzcie dzieci”. I tak cały czas.* Na komunikatorze z bratem założyli grupę, nazwali ją Wachny2 i zaprosili do niej polonistkę. Andrzej pisał: „czy może mnie Pani przygotować do konkursu?”. Odpowiadała: „Andrzej, jesteś na 100 proc. przygotowany”. „Ale ja muszę z Panią porozmawiać”. Więc rozmawiali. Albo w środku nocy Wachny piszą: „Pani Profesor, śpi pani?”. W pandemii nie spała, bo sprawdzała prace, albo po prostu nie mogła. Odpisywała, wysyłali sobie memy. W lockdownie w ten sposób jakoś budowało się poczucie, że jest się razem.

W klasie jeszcze kilku kolegów dotrzymywało Andrzejowi tempa i tonu. Ale romantyzm też w chłopaku bulgotał. Zdobywa nagrody na konkursach poetyckich. Polonistka pytana, jak szkoła systemowo wspierała wybitnego ucznia, przyznaje się do frustracji. – *Burzy się we mnie, że jedyne, co do dziś mamy do zaoferowania takim dzieciom, to tzw. dyrektorska godzina zajęć dodatkowych w tygodniu. Tak, jedna. I najlepiej, żeby ją wykorzystać do przygotowania udziału w konkursach kuratoryjnych. Z kolei poziom tych konkursów bywa naprawdę kosmiczny. I to doświadczenie wielu bardzo zdolnym młodym osobom podcina skrzydła.*

Obietnice i bieda

Wspieranie zdolnych uczniów to epopeja opowiadana od 1989 r. ustami kolejnych ministrów edukacji. Faktycznie poziom troski o dzieci i młodzież z talentami to promil w porównaniu z uwagą kierowaną na ich rówieśników z deficytami w polskich szkołach. Choć, co jeszcze bardziej paradoksalne, uczniów z orzeczeniami o potrzebie kształcenia specjalnego jest w Polsce ok. 7 proc., a dzieci i nastolatków uzdolnionych w różnych kierunkach i w różnym stopniu, według szacunków badaczy może być nawet 15–20 proc., w zależności od przyjętych kryteriów.

Dysproporcje zaangażowania widać i w organizacji, i w finansach. Na przykład już na początku nowego wieku władze zapisały w prawie oświatowym mechanizmy Indywidualnego Toku Nauki (chodzi o specjalne rozplanowanie edukacji, np. udział w części lekcji ze starszymi klasami) oraz Indywidualnego Programu Nauki (możliwość przerabiania treści spoza podstawy programowej szkoły). Przez lata kolejne resorty edukacji nie publikowały nawet zbiorczych danych o tym, ilu uczniów z tych rozwiązań korzysta. Z odpowiedzi na interpelacje i z rozmaitych raportów wynika, że to ułamek procenta wszystkich. Bo przekucie tych opcji w działanie przekracza techniczne i logistyczne możliwości szkół.

W kolejnych latach, mimo ogłaszanych akcji jak Rok Odkrywania Talentów (2010/11), powtarzanych haseł o budowie nowych elit i gospodarki opartej na wiedzy, nie powstał system wspierania zdolnych uczniów ani masowego kształcenia nauczycieli, żeby ich na takie dzieci uczulić. Wspieranie w rozwoju, kontakt z badaczami i artystami, uczestnictwo w warsztatach biorą na siebie organizacje pozarządowe, jak Fundusz Zdolni (dawniej Krajowy Fundusz na rzecz Dzieci).

Państwo i samorządy wypłacają utalentowanym uczniom stypendia. Ich łączna wysokość w skali kraju zamyka się w kilkudziesięciu milionach złotych rocznie. Np. na stypendia Prezesa Rady Ministrów dla 4 tys. uczniów szczególnie uzdolnionych przewidziane jest w ostatnich latach ok. 20 mln zł; dostają po 500 zł miesięcznie, 5 tys. zł rocznie. To stypendia dla nich, nie pieniądze dla szkoły. Szkoła, w której jest uczeń zdolny, otrzymuje na pracę z nim tyle, ile na innych – bazowe 9,8 tys. zł rocznie. Część samorządów prowadzi też programy przygotowania nauczycieli do pracy z takimi dziećmi, ale na ogół są to doraźne i krótkotrwałe projekty. Na pracę z uczniem z lekką niepełnosprawnością intelektualną placówka może dostawać dotację ok. 20–30 tys. zł, a jeśli uczeń ma np. spektrum autyzmu: 70–90 tys. zł. Osobne są koszty związane np. z dostosowywaniem podręczników. I oczywiście dzieciom z deficytami należy się wsparcie, a ich sytuacja jest wielokrotnie trudniejsza niż tych zdolnych. Ale czy podejście „z racji, że mają naddatki ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ poznawcze, nie trzeba się nimi zajmować" na pewno jest słuszne? I czy opłaca nam się jako społeczeństwu pozostawiać samym sobie tysiące zdolnych dzieci i nastolatków?

W ramach uruchamianej właśnie wielkiej reformy „Kompas jutra" Instytut Badań Edukacyjnych we współpracy z Ośrodkiem Rozwoju Edukacji wystartował z ogólnopolskim projektem „Rozwijanie metod i form wspierania uczennic i uczniów zdolnych". Jest zaplanowany na lata 2026–29, ma m.in. wypracować wreszcie nowoczesne narzędzia diagnozy dla nauczycieli. Pytanie, czy zdąży, bo po drodze są wybory. Na razie pomoc zdolnym uczniom opiera się na dobrej woli dobrych ludzi.

Ściany i nadzieje

Jest końcówka pierwszej klasy liceum, początek drugiej, IV Liceum Ogólnokształcące w Ostrowie Wielkopolskim. 16-letni Andrzej na wycieczkach szkolnych do muzeów w Poznaniu i Warszawie staje przed obrazami młodopolan Wojciecha Weissa, Witolda Wojtkiewicza. Porusza go „Chrystus z dziećmi", malowany oszczędnie, plamami, w szalonych jaskrawych kolorach. Reprodukcje w albumach, a tym bardziej internetowe, dają tylko próbkę rzeczywistego wrażenia.

Wtedy Andrzej upewnia się, czym chce się w życiu zajmować i z czym mieć styczność. Szuka informacji o artystach i dziełach – najpierw w Wikipedii, przez nią przechodzi do źródeł – popularnych opracowań, potem prac naukowych. Świadomie stara się podtrzymywać ciekawość, żeby uczenie się nie było męką. – *Ale gdy do jakiegoś tematu nie starcza motywacji wewnętrznej, można budować napęd na motywacji zewnętrznej – uznaniu innych, dobrych stopniach* – przyznaje.

Szuka też sposobów na system. Na przykład – żeby mniej stresować się maturą, doszedł do wniosku, że warto podchodzić do olimpiad przedmiotowych. Tytuł laureata otwiera wiele drzwi na studia. Startuje m.in. w olimpiadzie literatury i języka polskiego, olimpiadzie języka angielskiego, wiedzy o świecie współczesnym i kilku innych. Poleca tę drogę rówieśnikom. Choć sam dopiero w czwartej klasie, w olimpiadzie artystycznej, odnosi sukces – zyskuje tytuł laureata. Olimpiady dla uczniów szkół średnich są jeszcze bardziej oderwane od podstawy programowej niż konkursy kuratoryjne dla uczniów podstawówek. Porażki na początkowych etapach były, ocenia dziś Andrzej, najtrudniejszymi momentami w jego edukacji. Chwilami myślał, że zderza się ze ścianą.

A jednak jako laureat – choć nie musi, bo ten tytuł zalicza rozszerzoną maturę – podchodzi do egzaminów na poziomie rozszerzonym – z geografii, historii, filozofii. Przy czym w polskim systemie uczeń na profilu – na przykład – humanistycznym zazwyczaj nie ma możliwości udziału w dodatkowych lekcjach spoza profilu, na przykład w geografii. Więc przedmiotów spoza profilu uczy się sam. Wyjątkiem jest wsparcie nauczycielki plastyki, artystki rzeźbiarki Agnieszki Lisiak „Skórki", do której Andrzej po prostu podchodzi z prośbą o pomoc. – *Nie znaliśmy się, nie mieliśmy nawet razem lekcji* – przyznaje pedagożka. Edukacja artystyczna w szkołach ponadpodstawowych trwa rok – to jedna godzina tygodniowo muzyki lub plastyki albo filozofii (co jest dość dziwne), ale tylko w liceach, ponieważ w technikach od tamtego roku szkolnego tych przedmiotów już nie ma. U Andrzeja w klasie była filozofia. – *Zgodziłam się przygotowywać Andrzeja do olimpiady artystycznej, bo kontakt i rozmowy z zaangażowanym człowiekiem były po prostu przyjemnością* – mówi nauczycielka. Nie wspomina, że jest to też praca. Nie dostaje dodatkowego wynagrodzenia. Dyrekcja szkoły mogłaby jej przyznać nadliczbową godzinę, ale trzeba poprosić. A nauczycielce nie wypada.

Synteza i przyjemność

– *Dlaczego zdawałem dodatkowe egzaminy? Bo ucząc się do jednego, i tak automatycznie przygotowywałem się do pozostałych. Zawsze podchodziłem do wiedzy interdyscyplinarnie* – odpowiada Andrzej. – *Historii sztuki nie sposób pojąć w oderwaniu od historii ogólnej. Ona z kolei naturalnie łączy się z geografią, która sama w sobie rozbudza moją wyobraźnię. Podobnie jest z filozofią – trudno zrozumieć wydarzenia kolejnych epok bez wiedzy o tym, jaka myśl w nich dominowała.* Dla Andrzeja autorytet podręczników, wciąż utrzymywany w szkołach, faktycznie jest bardzo ograniczony. Chłopaka odrzuca sztuczne zawężanie ram czasowych, brak podkreślenia związku między wydarzeniami. – *Moim zdaniem do języka polskiego, historii i historii sztuki mógłby funkcjonować jeden wspólny podręcznik na każdy rok. Pozwalałoby to bardziej adekwatnie rozumieć świat.*

– *Prawda jest też taka, że mój wybór – czyli zdobywanie wiedzy z tych wszystkich dziedzin – oznacza wysiłek. Tylko że mnie on nie sprawia przykrości. Nie namawiam nikogo do ciśnięcia na średnią sześć zero, choć sam taką miałem. Ale chciałbym powiedzieć innym młodym ludziom, że nie warto się samemu sabotować i rezygnować z różnorodnych możliwości.* Przykład sprzed kilku tygodni. Andrzej podsuwa serię zadań 12-letniej siostrze, która już mówi o sobie, że skoro jest artystyczna, to nie jest matematyczna. Ale, zachęcona, z uwagą pracuje nad testem. Zdobywa ponad połowę punktów. Wtedy brat ujawnia, że rozwiązywała zadania dla uczestników olimpiady lingwistyki matematycznej w szkołach ponadpodstawowych. – *Porusza mnie, jak wiele ludzie tracą, uznając za fakty stereotypy czy np. ocenę jednego nauczyciela, który miał gorszy dzień i rzucił tekstem o przyszłości w kopaniu rowów itd.* – podsumowuje.

Zdaniem Andrzeja kłopot wielu młodych ludzi z nauką, częsty brak motywacji, wynika z tego, że na początkowych etapach mają mało zewnętrznych wzmocnień. Niezbyt poruszają ich nawet dobre stopnie, a dorośli w ich otoczeniu sami nie poszukują pasji. A gdy dziecko nie widzi osób ciekawych świata, trudniej mu odkryć, że można czerpać przyjemność ze zdobywania wiedzy, czyli rozwijać motywację wewnętrzną.

To z kolei jeden z powodów, z których nawet osoby dobrze zdające maturę i przyjęte na świetne uczelnie, nie zawsze sobie na nich radzą (rezygnacji ze studiów przed ich ukończeniem jest w Polsce średnio 40 proc.). Kolejną cegiełką może być powszechne w polskich szkołach uczenie do egzaminów w formule „trzaskania testów". Ani nie przygotowuje to do samodzielnej nauki na studiach, ani nie pomaga nikomu rozeznać się, jakie studia byłyby dla niego właściwym wyborem.

Znakomitych maturzystów i studentów mielibyśmy więcej, gdyby praca z nimi na serio – zamiast po łebkach – była ustawieniem systemowym, a nie wyborem pojedynczych zaangażowanych nauczycieli.

Dodatkowe egzaminy w tym roku Andrzej zdawał, żeby oprócz historii sztuki rozpocząć studia na prawie, na Uniwersytecie Warszawskim. Może połączy dziedziny i wyspecjalizuje się w restytucji zabytków. Może ukończy aplikację i jako prawnik będzie zarabiać, a pasją do historii sztuki po prostu żyć. Tak czy owak, kanały do przechytrzania systemu utrzymuje drożne.

JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 4a128c0fe4

POLITYKA

SŁUCHAJ I OGLĄDAJ!

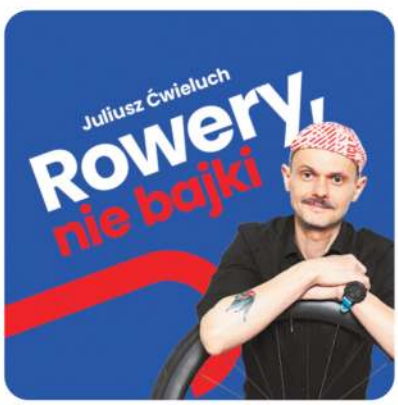

Rozmawiamy nie tylko o polityce.
Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.
Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

POLITYKA.PL/PODKASTY

eprasa.pl 4a128c0fe4

6 czerwca 2025 r. gang wykradł z salonu jubilerskiego w Hotelu Ritz w Lizbonie złotą biżuterię i zegarki wartości 1 mln euro – zapis z monitoringu

© DP

Czarny sen Różowej Pantery

O tym, jak do Warszawy przyjechał słynny serbski Gang Różowej Pantery i jak się na tym sparzył.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Nie dajcie się zwieść infantylnej nazwie. Różowa Pantera to najsłynniejsza na świecie grupa specjalizująca się w rabunkach luksusowej biżuterii. A jednocześnie najbardziej tajemnicza. Mimo że działa od lat, niewiele o niej wiadomo. Jej wyczyny są spektakularne i niezwykle zuchwałe. Jak w Dubaju, gdzie dwoma samochodami rabusie wjechali z impetem do środka luksusowego centrum handlowego, taranując szklaną ścianę. I wbili się jednym z nich wprost do sklepu jubilerskiego. Gazem łzawiącym obezwładnili ochroniarza i młotkami rozwalili pancerne szyby gablot z biżuterią. To ich modus operandi. Napad w Dubaju trwał 50 sekund. Ich łup wyceniono na 11 mln euro. To była ich pierwsza akcja. Potem było Tokio i kradzież naszyjnika zwanego Hrabiną z Vendome. Złożony ze 116 diamentów, z wielkim 125-karatowym diamentem pośrodku, był wyceniany na 31 mln dol. W centrum Paryża ukradli biżuterię wartą – jak wyceniono – 85 mln euro. W Londynie z salonu jubilerskiego sieci Graff przy New Bond Street w luksusowej dzielnicy May Fair zrabowali diamenty o wartości 23 mln funtów. Pierścionek z tego napadu, z niebieskim diamentem o wartości 55 tys. dol., policjanci znaleźli podczas przeszukania w jednym z domów, w którym sprawcy

eprasa.pl 4a128c0fe4

mieli przebywać. Był w pudełku z kremem do twarzy. To wtedy media ochrzciły ich Gangiem Różowej Pantery, nawiązując do filmu z inspektorem Clouseau, w którym był pokazany taki sam trik.

Ich znakiem rozpoznawczym jest bardzo dobry kamuflaż, odpowiedni do miejsca wybranego na skok. Oryginalne, niekiedy wręcz genialne w swej prostocie pomysły, krótki czas akcji, unikanie zbędnej przemocy i wykorzystywanie nietypowych środków ucieczki. Na przykład do sklepu jubilerskiego w Saint-Tropez weszli ubrani jak turyści, w kwiecistych koszulach. Po kradzieży – jak James Bond – uciekli motorówką. Rok temu po napadzie na sklep jubilerski w Hotelu Ritz w Lizbonie, gdzie wartość skradzionych precjozów wyniosła ponad 1 mln euro, wymknęli się obławie, korzystając z elektrycznych hulajnóg.

Słyną z tego, że wszystkie swoje akcje precyzyjnie planują. O drobiazgowym przygotowywaniu świadczy choćby historia z francuskiego Biarritz, gdzie dzień przed napadem pomalowali ławkę usytuowaną na wprost sklepu, który zamierzali obrobić. I nakleili kartkę „Świeżo malowane. Proszę nie siadać". W ten sposób wyeliminowali przynajmniej część potencjalnych świadków.

Interpol wyliczył, że w ciągu kilkunastu lat działalności – od 1998 do 2015 r. – Gang Różowej Pantery dokonał 380 napadów na luksusowe sklepy jubilerskie na całym świecie, kradnąc kosztowności o wartości 334 mln euro. W 2007 r. w Interpolu powstał nawet zespół do rozpracowania szerzącego przerażenie w branży jubilerskiej gangu. Według analiz tego zespołu tworzą go byli żołnierze wojny z lat 1991–99, która przetoczyła się przez tereny dawnej Jugosławii. Głównie z Serbii, ale też z Czarnogóry.

Interpol szacował liczebność gangu na ok. 200 osób używających wielu języków i tożsamości. Uważał, że grupa nie ma centralnego dowództwa, a kilkuosobowe komórki Gangu Różowej Pantery mogą nawet o sobie wzajemnie nie wiedzieć i się nie znać. Co powoduje, że pomimo aresztowań ciągle nie udało się zapobiec kolejnym kradzieżom. Z kolei reporter amerykańskiego „New Yorkera" dotarł – jak zapewnia – do człowieka związanego z gangiem, który przedstawia inny obraz tej organizacji. Z jego słów wynika, że w rozsianej po Europie siatce Różowej Pantery jest jednak centralny system wyboru celów rabunku i przydziału grup do ich realizacji. Informator opisywał też, jak z początkowej, pojedynczej grupy złodziei diamentów z Czarnogóry powstało kilka wyspecjalizowanych komórek zajmujących się upłynnianiem kradzionych diamentów, które po przeszlifowaniu w Antwerpii są puszczane dalej m.in. do Izraela.

Działania Interpolu i współpraca międzynarodowa policji przyczyniły się do głośnych aresztowań wśród członków Gangu Różowej Pantery odpowiedzialnych za poszczególne napady. Były wyroki, choć zaraz wyrastały kolejne grupy, działające dokładnie w ten sam sposób.

Najbardziej spektakularny w ostatnich latach wydaje się napad w 2022 r. w holenderskim Maastricht, na słynnych targach sztuki i biżuterii TEFAF. W godzinach otwarcia do budynku targów weszło czterech mężczyzn ubranych dokładnie jak bohaterowie popularnego angielskiego serialu „Peaky Blinders" o gangsterskiej rodzinie: brązowe marynarki, białe koszule, kaszkiety na głowach. I w biały dzień zaczęli młotkami walić w szybę ekspozycyjną jednej z firm jubilerskich. W tak wybitą dziurę w szybie wkładali dłonie i wyciągali precjoza o wartości – jak później oceniono – 30 mln euro. W tym najcenniejszy, bo wart 27 mln euro, naszyjnik z 114-karatowym żółtym diamentem. Nie zwracali w ogóle uwagi na przechadzających się obok nich zwiedzających. Którzy, być może sądząc, że to artystyczny happening, zaczęli to zdarzenie filmować komórkami i wrzucać do internetu. Filmy są tam nadal do obejrzenia. Widać na nich aż nieprawdopodobny spokój i żelazne nerwy złodziei. Później były jeszcze kolejne napady w Europie, jeden po drugim.

6 czerwca 2025 r. z salonu jubilerskiego w Hotelu Ritz w Lizbonie gang wykradł złotą biżuterię i zegarki wartości 1 mln euro. Sprawcy uciekli z miejsca napadu na elektrycznych hulajnogach. Nie zostali do dziś złapani. Miesiąc później, 4 lipca 2025 r., w Zurichu obrabowali sklep z luksusowymi zegarkami Luxusbörse. Tu – jak podała miejscowa policja – grozili bronią i zastosowali przemoc fizyczną wobec obsługi. Skradli precjoza warte milion franków. Policja opublikowała rysopis dwóch sprawców: obaj w wieku ok. 30–40 lat, jeden szczupły, z bródką, w czarnych rogowych okularach, ciemnych spodniach, kraciastej koszuli i kaszkiecie. Drugi w białej bluzie i kominiarce na twarzy.

No i – jak już dziś wiadomo z ustaleń policji – pod koniec listopada 2024 r. członkowie Gangu Różowej Pantery przyjechali również do Warszawy: czterech mężczyzn. Jeden z nich, który ich przywiózł z Niemiec białym Peugeotem, według policji był koordynatorem całej operacji. Brał udział w przygotowaniach, był na rozpoznaniu terenu w miejscu przyszłej akcji. Tego samego dnia wspólnie kupowali sprzęt, czyli młotki, które miały służyć do rozbijania witryn, ale w sam dzień akcji mężczyzny nie było wśród rabusiów. Nadzorował napad z Krakowa.

Jako miejsce rabunku wybrali luksusowy sklep jubilerski Kruka, Rolexa i Cartiera w Galerii Westfield przy ul. Wołoskiej. Wybór nieoczywisty, bo sklep znajduje się daleko od wyjścia, na piętrze, trochę z boku, niezły kawałek od schodów ruchomych. Ale w środku były zegarki za 100 tys. zł i więcej, które sprzedawca w szarych bawełnianych rękawiczkach ostrożnie prezentuje klientowi. W poniedziałek 30 grudnia 2024 r. o godz. 10.50, wkrótce po otwarciu, złodzieje nie byli wobec nich tak delikatni. Witrynę – jak widać na filmach z monitoringu udostępnianych przez policję – roztrzaskano młotkiem.

Termin napadu złodzieje wybrali nieprzypadkowo. Czas między świętami Bożego Narodzenia a sylwestrem w handlu luksusową biżuterią to martwy sezon.

Na nagraniach z kamer monitoringu wewnątrz sklepu widać, jak trzech mężczyzn wchodzi w strojach dostawców jedzenia, w niebieskich kurtkach firmowych i z charakterystycznymi dużymi, kwadratowymi torbami na plecach. Jeden atakuje ochroniarza, który stoi niedaleko drzwi. Pryska mu gazem w twarz, każe się położyć na podłodze i stoi przy nim, lustrując jednocześnie całe pomieszczenie. Przez szklane drzwi widać przechodzących tuż obok klientów galerii. Pozostali rabusie od razu po wejściu, bez wahania, jeden przy jednej ścianie, drugi przy przeciwległej, zaczynają walić młotkami w kuloodporne gabloty z zegarkami. Nawet nie patrzą na obecną na miejscu ekspedientkę stojącą pośrodku za ladą. Ona jakby zamarła. Na filmie widać, jak dyskretnie naciska guzik alarmu, po czym pospieszana przez kolegę sprzedawcę ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ ucieka środkiem, mijając złodziei i znika w pomieszczeniu obok. Napastnicy, ciągle na nic nie zważając, pakują łup, którego wartość wyceniono później na 1,5 mln zł, i wychodzą. Cała akcja trwała dokładnie 86 sekund. – *Od początku wiedzieliśmy, że to nie są zwykli złodzieje, tylko profesorowie w swoim fachu* – mówi Antoni Skiba, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

W sprawę napadu zaangażowano policjantów z wydziału kryminalnego i dochodzeniowo-śledczego Komendy Stołecznej Policji. Zaczęli od ściągnięcia monitoringu ze sklepu, z galerii, ale też okolicznych kamer. Najpierw tych z centrum handlowego, na których zarejestrowano ucieczkę. Złodziei było trzech,

30 grudnia 2024 r. gang napadł na sklep jubilerski Kruka, Rolexa i Cartiera w Galerii Westfield w Warszawie – zapis z monitoringu

ale hulajnogi elektryczne dwie. Na jedną, jako drugi, wskoczył już w biegu ostatni złodziej. To właśnie jego próbował wcześniej zatrzymać jeden z ochroniarzy w galerii. Wtedy porzucił swoją hulajnogę, wyrwał się i dobiegł do uciekających już kumpli, ale w trakcie szamotaniny stracił torbę z częścią zrabowanego łupu.

Policjanci plik po pliku przeglądali wszystkie nagrania z monitoringów, wypatrując sprawców, coraz bardziej rozszerzając teren poszukiwań na trasie ich ucieczki, którą zarejestrowały kamery. Później przeszukano całą okolicę. Dzięki temu w koszu na śmieci znaleziono szarą wełnianą czapkę z pomponem. Taką, którą miał na głowie podczas napadu jeden ze sprawców. I niebieską kurtkę firmy dostarczającej jedzenie, która posłużyła do kamuflażu. W innym koszu czapkę z kominem, w krzakach pojemnik z gazem pieprzowym. Tyle. Żadnych nowych tropów. Jakby złodzieje rozpłynęli się w powietrzu.

Policjanci postanowili cofnąć czas. A konkretnie obejrzeć nagrania sprzed napadu, aby ustalić, skąd rabusie przyjechali, czym i z kim. Wreszcie ich wypatrzyli na jednej z okolicznych kamer przy galerii, kilkanaście minut przed napadem. Są ledwo widocznymi kropkami, ale to oni. Widać, jak z bagażnika białego Peugeota jeden wyciąga charakterystyczny plecak dostawcy jedzenia. Drugi wysiada z auta już przebrany w niebieski firmowy uniform. Następnie wsiadają na hulajnogi i odjeżdżają w stronę galerii. Mając ten trop, śledczy wrócili do przeglądania nagrań po napadzie. Tym razem skoncentrowali się na szukaniu białego auta, którym sprawcy uciekli. Bingo! – tyle że znowu trzeba było się przekopać przez setki nagrań.

Nagranie po nagraniu odtworzono trasę jazdy po Warszawie białego Peugeota. Tropiąc go, śledczy odkryli dwa inne auta, które mu towarzyszyły. One z kolei doprowadziły policjantów do miejsca, gdzie członkowie gangu zatrzymali się w Warszawie. To mieszkania na Sadybie, na najem krótkoterminowy. Wynajmującą była Serbka, która odegrała rolę „słupa". Z setek ujęć udało się wreszcie wychwycić takie, na którym było widać numery rejestracyjne aut, no i twarze pasażerów. Po numerach ustalono, że biały Peugeot i dwa towarzyszące mu auta zostały wypożyczone. Oczywiście przez „słupów": Serbów, którzy przylatywali tylko po to i zaraz wracali do Belgradu.

Ustalenia polskiej policji pozwoliły rozpracować metodę organizacji takiego skoku przez Gang Różowej Pantery, to duża rzecz. Z analizy monitoringu w galerii wynikło, że zaraz po przybyciu do Warszawy członkowie grupy pojawili się w sklepie jubilerskim, który wzięli na celownik. Tego samego dnia pojechali kupić młotki. Potem jeszcze kilka razy zostali sfilmowani przez kamery na terenie galerii. – *Policjanci wykonali tytaniczną pracę, przeglądali niemal każdy zapis monitoringu z kamer, których w Warszawie, trzeba przyznać, w tym wypadku na szczęście, jest ogromna liczba. Wykonali znakomitą robotę* – chwali prokurator Szymon Banna, od początku prowadzący to śledztwo. Dzięki temu udało się ustalić adres, gdzie przestępcy się zatrzymali, trasy, którymi się poruszali, a co najważniejsze – ich wygląd.

Nawiązano współpracę z policją krajów europejskich, gdzie niedawno były podobne napady. Okazało się, że profil DNA pobrany z szarej czapki zimowej z pomponem, którą miał na głowie jeden z uczestników napadu w Warszawie, znalezionej w śmietniku nieopodal galerii, jest taki sam jak ślad zabezpieczony z napadu 6 czerwca 2025 r. w Hotelu Ritz w Lizbonie. A także w późniejszym napadzie w Szwajcarii z 4 lipca 2025 r. Porównano zdjęcia z monitoringu, zabezpieczone na miejscach napadów. Wyszło, że w napadach w Lizbonie i Warszawie brało udział prawdopodobnie tych samych dwóch mężczyzn.

Tylko gdzie ich szukać i jak udało im się uciec? I tu stołeczni policjanci wykonali dobrą robotę. Wytropili całą drogę białego Peugeota, którym złodzieje uciekli 30 grudnia zaraz po napadzie: po wyjeździe z Warszawy na trasę S2 aż do przejścia granicznego ze Słowacją. Dalej pomogły śledzić jego trasę – na podstawie zapisów z kamer drogowych i stacji benzynowych – policje innych krajów, przez które sprawcy przejeżdżali. Przez Węgry, Chorwację, aż do granicy z Serbią. Policjanci wyliczyli nawet, kiedy Peugeot mógł przekroczyć granicę, niemal co do minuty. Potem było żmudne porównywanie skanów wszystkich paszportów osób, które w tych okolicach przekraczały granicę, ze zdjęciami sprawców napadu z zapisu kamer monitoringu. Tym sposobem udało się do twarzy dopasować konkretne nazwiska.

Jak mówi prokurator Szymon Banna, całej czwórce mężczyzn postawiono zarzuty dokonania napadu w warszawskiej Galerii Westfield. To pozwoliło na wydanie za nimi listów gończych. I wszczęcie poszukiwań w ramach Europejskiego Nakazu Aresztowania. Prokurator dziś podaje tylko, że wszyscy są Serbami. Bo cała operacja z rozpracowaniem grupy prowadzona była w wielkiej tajemnicy, by nie spłoszyć sprawców. Informację o zatrzymaniu podczas przekraczania granicy serbsko-chorwackiej w lipcu tego roku jednego z uczestników napadu, 46-letniego Serba, podała TVN24+. Potem potwierdziła to policja. Procedura ekstradycyjna wobec niego została już uruchomiona. To sukces. Czy zostaną odzyskane ukradzione w galerii zegarki, to już zupełnie inna historia.

VIOLETTA KRASNOWSKA

© KSP

eprasa.pl 4a128c0fe4

© ELITE COMPETITIONS/FACEBOOK

Trudny los

Dawid Szulc, polski konduktor, który od ponad dekady mieszka w Anglii, wygrał na loterii dom wart 1,8 mln funtów, Land Rovera Defendera i 25 tys. funtów gotówki wolnej od podatku. Jego plan na szczęśliwe życie to sprzedać wszystko w diabli i wracać do Polski.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Dawid Szulc ma 39 lat. Jego dotychczasowe życie zmienił jeden telefon, na dodatek początkowo nieodebrany. Wspomina, że siedział w domu i oglądał telewizję, kiedy w jakimś momencie zauważył nieodebrane połączenia i wiadomości z Elite Competitions, jednej z najpopularniejszych loterii na Wyspach. Obejrzał więc powtórkę losowania i przeżył szok. Zrozumiał, że został milionerem. I to z tłustym okładem, bo 1,8 mln funtów – za dom – przeliczając po kursie 5,05 zł – to ok. 9 mln zł. Land Rover Defender to kolejne pół miliona. A 25 tys. funtów to 125 tys. zł. W sumie 10 mln zł. Żyć, nie umierać. Tylko gdzie.

Raczej się nie przelewało

Crewe w hrabstwie Cheshire to niewielkie miasto. 20 lat temu liczyło niecałe 70 tys. mieszkańców. Tyle co polski Ostrowiec Świętokrzyski czy Gniezno. W 1831 r. mieszkało tu zaledwie 70 Anglików, ale o rozwoju zdecydowała kolej (zbudowano zakłady naprawy taboru), po wojnie produkowano tu Rolls-Royce'y (do 2022 r.), a teraz Bentleye. Szulca stać już na Bentleya, ale kiedy się sprowadzał do Anglii w 2005 r., to pewnie nawet przez myśl mu to nie przyszło. Na Wyspy wyemigrował z falą Polaków, którzy w zaledwie dwa lata wysforowali się na największą mniejszość narodową w Zjednoczonym Królestwie. Na studia wrócił jednak do Polski, więc w życiu raczej mu się nie przelewało. Po studiach znowu wyjechał do Anglii. Był 2015 r. Anglia już nie była zieloną wyspą, a w powietrzu wisiało referendum w sprawie brexitu. Trzeba się było decydować, gdzie komu będzie lepiej. Szulc kalkulował, że jednak na Wyspach.

To wszystko domysły, bo najsłynniejszy Polak w Anglii jest osobą więcej niż anonimową. Urzędnicy z urzędu miejskiego w Crewe o polskim milionerze słyszeli z mediów, ale kontaktu do niego nie mają. Mogą za to pokierować dalej, do Polek, które w mieście działają na rzecz społeczności migrantów, ale w statucie swojej organizacji mają zapisaną neutralność polityczną, więc o kontekstach wynikających z decyzji politycznych takich jak brexit rozmawiać nie będą. Polki z Choose Your Story w Crewe Dawida Szulca też nie znają, ale również są w stanie pokierować dalej – do Ewy Wilcock, która przyjechała do Anglii ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ za miłością swojego życia po studiach z socjologii i pracując jako tłumaczka m.in. na policji, o imigrantach z Polski dowiedziała się naprawdę dużo. Ewa jednak Dawida także nie zna, może za to dużo opowiedzieć, z jakimi problemami zmagają się Polacy w Wielkiej Brytanii – bo tych problemów jest sporo, od przemocy, poprzez samobójstwa, aż po alkoholizm i kompletną nieznajomość języka angielskiego.

Lekko, że aż strach

Edward Holt z brytyjskiego tabloidu „Daily Mail" to jedyny dziennikarz, który rozmawiał z polskim milionerem. Swoim czytelnikom doniósł, że pierwsze o wygranej Polaka dowiedziały się jego żona Kamila i córeczka Amelia, że z emocji nie spali tego dnia do północy. „Po raz pierwszy od tak dawna czuję się bardzo lekki. Mam wrażenie, że wszystkie problemy nagle zniknęły. Czuję ogromną ulgę, jakby ciężar spadł mi z ramion. Nawet w towarzystwie rodziny czuję się inaczej, o wiele szczęśliwszy. Nie jestem już zestresowany. Po raz pierwszy od 40 lat doświadczyłem czegoś takiego. To jest absolutnie wspaniałe" – wyznał Holtowi świeżo upieczony milioner. Opowiadał również, że jego mama aż popłakała się ze wzruszenia, bo przecież wiedziała, że syn zawsze chciał wrócić do kraju, bo tak się składa, że Szulc zamierza wszystko sprzedać i pożegnać się ze swoją tymczasową ojczyzną.

Co sobie pomyślał dziennikarz brytyjskiego tabloidu, można tylko gdybać. I jeśli poczuł, że Polak zrobił Brytyjczyków w trąbę, zmywając się z ich kraju przy pierwszej możliwej okazji, nie dał tego po sobie poznać. Gazeta poinformowała nawet, że krótko po wygranej Szulc sprzedał samochód. Przyznał, że liczy też na szybką sprzedaż domu. A w sierpniu będzie świętował w Poznaniu swoje 40. urodziny. Razem z rodziną i przyjaciółmi.

Artykuł o wygranej w „Daily Mail" utrzymany był w miłej, niemal familiarnej atmosferze, czego nie da się powiedzieć o wielu innych materiałach o Polakach na łamach tej gazety. Konkretnie można powiedzieć, że „Daily Mail" ma długą i mało chlubną tradycję obrażania, a wręcz szczucia na Polaków. Sam Holt o wygranej Polaka i jego decyzji o wyprowadzce z imperium rozmawiać już nie chciał. Przekazał za to adres e-mail do Julie, która komunikuje się z dziennikarzami z ramienia organizatora loterii. Po kilku dniach odpisała, że zwycięzca loterii więcej wywiadów udzielać już nie będzie. Z uprzejmej odpowiedzi między wierszami można wyczytać, że kluczowy był artykuł w „Daily Mail", bo pewnie takie są zobowiązania zwycięzcy wobec organizatora konkursu. Prośbę o kontakt z dyrektorem generalnym Elite Competitions Alexem Beckettem Julie zignorowała. Beckett dziennikarzowi „Daily Mail" powiedział jednak, że wszyscy w Elite Competitions są zachwyceni sukcesem Dawida i jego rodziny. „Kiedy z nim rozmawialiśmy, szybko stało się jasne, że nie chodzi o samochody ani domy. Chodzi o bycie bliżej ludzi, których kocha. Nie moglibyśmy być bardziej szczęśliwi i życzymy mu powodzenia w realizacji planów na przyszłość" – dowiedzieli się czytelnicy, którzy mogli też przeczytać, że największym marzeniem Polaka naprawdę był powrót do domu, ale zawsze coś stawało mu na drodze. Bo był kredyt hipoteczny, praca i obowiązki związane z codziennym życiem.

Wygrani i przegrani

Kasia Narkowicz, sojolożka z Middlesex University London, badająca m.in. sytuację migrantów z Polski w Wielkiej Brytanii, przyznaje, że czytała o sukcesie rodaka i była w szoku, że jeden z najdrapieżniejszych brytyjskich tabloidów dał przyjazny w tonie artykuł. – *Pamiętam, co pisali przed brexitem... Wtedy Polacy masowo polowali na łabędzie w angielskich parkach, oczywiście po to, żeby je zjeść. I blokowali kolejki do lekarzy. A tu nagle dali całkiem spory tekst o fajnym człowieku, któremu się poszczęściło* – uśmiecha się Narkowicz.

Beata mieszka w Brigthon, pracuje w Londynie – bardzo zamożnemu małżeństwu Hindusów pomaga przy dzieciach. O wygranej Dawida Szulca słyszała, bo chyba nie ma Polaka, który by nie słyszał. I wcale mu się nie dziwi, że z tymi milionami (jeśli sprzeda luksusową rezydencję) zamierza wrócić do Polski. – *W ogóle bym się na jego miejscu nie przejmowała tym, co pomyślą sobie Anglicy o tym jego wyjeździe. Czasy eldorado dla Polaków się skończyły. Tu jest koszmarnie drogo, brzydko i beznadziejnie. Jedyne, co mają pięknego, to przyroda* – mówi Polka, która za swoją polską emeryturę wynajmuje w Brigthon mieszkanie, i z irytacją podkreśla, że landlordowie mają w nosie standard i remonty, więc jak pada deszcz, to rozstawia miski, bo jej cieknie woda z dachu, a inwestować w nie swoje nie zamierza. No i nie da się już odłożyć żadnych pieniędzy na życie w Polsce, bo jest po prostu bardzo drogo.

Gdyby więc ona wygrała rezydencję, auto i gotówkę, bez wahania wróciłaby do kraju. – *Trzyma mnie córka, a dokładniej wnuki, które są chore na chorobę genetyczną. I to, co mogę tu pochwalić, to NHS, czyli brytyjską służbę zdrowia, która takim dzieciom daje leki najnowszej generacji tłumiące rozwój choroby. Śmiertelnej. Ale jak tylko dzieci podrosną i będą już samodzielne, wracam do Polski.* Beata przyznaje też, że jak usłyszała o polskim milionerze, to jej pierwsza myśl była prosta – jak on sobie teraz z tymi milionami poradzi w kraju? Bo na sto procent będzie miał chętnych do zrobienia interesów życia, na pewno też pojawią się znajomi w potrzebie, a jak zacznie odmawiać pożyczek i inwestycji, to szybko dorobi się opinii sknerusa, którego zepsuły pieniądze.

Polskie KGB

– *Kiedy przyjechałam do Szkocji, usłyszałam dość szybko, że jeśli Polak ci nie zaszkodzi, to już ci pomógł* – mówi Izabela Reid, która w tej Szkocji wyszła za mąż za Szkota, mieszka niedaleko Edynburga i właśnie wróciła z lotniska, bo odwoziła do Polski rodziców, którzy boją się latać samolotem, więc trasę do Wrocławia pokonała z nimi w tę i z powrotem. Reid nie kryje, że ona się na Wyspach odnalazła, ale też świadomie inwestowała w swoje nowe miejsce na ziemi, bo łatwo nie było.

Zaczynała jako housekeeperka w hotelu, czyli pokojówka. I pracowała z polską ekipą. Kiedy jednak poszła do koledżu, by nauczyć się angielskiego, i z tym dobrym angielskim awansowała na recepcję, ta polska ekipa z dnia na dzień przestała się do niej odzywać. – *Po jakimś czasie to się zmieniło, ale ten mój awans chyba odebrali jako zdradę, odcięcie się od nich* – opowiada Izabela, która o wygranej Polaka czytała również w polskich serwisach dla Polaków na Wyspach i potwierdza, że konkurs, w którym zdobył dom, auto i gotówkę, jest bardzo popularny wśród Brytyjczyków, i nie tylko Brytyjczyków.

Ona też nie dziwi się, że Dawid Szulc zamierza wrócić do Polski. Jej zdaniem życie na Wyspach jest coraz droższe, trudno odłożyć pieniądze i fala powrotów do kraju nie jest faktem medialnym, ale realnym zjawiskiem. – *Tylko że z tym powrotem wiążą się kolejne wyzwania. Szkoła dla dzieci, praca dla siebie... Idealizujemy miejsca, w których nas nie ma, więc tak jak*

eprasa.pl 4a128c0fe4

idealizowaliśmy kiedyś Wielką Brytanię, tak teraz imigranci z Polski idealizują swój własny kraj – przyznaje Iza, ale jednocześnie podsyła konta na Instagramie i Facebooku, gdzie nastolatki z polsko-brytyjskich małżeństw nagrywają filmiki z babcią na działce i oczywiście przy talerzach z pierogami, a rodowici Brytyjczycy z niekłamanym zachwytem opowiadają o tym, że Polska ich rzuciła na kolana czystością, jakością jedzenia, bezpieczeństwem czy transportem publicznym. Izabela Reid: – *Kiedyś się nas bali. Teraz mamy opinię ludzi bardzo pracowitych, dokładnych, odpowiedzialnych. Mój mąż ma firmę budowlaną, zatrudnia polskich inżynierów jako kierowników i czasem żartuje, że polskie KGB znów mu wszystko na budowie sprawdziło, bo z Polakami nie ma mowy o fuszerce.*

Z powrotem do domu

W sylwestra 2025 r. na stronie BBC Henry Ridgwell pisał, że według najnowszych danych brytyjskiego rządu utrzymał się trend wyjazdów Polaków z Wielkiej Brytanii – trzy razy więcej osób wyjechało do kraju, niż z niego przyjechało. I informował, że według danych brytyjskiego urzędu statystycznego ok. 25 tys. Polaków opuściło Wyspy między połową 2024 a połową 2025 r., podczas gdy w tym samym okresie przyjechało ok. 7 tys.

W szczytowym momencie w 2017 r. populacja Polaków w Wielkiej Brytanii przekraczała 1 mln, a Polacy stanowili najliczniejszą grupę cudzoziemców. Od tamtej pory liczba ta stopniowo spada i obecnie szacuje się, że w Wielkiej Brytanii mieszka ok. 700 tys. Polaków. Dane te komentowała dla publicznego nadawcy dr Narkowicz, podkreślając, że decyzje o powrotach, deklarowanych przez 33 proc. respondentów prowadzonych przez nią badań, wynikają przede wszystkim z poczucia braku stabilności.

– *Trudno w przypadku imigrantów z Polski nie mówić o dyskryminacji. Ok. 30 proc. respondentów w naszych badaniach mówiło, że nie czuje się komfortowo, mówiąc w pracy po polsku, a 27 proc. nie czuje się równie traktowanymi w pracy. I to nie dotyczy tylko osób wykonujących gorzej opłacane zawody, ale też np. lekarzy. O tym, nazwijmy to pokazywaniem miejsca w szeregu, opowiadał nam lekarz wykształcony na bardzo dobrej brytyjskiej uczelni. W czasie pandemii chciał coś zrobić w szpitalu, w którym pracował, i usłyszał: „U nas postępujemy inaczej”* – przyznaje Narkowicz. Dodaje, że różnice w traktowaniu nie tylko Polaków, ale szerzej, imigrantów z Europy Środkowo-Wschodniej, widać w awansach i zajmowanych stanowiskach – mimo długotrwałego pobytu w Wielkiej Brytanii wielu wykwalifikowanych Polaków jest nadreprezentowanych na stanowiskach niewymagających wysokich kwalifikacji. Np. 20 proc. Polaków wykonujących prace o charakterze rutynowym posiadało wyższe kwalifikacje, podczas gdy w przypadku osób urodzonych w Wielkiej Brytanii odsetek ten wynosił zaledwie 9 proc.

– *Frustracja dotyka nie tylko Polaków, ale też Brytyjczyków, bo jeśli w ich miejscu pracy awansował imigrant z naszej części Europy, to od razu pojawiało się pytanie, dlaczego akurat ta osoba, a nie Anglik? Ale dopiero w okolicach brexitu Polacy zdali sobie sprawę, że nie są traktowani na równi z innymi Europejczykami. A teraz do tej mniej lub bardziej odczuwanej dyskryminacji doszła świadomość, że pracują ciężko od 10 czy 15 lat, wcale nie zarabiają dużo lepiej niż wtedy, kiedy przyjechali, a życie jest drogie i nie stać ich nie tylko na kupienie mieszkania, ale też na wynajęcie czegoś porządnego* – mówi Narkowicz.

Nie kryje, że gdy dowiedziała się o wygranej Dawida Szulca, to pomyślała, że to taka jedna szansa na milion na lepsze życie, bo ciężką pracą na to życie się na Wyspach po prostu nie zarobi. – *Podam pierwszy przykład z brzegu – żłobki w Wielkiej Brytanii są pełnopłatne. To obecnie 50 funtów za dzień, w pierwszym roku aż 100 funtów, u dwu- i trzylatków dochodzą darmowe godziny, więc zeszliśmy z opłaty o połowę, ale to wciąż spora kwota. Moja córeczka ma cztery lata, po wakacjach idzie do szkoły i poczujemy z mężem realną ulgę, bo choć oboje pracujemy, mieszkamy w niezłej dzielnicy, to jednak dla nas też jest to duże obciążenie.*

Ada z polsko-angielskiej rodziny, z babcią, która głosowała za brexitem, choć syn Anglik tłumaczył jej, że wcale lepiej nie będzie, uśmiecha się: – *W mediach i na ulicy zmieniła się narracja. Polacy są już fajnymi emigrantami, przecież walczyli w bitwie o Anglię, więc są tacy nasi, nie to, co boat people, czyli ci, którzy na Wyspy próbują dotrzeć nielegalnie. Kiedy niedawno przyleciały do mnie kuzynki z Anglii, na lotnisku przeżyły szok, że tak jest u nas czysto. Dla nich decyzja Polaka, który wygrał miliony i chce wracać do Polski, też musi być szokiem.*

Dr Narkowicz: – *Do dzisiaj mam screen strony BBC z tekstem informującym o rozszerzeniu Unii. Ilustrowało go zdjęcie jakiejś babci zakutanej w chustkę i na wozie ciągniętym przez konia. Już bardziej stereotypowo chyba się nie dało. Dzisiaj Polska coraz częściej pokazywana jest jako kraj sukcesu, który lada moment przegoni Wielką Brytanię pod względem PKB. I jakości życia.*

Brytyjski konduktor z polskim paszportem i milionami na koncie już przegonił perspektywami nie tylko wielu rodaków na Wyspach, ale też rodowitych Brytyjczyków. A w rodzinnych stronach za 7 mln zł może kupić dworek i za pozostałe 3 mln zł odcinać od wygranej kupony, zamiast sprawdzać ludziom bilety.

KATARZYNA KACZOROWSKA

© ELITE COMPETITIONS/FACEBOOK

eprasa.pl 4a128c0fe4

Prosto o Krzywym Lesie

Badanie tomografem komputerowym suchego pnia sosny brzmi jak pomysł rodem z NFZ. Ale to coś więcej. Naukowcy próbują rozwikłać zagadkę Krzywego Lasu.

ZBIGNIEW BOREK

Krzywy Las to gwiazda. Znajduje się na pierwszym miejscu w rankingu wyszukiwań obiektów turystycznych Pomorza Zachodniego, pisały o nim „National Geographic", „New York Times" czy „The Times of India". Brytyjski „Daily Mail" zamieścił go na liście dziewięciu najbardziej magicznych lasów na świecie. Formalnie to tzw. powierzchniowy pomnik przyrody w Nowym Czarnowie pod Gryfinem. A jeszcze bardziej formalnie to pół hektara iglastego lasu, w tym 30 arów porośniętych sosnami, które tuż nad ziemią wyginają się w fantazyjny pałąk. Wszystkie jak jeden mąż w północną stronę. – *Nie mamy pojęcia, jak powstał ten las, ale to bardzo ekscytujące miejsce* – mówią David Jensen i Natascha Marx. Mieszkają pod Kopenhagą, w Polsce spędzają wakacje, a wizytę w Nowym Czarnowie podpowiedział im Google. „Niesamowita zagadka krzywych drzew", „Nie uwierzysz, póki nie zobaczysz na własne oczy" – nęcą internauci. Coraz więcej turystów ściągają tu również teorie spiskowe. Takie czasy.

Korzenie spisku

Internetowe fora, blogi, filmy na YouTube i portale poświęcone zjawiskom paranormalnym dopasowują krzywizny do własnych potrzeb. Winne według nich są: czołgi (w 1945 r. młode sosny zostały przygniecione przez wycofujące się oddziały Wehrmachtu albo nacierające zagony Armii Czerwonej), grawitacja (tak spójnie drzewa mogło wygiąć tylko lokalne zaburzenie pola grawitacyjnego), promieniowanie geotermalne albo elektromagnetyczne (wytwarzane przez

eprasa.pl 4a128c0fe4

Lidia Kmiecińska, starsza specjalistka służby leśnej: – Jeszcze 30–40 lat i nie będzie po naszych krzywulcach śladu. Dlatego powstaje projekt Krzywy Las 2.0.

© ZBIGNIEW BOREK (2)

pobliską elektrownię Dolna Odra). Bardziej fantastyczne wersje mówią o tajnych eksperymentach Trzeciej Rzeszy zmierzających do przejęcia kontroli nad naturą, a także o lądowaniu UFO: statek kosmiczny zakrzywił drzewa silnym polem energetycznym (na miejscu widywano ponoć obcych). W środowiskach ezoterycznych zaś popularna jest teoria, według której Krzywy Las rośnie na skrzyżowaniu tzw. linii ley (to hipotetyczne niewidzialne trasy energetyczne oplatające Ziemię) albo w dawnym miejscu kultu. Dzięki temu łatwiej tam medytować, organizm odzyskuje energię, a kompas szaleje.

Teorie spiskowe, jak to mają w zwyczaju, opierają się wyłącznie na spekulacjach. Na okrągło prostują je leśnicy i regionaliści. Przykładowo: drzewa zostały posadzone ok. 1930 r., więc w 1945 r. miały już kilkanaście lat i były zbyt grube, by czołgi mogły je wygiąć (i to na stałe), zamiast połamać. Poza tym musiałyby jeździć slalomem, bo nie wszystkie sosny w okolicy są krzywe. Nigdy nie wykryto tam żadnych anomalii geofizycznych, ale gdyby istniały, również wpłynęłyby na inne drzewa. Wszelkie tłumaczenia jednak jeszcze bardziej nakręcają zwolenników teorii spiskowych (wiadomo: tamci są w spisku). Dodatkowo Krzywy Las jest bardzo fotogeniczny – charakterystyczne zdjęcia są regularnie publikowane na platformach społecznościowych i opatrzone pytaniami, czy nauka naprawdę wie, co się tu wydarzyło.

Odpowiedź brzmi: nauka się domyśla, a leśnicy wiedzą, choć nie do końca. – *Wiemy, że Krzywy Las uformował człowiek. Nie jesteśmy jednak pewni, w jaki sposób, bo nie zachowała się dokumentacja ani relacje świadków. Niemieccy mieszkańcy, którzy w 1945 r. stąd uciekli albo zostali wysiedleni, zabrali tajemnicę ze sobą* – mówi Jan Grzyś, nadleśniczy Gryfina.

Celowe deformacje

Jako pierwszy na początku lat 70. minionego wieku naukowo próbował to wyjaśnić botanik Eugeniusz Ćwikliński. Znał opisane już wcześniej deformacje drzew: formy szczudłowate, sztandarowe, lawinowe i kandelabrowe świerków w Tatrach, formę harfową jodły z Doliny Białego, pozrastane sosny i świerki w ówczesnym woj. poznańskim i lasach spalskich, guzowate sosny spod Wilna, dwunożny buk spod Szczecina, oryginalnie wygiętą brzozę brodawkowatą w pow. szamotulskim czy powykrzywiane skupiny alejowe starych buków i grabów w Mielnie w woj. koszalińskim. Mimo to Krzywy Las, zwłaszcza jego regularność, go zaskoczył. „Na skraju sosnowego boru (...) znajduje się skupisko około 400 osobliwie zdeformowanych sosen zwyczajnych (*Pinus silvestris L.*) nazywane przez miejscową ludność» Lasem Bajkowym« albo »Krzywym Lasem«. Drzewa rosną w 22 rzędach o rozstawie 125 cm" – pisał w roczniku sekcji dendrologicznej Polskiego Towarzystwa Botanicznego w 1971 r. (już wtedy teren był „wydeptywany przez uczestników licznych wycieczek").

Odnotował jednokierunkowe skrzywienie pni (pod kątem 90 stopni i mniejszym) na wysokości od 10 do 55 cm od ziemi, pałąkowate wygięcia dochodzące od 1 do 3 m. I podsumował: „Z obserwacji tych wynika, że deformacje omawianych sosen powstały w wyniku celowej działalności ludzkiej. Młode drzewka sosen były nacinane od strony południowej do połowy pnia i więcej i przyginane do ziemi zawsze wierzchołkiem skierowanym na północ. Przy dalszym wzroście drzewek wierzchołki wyginały się ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ ku górze i powstawały obecnie obserwowane krzywizny".

Aby się utwierdzić w swoim przekonaniu, Eugeniusz Ćwikliński, późniejszy profesor nauk przyrodniczych, wiosną 1968 r. wykonał podobne zabiegi na kilku drzewkach sosny zwyczajnej w przyległym zagajniku. „Dotychczasowe obserwacje wskazują na pomyślny przebieg eksperymentu i jeśli drzewka nie zostaną zniszczone, to za kilkanaście lat będzie można obserwować podobne zjawiska" – pisał (pół wieku później leśnicy usiłowali odnaleźć te drzewka, ale bez skutku). Przypuszczał, że krzywe drzewa hodowano „do celów użytecznych": budowy wielkich kadzi, łodzi rybackich albo mebli. Nadleśnictwo jednak ustaliło, że najpewniej chodziło o budowę wozów drabiniastych do zwożenia siana z żyznych łąk Międzyodrza. – *Taką wersję usłyszeliśmy od niemieckich kolegów po fachu, a potwierdził to jeden z byłych mieszkańców okolicy* – mówi Jan Grzyś. Pięć lat temu Nadleśnictwo Gryfino postanowiło odtworzyć krzywulce, jak je nazywa, na pierwotną skalę. Albo i większą.

Krzywy Las 2.0

Z ok. 400 wygiętych sosen, które odnotował Ćwikliński, do dziś pozostało 95. To właściwie nie las, ale skrawek lasu, na dodatek w pobliżu garażowiska i blokowiska, z rurą ciepłowniczą na skraju i kominami elektrowni w tle. Turyści mogą o tym miejscu zapomnieć, jeśli drzew będzie jeszcze mniej, bo pojedyncze egzemplarze można spotkać także w innych miejscach Polski. – *Daje im się we znaki grzyb, szczególnie korzeniowiec, zbliża się też naturalny kres ich żywotności. Jeszcze 30–40 lat i nie będzie po naszych krzywulcach śladu* – Lidia Kmiecińska, starsza specjalistka służby leśnej, wskazuje obumierające drzewa. Część spróchniałych pni leży na ziemi, kilka innych chyli się ku upadkowi. Kmiecińska prowadzi nas jednak kilkaset metrów dalej, do plantacji zastępczej, oficjalnie nazywanej Krzywym Lasem 2.0. Jego zadanie: zachować przyrodniczą osobliwość dla potomnych. Innymi słowy skopiować kompleks zdeformowanych sosen.

Część nowej plantacji zajmują drzewa genetycznie spokrewnione z tymi, które rosną wygięte. Zimą, bo wtedy szyszki jeszcze się nie otwierają, do Krzywego Lasu zajechał podnośnik z arborystą (to spec od opieki nad drzewami) na wysięgniku, który ostrożnie je zebrał. Szyszki pojechały do wyłuszczarni, a pozyskane tam nasiona wysiano w szkółce. 1 tys. sadzonek o wysokości ok. 30 cm posadzili w Krzywym Lesie 2.0 leśnicy i przygodni turyści, np. para z USA, która nie mogła uwierzyć, że uczestniczy w tak epokowym przedsięwzięciu. Dziś drzewka mają już pięć lat – gdyby miały rosnąć zdeformowane same z siebie, już byłoby to widać. – *To oczywiste, ale teraz każdy może się przekonać na własne oczy, że genetyka nie ma tu nic do rzeczy* – mówi Kmiecińska. W drugiej części Krzywego Lasu 2.0 rośnie 4 tys. drzewek wyhodowanych z prostych sosen. Od tych spokrewnionych z Krzywym Lasem różnią się tylko wielkością, bo zostały posadzone kilka lat wcześniej. Tam będzie przeprowadzona właściwa część eksperymentu, w której uczestniczą naukowcy.

Jesienią zeszłego roku fizycy z Uniwersytetu Warszawskiego, specjaliści od biologicznej mechaniki płynów i fizyki materii miękkiej, wykonali skany 3D krzywych sosen. – *Prześwietliliśmy je także weterynaryjnym rentgenem, a we wrześniu zabierzemy na uczelnię suchy pień, żeby poddać go badaniu tomografem komputerowym* – relacjonuje prof. UW Maciej Lisicki. Jego zespół, wspólnie z Urszulą Zajączkowską, prof. Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, która zajmuje się anatomią, biomechaniką i aerodynamiką roślin, zamierza też zbadać system korzeniowy. – *Poprzez analizę struktury i mikrostruktury drzew oraz systemu korzeniowego opracujemy model matematyczny obrazujący, w jaki sposób następował wzrost, a także to, jak z punktu widzenia fizyki doszło do odkształceń i ich utrwalenia* – mówi prof. Lisicki.

Efekty pracy ekspertów UW wykorzystają badacze z Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego. 10 lipca w Krzywym Lesie podpisali umowę z nadleśnictwem na opracowanie „technologii krzywienia drzew". – *Z języka ciała tych drzew wnosimy, że są to bez wątpienia defekty świadomie ukształtowane przez człowieka. Do opracowania pozostaje jednak metodyka. Na terenie leśnym i w hali wegetacyjnej uczelni będziemy więc młode drzewka testowo przycinać, przeginać, formować, żeby wypracować najbardziej efektywną i powtarzalną metodę odtworzenia charakterystycznych krzywizn* – tłumaczy prof. ZUT Marcin Kubus, dendrolog z Katedry Architektury Krajobrazu. Jego zespół wykorzysta obciążniki, formatki i inne metody kształtowania drzew, znane choćby z sadownictwa czy pielęgnacji drzewek bonsai. We współpracy z fizjologami drzew będzie badał pod mikroskopem, jak włókna drzewne zareagują na próby deformacji. Dendrochronolodzy zaś oszacują, kiedy najlepiej ingerować w proces wzrostu.

Za dwa lata powinna być opracowana metoda rewitalizacji Krzywego Lasu. A to oznacza, że człowiek ugruntuje anomalię przyrodniczą, której jest jedynym i bezpośrednim sprawcą. – *I jeszcze będzie miał z tego fun* – przekonuje Lidia Kmiecińska z nadleśnictwa. – *Sadzić las można w wielu nadleśnictwach, ale tylko u nas będzie można wyginać drzewa.*

Kapsuła czasu

To nie żart: w deformowaniu drzew w Krzywym Lesie 2.0 pod nadzorem przeszkolonych już leśników będzie mógł wziąć udział każdy, choć najpewniej będą obowiązywały zapisy. Takie przynajmniej jest założenie projektu nadleśnictwa, gminy Gryfino i Fundacji Polskiej Grupy Energetycznej, które w 2020 r. zainicjowały „wieloetapowy proces ochrony istniejącego zbioru krzywulców oraz utworzenia jego nowego pokolenia".

Krzywy Las doczekał się oficjalnego znaczka Poczty Polskiej z dedykowaną kopertą i okolicznościowym stemplem, gmina wydała także serię poświęconych mu widokówek. W czerwcu tego roku odbyła się premiera questu – mobilnej gry terenowej prowadzącej przez Krzywy Las. „Wierzysz w kosmitów? Poszukaj wokół śladów lądowania statku obcej cywilizacji. Wybierasz się tu z dziećmi? Nietypowy kształt drzew świetnie działa na ich wyobraźnię – niech zaproponują własną teorię, wyjaśniającą, jak mogły powstać tak nietypowe drzewa" – zachęca jedna z podróżniczych stron internetowych. – *Gdy te drzewka były małe, ktoś tu codziennie przychodził i na nie siadał* – podejrzewa dziewięcioletni Mateusz, który przyjechał do Krzywego Lasu rowerem z mamą. – *Za każdym razem możemy podejrzewać coś innego* – uśmiecha się Żaneta Pasternak, mama chłopca. A twórcy Krzywego Lasu 2.0 zastanawiają się, czy zakopać w nim kapsułę czasu ze wskazówkami, jak wyginać drzewa, czy też pozwolić potomnym, żeby znaleźli rozwiązanie w internecie albo nadal karmili się teoriami spiskowymi. Są tacy, którym one szczególnie smakują.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 4a128c0fe4

POSZERZAMY HORYZONTY

Naukowe miesięczniki POLITYKI

Sierpniowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

pulsar

eprasa.pl 4a128c0fe4

Małże piją kranówkę

Państwo sporo zarabia na paliwach, biznes – na wodzie. Na wojnie kranówki z wydobywaną z podziemnych źródeł i butelkowaną wodą, niekoniecznie mineralną, najbardziej korzystają międzynarodowe koncerny. Płacimy w przekonaniu, że pijemy zdrowiej.

JOANNA SOLSKA

Idziemy na rekord, w tym roku prawdopodobnie wypijemy już 5 mld litrów wody butelkowanej, według wiadomości-handlowe.pl w 2024 r. w butelkach kupiliśmy 4,5 mld litrów. Wprawdzie zgodnie z prognozami Euromonitora popyt miał rosnąć o 2,5 proc. rocznie, ale strach przed atakami wroga na infrastrukturę krytyczną, czyli także wodociągi, każe nam gromadzić wodę na zapas. Oczywiście w butelkach. Najczęściej sięgamy po Żywiec Zdrój, choć wielu jej amatorów niedokładnie wie dlaczego. Nie jest to bowiem woda mineralna, nie ma jej na liście 119 wód mineralnych, którą po dokładnych badaniach corocznie prezentuje Główny Inspektor Sanitarny. Na ostatniej mamy m.in. Dar Natury, Kingę Pienińską, Muszyniankę, Jurajską, Piwniczankę, Zakopiańską, o najpopularniejszej GIS nie wspomina.

Żywiec Zdrój należy bowiem do kategorii wód źródlanych, zawierających mało minerałów, magnezu, wapnia czy sodu; wodą mineralną nie jest. Przy ostatniej fali upałów Paweł Grzesiowski, główny inspektor sanitarny, radził, zwłaszcza osobom starszym, aby częściej sięgały po mineralną wodę wysoko zmineralizowaną, żeby uzupełnić w organizmie poziom elektrolitów, w tym przypadku Żywiec Zdrój nie będzie dobrym wyborem. Owszem, nawadnia dobrze, tak jak kranówka. Jako woda z małą ilością minerałów dobrze nadaje się natomiast dla dzieci. Jej nazwa brzmi swojsko, ale marka należy do francuskiego Danone, głównego gracza na polskim i numeru dwa na globalnym rynku wody butelkowanej, u nas sprzedaje więcej niż co czwartą butelkę. Na świecie największą popularnością cieszą się jej marki Evian oraz Volvic.

Na drugą pozycję na polskim rynku wybiła się firma Nałęczów Zdrój, od czasu gdy weszła na wyższą rynkową półkę z mocno reklamowaną Perlage. Wyższa półka nie oznacza wcale wyższej

eprasa.pl 4a128c0fe4

jakości, ale jej złudzenie, jakie stwarza zwykle szklane opakowanie i ogromna reklama. Udział w rynku wód firmy Nałęczów Zdrój szacowany jest na ok. 15 proc. Polską wodą o obco brzmiącej nazwie Perlage zachwycała się w reklamie Monica Belucci. Spółka Nałęczów Zdrój została wniesiona do Fundacji Rodzinnej, której beneficjentami są członkowie zarządu: Krzysztof Weka, Paweł Witaszek oraz Mirosław Gruszka. Z 37 proc. udziałów kontroluje ją Fundusz KDW Zamknięty. Do bojkotu Cisowianki w czasach rządów PiS zachęcała lewica, gdyż wiceprezes firmy publicznie wspierał fundację antyaborcyjną. Konsumenci jednak zareagowali na apel słabo. Ówczesny marszałek Sejmu Stanisław Karczewski umieścił natomiast swoje zdjęcie w sieci, na którym w tle widoczna była butelka Cisowianki. W tym czasie prawicowe poglądy demonstrowali też właściciele Staropolanki, umieszczając na etykiecie wody reklamę firmy odzieżowej Red is Bad, której właściciel występuje dziś w roli świadka koronnego w aferze Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych. Już jej nie reklamują.

Darmowej nie będzie

Ostatnio Lewica zaproponowała, aby polskie restauracje miały obowiązek podawać klientom darmową wodę z kranu. Poseł Piotr Kowal uznał, że czteroosobowa rodzina przy wakacyjnym obiedzie zaoszczędzi dzięki temu 20–48 zł, a woda z kranu i tak jest prawie za darmo, produkcja litra kosztuje 1–1,50 gr. Trochę przesadził – w rzeczywistości woda z wodociągu jest tańsza. Sejm odrzucił propozycję. Darmowej wody nad morzem ani w górach na razie nam nie podadzą, jednak rząd nie rezygnuje z wdrażania tej idei.

Pomysł Lewicy był odwrotnością tego, jaki mieli menedżerowie amerykańskiej sieci restauracji Olive Garden, w czasach gdy w USA darmowa woda z kranu należała się klientom jak psu zupa. – *Rzucili hasło „Powiedz wodzie nie" (Just Say No to H2O). Słusznie rozumowali, że na wodzie butelkowanej, doliczanej do rachunku, zarobią dużo więcej. Był 1999 r., wojna kranówki z butelkowaną nabierała dynamiki* – przypomina Hubert Walczyński, współpracownik Fundacji Inicjatyw Społecznej Ekonomii.

Do Nestlé Waters Polska, numeru trzy na naszym rynku z udziałem ok. 13 proc., należą marki Nałęczowianka i Mazowszanka. Za nią uplasowała się rodzima Muszynianka, sp. z o.o., do której według zapewnień Leszka Cidyły, wiceprezesa firmy z Muszyny, należy już prawie 10 proc. rynku. Polska spółka próbowała dogadać się ze Słowacją w sprawie przesyłania rurociągiem wody z tamtejszych źródeł do polskiej rozlewni, ale słowacki rząd się nie zgodził. Nie chce na rzecz zagranicznej firmy pozbywać się tanio cennego surowca. Hydrolodzy twierdzą, że nadmierna eksploatacja podziemnych źródeł nie pozwoli na ich odnawianie. – *Przejęliśmy kilka pobliskich polskich źródeł na terenie Popradzkiego Parku Narodowego, brak dostępu do surowca nam nie grozi* – zapewnia wiceprezes.

© SHUTTERSTOCK, KARL TAPALES/GETTY IMAGES

O czwartą pozycję walczy Coca-Cola oferująca w Polsce Kroplę Beskidu. Po nazwach trudno się zorientować, że na swojsko brzmiących markach wód butelkowanych zarabiają najwięcej globalne koncerny. W cenie butelki najmniejszą pozycję stanowi sama woda, ok. 3,5 proc. Według Centrum Monitorowania Rynku na polskim rynku wody butelkowanej na pierwszą piątkę przypada już 80 proc. sprzedaży, a walka światowych gigantów z polskimi firmami staje się coraz bardziej zażarta.

Producent Cisowianki z polskim rządem walczy jednak w interesie całej branży. Złożył pozew w polskim sądzie oraz skargę w Komisji Europejskiej, oskarżając go, że promuje niezdrową żywność. Zdaniem prawników firmy Nałęczów Zdrój dowodem tego jest 23-procentowa stawka VAT na zdrową wodę butelkowaną, podczas gdy soki, także słodzone, opodatkowane są niższą stawką.

Wodociągi nie doceniają konkurenta

– *Konsument za litr wody z sieci przeciętnie płaci pół grosza, w Warszawie grosz, za półtoralitrową butelkę wielokrotnie więcej, 2–3 zł. To trochę inny segment rynku* – zapewnia dr inż. Tadeusz Rzepecki, przewodniczący Rady Izby Gospodarczej Wodociągi Polskie. Sam pije wodę gazowaną, przyrządzaną w domu z kranówki w specjalnym urządzeniu. Statystyczny Polak zużywa dziennie 100 litrów wody z wodociągu, butelkowanej kupuje mniej niż 1 litr. Wodociągi nie czują na plecach oddechu konkurencji.

A powinny. Z tych 100 litrów, które płyną z kranu w kuchni lub w łazience, statystycznie tylko 2 litry zużywane są do celów spożywczych, a więc ponad dwa razy więcej niż Polacy piją butelkowanej. W tych dwóch litrach jest nie tylko woda, którą wypijamy w kawie czy herbacie, ale też ta wylewana do zlewu po ugotowaniu ziemniaków czy makaronu. Wniosek – do picia używamy kranówki coraz rzadziej, uwierzyliśmy, że butelkowana jest zdrowsza.

Rynek wody butelkowanej szybko rośnie. Globalny przekroczył już wartość 300 mld dol., dopalaczem dla polskiego rynku stała się wojna Rosji z Ukrainą. Popyt na wodę butelkowaną gwałtownie wzrósł, producenci nawet nie muszą już jej reklamować.

Na spotkaniu w gmachu Sejmu, którego sponsorem była Krajowa Izba Gospodarcza Przemysł Rozlewniczy, zrzeszająca producentów, a właściwie dostawców wody butelkowanej, jej prezes dr Dariusz Lizak zwracał się do parlamentarzystów: „Woda butelkowana jest elementem bezpieczeństwa żywnościowego i cywilnego państwa, o czym świadczy chociażby zalecenie, aby każdy obywatel zgromadził zapas minimum 2 litrów wody na osobę dziennie na 7 dni, i fakt, że woda butelkowana jest elementem wyposażenia plecaka ewakuacyjnego. Pokazuje to jasno, jak ważną rolę odgrywa woda butelkowana w systemie odporności państwa na sytuacje kryzysowe".

Wody zgromadzonej na wszelki wypadek nie można magazynować zbyt długo, o terminie przydatności informują etykiety na opakowaniach, zapasy trzeba rotować, co zwiększa popyt. Butelek nie ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ wolno trzymać w pomieszczeniach o temperaturze wyższej niż 20 st. C. Jeśli padają na nie promienie słoneczne, w plastikowym opakowaniu mogą się wytwarzać szkodliwe substancje. Szczególnie niebezpieczny jest bisfenol (BPA), substancja groźna nie tylko dla układu hormonalnego człowieka, ale mająca też właściwości rakotwórcze.

Od 20 lipca 2026 r. opakowania żywności, a więc także plastikowe butelki do wody, we wszystkich krajach Unii powinny być dla nas bardziej bezpieczne. Główny Inspektorat Sanitarny informuje, że po 18 miesiącach okresu przygotowawczego nie wolno już używać plastiku z zawartością bisfenolu. Czy znaczy to, że producenci wody butelkowanej wygrali kolejną bitwę z kranówką? Nie, bo dla naszego zdrowia nie przestało być groźne niewłaściwe przechowywanie butelek z wodą. Przede wszystkim jednak dlatego, że także wodociągi mają obecnie obowiązek przesyłania wody do badania na obecność bisfenolu. Woda w Unii, zarówno z kranu, jak i z butelki, stała się bezpieczniejsza niż w innych krajach.

Woda z pleśnią

Wojna kranówki z wodą butelkowaną staje się coraz bardziej zażarta. Boom na tę butelkowaną zaczął się w 1973 r., gdy amerykański inżynier Nathaniel C. Wyeth opatentował butelkę PET. Globalne koncerny produkujące napoje nie od razu zorientowały się, że to dla nich nie tylko zagrożenie, ale także ogromna szansa. Wielki wyścig zaczął się dopiero w latach 90., wtedy już także o nasz rynek. Według obliczeń naukowców Uniwersytetu Szczecińskiego w 1990 r. wypijaliśmy zaledwie 10 litrów na głowę statystycznego Polaka, w 2013 r. było to już 84 litry. Obecnie z butelki, przeważnie plastikowej, pociągamy już ponad 135 litrów rocznie, wliczając niemowlęta. Hasło, że woda z kranu wkrótce będzie służyć tylko do mycia naczyń i brania prysznica, zaczęło się sprawdzać.

Żeby zachęcić klientów do kupowania wody butelkowanej, trzeba ich było najpierw odstraszyć od kranówki. Padały nawet zarzuty, że to ta sama woda co w klozecie. Wodociągi w Vancouver pozwały Nestlé, która w USA sprzedawała butelkowaną wodę Poland Spring, że jej etykiety, z ośnieżonymi szczytami gór, wprowadzają w błąd, woda pochodzi ze źródeł miejscowych, koncern musiał podpisać ugodę. W Polsce Coca-Cola sprzedawała popularną wodę Bonaqua; po wykryciu w niej pleśni i bakterii E. coli w partii w Środzie Śląskiej wycofała 8 mln butelek. W końcu zrezygnowała też ze skompromitowanej marki, zastąpiono ją Kroplą Beskidu.

Co skłania nas do płacenia wielokrotnie więcej za kupowanie wody w butelce? Przekonanie, że kupujemy produkt inny, zdrowszy. Największym atutem wody butelkowanej ma być to, że jest ona pierwotnie czysta, stworzona przez naturę, jest wydobywana ze źródeł podziemnych, nie wolno poddawać jej żadnym procesom uszlachetniającym. – *Każdy, kto chce butelkować wodę i wejść z nią na rynek, musi postarać się o koncesję wydawaną przez Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego PZH po przeprowadzeniu licznych i rygorystycznych badań* – informuje dr Teresa Latour, emerytowana szefowa Instytutu Medycyny Uzdrowiskowej w PZH. Potem wodę bada sanepid.

Z opublikowanych przez internetowy Serwis Zdrowie badań SW Research wynika, że Polacy wskazują wodę butelkowaną jako najbezpieczniejsze i najbardziej jakościowe źródło nawodnienia. Sięga po nią 95 proc. badanych, z czego prawie 55 proc. głównie ze względu na jej jakość. Tych, których argumenty serwisu nie przekonały, informuje on o sposobie pozyskiwania wody pitnej przez wodociągi. Otóż w przeciwieństwie do mineralnej i źródlanej woda w kranie może pochodzić z wód powierzchniowych, np. jezior. Zanim wypłynie z kranu, może być poddawana dezynfekcji za pomocą związków chloru lub lamp UV. Ma to zapobiegać rozwojowi bakterii i wtórnemu skażeniu w sieci wodociągowej. Takim procesom, według serwisu, nie może być poddawana woda butelkowana. Informacje Serwisu Zdrowie przygotowane zostały wspólnie ze Stowarzyszeniem Wody Mineralne i Źródlane.

Piotr Gołąbek, dyr. techniczny firmy Alaska Water, zajmującej się m.in. sprzedażą filtrów do wody, radzi, żeby uważnie czytać informacje na etykietach butelek z wodą. Jeśli znajdziemy informację, że woda „została poddana procesowi filtracji i napowietrzaniu", to znaczy, że nie kupujemy ani mineralnej, ani źródlanej, ale wodę stołową, która niczym nie różni się od kranówki.

– *Wodociągi polskie też biorą wodę z ujęć podziemnych, identyczną jak ta butelkowana, słabo zmineralizowana* – uzupełnia dr inż. Rzepecki. Na 9 tys. ujęć wody i stacji jej uzdatniania tylko trzysta kilkadziesiąt pobiera wodę powierzchniową, z rzek lub jezior. Gruba Kaśka dla Warszawiaków bierze wodę z Wisły, ale tę podziemną, wstępnie oczyszczoną już przez siedmiometrową warstwę piasku.

Obecna kranówka w niczym nie przypomina poprzedniczki, która przed laty śmierdziała chlorem. Najnowocześniejszym instalacjom dbającym o jakość wody w stolicy pomagają małże. Są niesłychanie wrażliwe na wszelkie zanieczyszczenia i gdy je odczują, natychmiast się zamykają. Na pytanie, które wodociągi mają najlepszą wodę, dr inż. z Wodociągów Polskich nie odpowie, każda kranówka spełnia wymogi narzucone przez ministra zdrowia.

Według laboratorium Brita najlepsza woda płynie z kranów w Łodzi, Zakopanem (ze źródeł tatrzańskich) i w Gdańsku. W innych rankingach liderem jest Kraków, od którego lepszą wodę ma ponoć tylko Singapur, w czołówce znajduje się też Warszawa.

Zjadamy jedną kartę kredytową w tygodniu

Od czasu do czasu wybuchają afery, które przeczą deklaracjom dostawców wody butelkowanej o jej czystości. Jak skandal, którego bohaterką w 2024 r. stała się firma Nestlé Waters, gdy media wykryły, że nielegalnie filtrowała wodę sprzedawaną jako naturalna woda mineralna marki Perrier i Vittel, której część trafiła też do Polski. Wpadła, gdy ujęcia zostały skażone m.in. bakteriami kałowymi i pestycydami, a producent do ich usunięcia zastosował lampy UV oraz filtry węglowe. W Polsce kilka dużych sieci wycofało wodę źródlaną Primavera, producenta San Benedetto Polska (z datą ważności do 17 stycznia 2027 r.) serii LP51985 po raporcie sanepidu, który uznał ją za potencjalnie niebezpieczną z powodu zagrożenia mikrobiologicznego.

Wojna kranówki z wodą butelkowaną pozostałaby pewnie nierozstrzygnięta, gdyby świat nie zaczął przyglądać się butelkom. Reuters ogłosił akcję „Tonąc w plastiku", informując, że tylko jednego dnia na świecie zużywa się 1,3 mld plastikowych butelek PET. Autorzy raportu World Wildlife Fund alarmują, że tygodniowo zjadamy 5 g plastiku, tyle, ile waży karta kredytowa. Cząsteczki mikroplastiku są wszędzie, ale w butelkach PET jest ich dziesięć razy więcej niż w wodzie z kranu – wynika z badań prof. Agaty Rosińskiej z Politechniki Częstochowskiej. Powinny zmienić nasz stosunek do kranówki.

Piotra Gołąbka z firmy Alaska Water przekonała informacja, że aby wyprodukować półtoralitrową butelkę PET, trzeba zużyć aż 3 litry wody. Marnujemy więc dwa razy więcej, niż wypijamy.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 4a128c0fe4

Ale kosmos!

Rakieta Ariane Europejskiej Agencji Kosmicznej na kosmodromie Kourou w Gujanie Francuskiej

© MATYAS REHAK/SHUTTERSTOCK

Premier Tusk ogłosił, że Polska stanie się europejskim czempionem przemysłu kosmicznego. Państwo będzie więcej inwestowało w podbój kosmosu. Krajowa branża już się na to cieszy, a Polacy są zdumieni: to my mamy taki przemysł?

ADAM GRZESZAK

Tusk odleciał w kosmos – orzekł internetowy komentariat, a w sieci zaroiło się od żartów i memów o tym, jak może wyglądać obiecany przez premiera polski statek kosmiczny i kogo należałoby w nim wystrzelić. Jego deklaracja zabrzmiała, jakby znalazł ją w planie Morawieckiego, choć przecież polityk PiS, obiecując nam gruszki na wierzbie, aż tak wysoko nie mierzył. „Samochodu elektrycznego sami nie jesteśmy w stanie zbudować, a na statek kosmiczny się porywamy?!" – dziwi się jeden z internautów.

Co właściwie obiecał Donald Tusk, zapowiadając powstanie w Warszawie centrum technologicznego Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA), a przy okazji prezentując na dachu Centrum Nauki Kopernik swoje kosmiczne wizje? „Jednym z założeń ESA, realizowanym także z polskiej składki, jest budowa – i to jest przełomowy projekt – pierwszego polskiego statku kosmicznego, który będzie mógł zapewnić dużo większe możliwości transportowe między Ziemią a satelitami" – mówił premier. Chodzi więc nie o lot na Księżyc, ale o trwający już od kilku lat międzynarodowy program Europejskiej Agencji Kosmicznej o nazwie RAVEN. Jego celem jest stworzenie pojazdu typu ISTV (ang. In-Space Transportation Vehicle), czyli bezzałogowego statku kosmicznego do transportu, logistyki i serwisowania satelitów na orbicie.

„RAVEN to skrót od *Rendez-Vous and Proximity Vehicle for Enabling Multi-Mission*, czyli projektu statku kosmicznego, którego celem jest łapanie, naprawa (i nie tylko) innych statków kosmicznych" – wyjaśnił na swoim profilu Grzegorz ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ Brona, prezes Creotech Instruments, jednej z największych polskich prywatnych firm sektora kosmicznego uczestniczących w tym projekcie. ESA rolę lidera konsorcjum powierzyła innej polskiej firmie PIAP Space. RAVEN będzie zbudowany na platformie HyperSat, rozwijanej od 2017 r. przez firmę Creotech Instruments. W konsorcjum są też inne krajowe podmioty branży kosmicznej: Łukasiewicz – Instytut Lotnictwa, Wojskowa Akademia Techniczna, AROBS Polska, GMV Polska, co sprawia, że do pewnego stopnia będzie to polski statek kosmiczny.

Program jest finansowany głównie z kasy ESA, której Polska jest członkiem i jak inni odprowadza składkę. Pierwsza demonstracja orbitalna planowana jest w 2029 r. Ale na orbitę RAVEN zostanie wyniesiony przez europejską, a nie polską rakietę, bo takich jeszcze nie mamy. Mamy za to już firmy, np. SpaceForest, która buduje suborbitalne rakiety nośne, a Sieć Badawcza Łukasiewicz pracuje nad polskim systemem, który w przyszłości pozwoli na samodzielne wynoszenie satelitów na orbitę z terytorium kraju. Mamy nawet krajowy Cape Canaveral w Ustce, gdzie na Centralnym Poligonie Sił Powietrznych testowana była niedawno rakieta Perun firmy SpaceForest (we współpracy z ESA).

Polska jest członkiem Europejskiej Agencji Kosmicznej od 2012 r. Budżet ESA pochodzi ze składek wnoszonych przez 23 państwa członkowskie. Składki dzielą się na obowiązkowe i opcjonalne, a od skali zaangażowania finansowego zależy udział kraju i jego firm sektora kosmicznego w projektach ESA. W latach 2023–25 Polska wpłaciła do kasy ESA 360 mln euro. W latach 2026–28 zdecydowaliśmy się podwyższyć nasz udział do 731 mln euro ze względu na ambicje uczestniczenia w wielu projektach. Ale nie będą to pieniądze stracone, tylko inwestycja, bo w ESA obowiązuje zasada geograficznego zwrotu: 85–90 proc. składki wraca do kraju pochodzenia w postaci kontraktów dla rodzimych firm i instytucji naukowych.

Tylko muszą mieć dokąd wrócić. Niezbędne są rodzime firmy i instytucje naukowe o odpowiednim poziomie kompetencji i możliwości technologicznych, bo ESA nie daje pieniędzy po uważaniu albo na zachętę. Wszystko sprawdza i patrzy na ręce, by na orbicie nie okazało się, że ktoś chciał dobrze, ale mu nie wyszło.

Polski satelita EagleEye zbudowany przez firmy Creotech Instruments, Scanway oraz Centrum Badań Kosmicznych PAN

Ile mamy dziś w Polsce firm sektora kosmicznego? Zależy, kto liczy. „Puls Biznesu" oszacował ich liczbę na 300, Polski Instytut Ekonomiczny doliczył się tylko 170 aktywnych podmiotów. Wynika to ze skali firm, bo wiele z nich należy do grupy małych, a nawet mikro. To często start-upy, a także firmy, które wyewoluowały z instytucji naukowych, tzw. spin-off i spin-out. Sporo jest też firm, zwłaszcza z branży telekomunikacyjnej czy informatycznej, dla których kosmiczny biznes jest na razie uboczną formą działalności. Ale są i duże, jak wspomniana już giełdowa spółka Creotech Instruments czy polsko-fińska ICEYE, światowy lider w produkcji i obsłudze radarowych satelitów obserwacyjnych (ma ich na orbicie 50), dostarczających precyzyjne obrazy Ziemi, niezależnie od pory dnia i warunków pogodowych.

– *Jednym z efektów zwiększenia polskiej składki do Europejskiej Agencji Kosmicznej jest decyzja o stworzeniu w Polsce jej nowej placówki. Agencja, poza centralą w Paryżu, ma dziś siedem ośrodków badawczo-operacyjnych: w Niemczech, Holandii, Belgii, Wielkiej Brytanii i we Włoszech. W Polsce powstanie ósmy. To dla nas ważne, nie tylko ze względów prestiżowych, lecz również dlatego, że wiąże się z uruchomieniem przez ESA nowego programu „Europejska odporność z kosmosu" (ERS – European Resilience from Space). Ma on służyć wzmocnieniu zdolności Europy w zakresie obrony i bezpieczeństwa za pomocą infrastruktury orbitalnej* – wyjaśnia Paweł Wojtkiewicz, prezes Związku Pracodawców Sektora Kosmicznego SPACE.PL.

Dla branży kosmicznej przełomowy okazał się moment agresji Rosji na Ukrainę. W 2022 r. Europa zaczęła poważnie niepokoić się o swoje bezpieczeństwo, a wydarzenia na ukraińskim froncie dowiodły, jak strategiczne znaczenie ma dziś kosmos: obrazowanie powierzchni Ziemi z orbity, telekomunikacja i nawigacja satelitarna. Bez obecności w kosmosie armia staje się dziś ślepa i głucha. Dlatego Ukraińcom tak nieocenione usługi oddaje polsko-fińska spółka ICEYE, dostarczając satelitarne zdjęcia interesujących ich obszarów. Polska armia dysponuje dziś własnymi satelitami rozpoznawczymi, część z nich wyposażona jest w system radarowy typu SAR, dostarczony przez firmę ICEYE, a także satelitami Mikroglob, budowanymi przez Creotech Instruments (pierwszy został wysłany na orbitę w ostatnich dniach, trzy kolejne polecą do końca roku).

– *Europejska Agencja Kosmiczna w przeszłości wyraźnie podkreślała pokojowy charakter wszystkiego tego, co robi w kosmosie.*

eprasa.pl 4a128c0fe4

Sławosz Uznański-Wiśniewski, polski astronauta, będzie pracował w warszawskim ośrodku Europejskiej Agencji Kosmicznej

Teraz to się zmieniło i niemal każdy program ESA, każdy poważniejszy satelita, są prezentowane jako dual-use, czyli cywilno-wojskowy. Przykładem program IRIS², do którego w ostatnich dniach przystąpiła Polska – wyjaśnia dr hab. Grzegorz Brona, prezes Creotech Instruments (laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w 2012 r.).

IRIS² (akronim od angielskich słów infrastruktura – odporność – łączność –bezpieczeństwo; kwadrat na końcu symbolizuje łączność podwójnego zastosowania) to program budowy europejskiej konstelacji 290 satelitów telekomunikacyjnych niskiej orbity, służących łączności rządowej, wojskowej oraz operatorów infrastruktury krytycznej państw UE. Polska zobowiązała się sfinansować budowę kilkunastu własnych satelitów oraz stworzyć naziemną stację odbiorczo-nadawczą na swoim terytorium.

Niektórzy nazywają IRIS² europejskim Starlinkiem. – *To nieporozumienie, nie to zastosowanie, nie ta skala* – prostuje Piotr Mierzejewski, prezes spółki Thorium Space. – *Konstelacja IRIS² ma liczyć niespełna 300 satelitów, Starlink ma ich dzisiaj ponad 10 tys., a planuje dojść do 40 tys. Jeśli tam jedna firma może uzyskać taką skalę, a w UE o skromną pulę satelitów rywalizuje wiele firm, to wyraźnie widać, jaki dzieli nas dystans i jak europejskim firmom sektora kosmicznego będzie trudno nawiązać konkurencję.*

Thorium Space to polska firma technologiczna, rozwijająca technologie komunikacji satelitarnej dla sektora instytucjonalnego, obronnego i infrastruktury krytycznej. Firma realizuje projekty współfinansowane m.in. przez UE, ESA oraz MON i jest obecnie na etapie prac badawczo-rozwojowych. Nie skorzysta więc z programu IRIS², mimo to spółka cieszy się już sporym zainteresowaniem inwestorów – w czerwcu tego roku z powodzeniem zakończyła ofertę publiczną, pozyskując 22 mln zł finansowania. Planuje w tym roku debiut giełdowy na NewConnect.

ESA w rywalizacji z NASA i amerykańską branżą kosmiczną nie jest na przegranej pozycji – uważa szef Creotechu. Wprawdzie budżet NASA jest trzykrotnie wyższy, ale oni się wybierają na Księżyc, a my nie. Za to niektóre europejskie systemy są lepsze od amerykańskich. – *Przykładem europejski system nawigacji satelitarnej Galileo, który jest dużo bardziej precyzyjny niż amerykański GPS. Także IRIS² nie ma co porównywać ze Starlinkiem, bo w amerykańskim systemie chodzi o powszechny satelitarny dostęp do internetu, a w europejskim o chroniony system łączności specjalnej* – wyjaśnia Grzegorz Brona.

Donald Trump dołożył Europie kłopotów, bo okazało się, że UE nie może być nawet pewna swego największego sojusznika. Amerykańskie technologie i usługi satelitarne stały się czynnikami ryzyka, tak jak ryzykiem dla Ukraińców są decyzje Elona Muska, który włącza i wyłącza im usługi satelitarnej sieci telekomunikacyjnej Starlink. Kolejnym wyzwaniem są Chiny, które nie kryją woli dominacji, także w kosmosie. Na orbitach robi się tłoczno, bo wynoszenie satelitów staje się tańsze, więc wszyscy rwą się w kosmos.

Nie ma się więc co dziwić Donaldowi Tuskowi, że i on chce tam znaleźć dla Polski miejsce. Wyższa składka do ESA sprawia, że Polska wejdzie do pierwszej dziesiątki krajów finansujących działalność agencji. Warszawskie centrum technologiczne będzie pierwszym powstałym w kraju, które nie należy do grupy założycieli ESA.

– *Sektorowi kosmicznemu większa polska składka do ESA i rosnące krajowe wydatki na obronność dają szanse na rozwój. Branża stoi jednak przed wyzwaniami, takimi jak dostęp do wykwalifikowanej kadry oraz silna konkurencja na rynkach międzynarodowych. Dla sektora kosmicznego wciąż głównymi klientami są administracja lub międzynarodowe agencje, które mają ogromny wpływ na funkcjonowanie rynku. W Polsce wciąż czekamy, aby administracja różnych szczebli stała się ważnym klientem i użytkownikiem danych satelitarnych oraz technologii kosmicznych. Mamy również nadzieję, że ministerstwa będą aktywnie wspierały udział naszego przemysłu w dużych programach kosmicznych Unii Europejskiej, takich jak IRIS², Copernicus lub Galileo. Bez tego wsparcia szanse na sukces znacznie maleją* – uważa prezes Wojtkiewicz.

Branża kosmiczna narzeka, że ustawodawca nie nadąża z regulacjami za tym, co się dzieje w kosmosie. Polska Strategia Kosmiczna, przyjęta przez rząd w 2017 r., już się zdążyła zdezaktualizować. – *Dokument mówi, że Polska ma być dostawcą podsystemów satelitarnych, a my już mamy całe satelity na orbicie, jesteśmy dostawcą kompletnych systemów satelitarnych. Nie ma także ani słowa na temat udziału Polaka Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego w misji kosmicznej. Polski przemysł kosmiczny dawno wyprzedził strategię i czeka na nową* – przekonuje prezes Brona. Niestety, przełomu w sprawnej administracji Tusk nie ogłosił, więc trudno mieć pretensje. Gdyby tak się stało, to byłby dopiero kosmos.

ADAM GRZESZAK

© CREOTECH, TOMASZ WASZCZUK/PAP

eprasa.pl 4a128c0fe4

Japoński najemnik z ukraińskiego 422. Samodzielnego Batalionu Strzelców. Służą w nim bojownicy z Azji, Afryki, Ameryki Północnej i Południowej oraz Europy.

Psy wojny 2.0

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Ukraina zapowiada, że nawet połowę żołnierzy na pierwszej linii będą stanowić obcokrajowcy. Rosja, ściągając najemników, posuwa się do handlu ludźmi. Już wkrótce to może być zupełnie inna wojna.

© SVEN TORFINN/PANOS PICTURES/FORUM, VIKTORIIA YAKYMENKO/SUSPILNE UKRAINE/GETTY IMAGES

eprasa.pl/4a128c0fe4

Według słownika PWN najemnicy to „żołnierze służący w obcym wojsku za pieniądze". W późnym średniowieczu stanowili trzon wielu armii europejskich i tworzyli najbardziej bitne oddziały. Z pól bitewnych zaczęli jednak znikać w XIX w., wraz z rozprzestrzenianiem się idei narodowej i zwrotem w kierunku armii obywatelskich. W ostatnich dekadach najemnicy to głównie fenomen konfliktów postkolonialnych. Ich obraz – jako białych profesjonalistów walczących w Afryce – ukształtował m.in. Frederick Forsyth w czerpiącej szeroko z rzeczywistości powieści „Psy wojny". Teraz psy wojny wracają do łask za sprawą wojny rosyjsko-ukraińskiej.

Drapieżna rekrutacja

Na tym froncie obcokrajowcy walczą – po obu stronach – już od 2014 r. Początkowo byli jednak mniej liczni i bardziej doświadczeni. Częściej kierowała nimi idea (heroiczna walka Ukraińców o przetrwanie) lub ideologia (szczególnie skrajnie prawicowa) niż pieniądze. Od tamtej pory oba walczące państwa tylko zwiększają swoje oddziały zaciężne, i w tej rywalizacji Kreml wyraźnie przoduje. Ukraińskie służby twierdzą, że od 2022 r. w rosyjskiej armii walczyło co najmniej 27 tys. obcokrajowców, i podkreślają, że to zaniżone szacunki. W 2026 r. Moskwa zamierza zwerbować rekordową liczbę 18,5 tys. obcokrajowców. W rosyjskich szeregach walczyło też ok. 14 tys. żołnierzy z Korei Północnej.

– *Nie jest to główna siła rosyjskiej armii, ale ma swoje znaczenie – również z perspektywy Polski i innych krajów europejskich. Rekrutacja najemników wspiera rosyjską agresję i może zapowiadać eskalację wojny na inne europejskie kraje* – mówi Maria Tomak, ukraińska działaczka na rzecz praw człowieka związana z organizacją Truth Handout i współautorka raportu „Bojownicy, najemnicy czy ofiary handlu ludźmi? Wykorzystywanie przez Rosję zagranicznych bojowników w wojnie z Ukrainą".

Jak wskazuje tytuł, obraz zagranicznych najemników walczących w rosyjskich szeregach daleko odbiega od tego popkulturowego, znanego z Forsytha, bardziej przypomina profile ofiar z raportów o handlu ludźmi. – *To nie są żadni kultowi najemnicy, tylko często przypadkowo zwerbowani ludzie, najczęściej bez doświadczenia wojskowego. Nie są też ideologicznymi bojownikami. Nie chcą walczyć za Rosję. Trafiają na wojnę, której nie rozumieją* – podsumowuje badaczka.

Tomak określa rosyjską rekrutację jako „drapieżną", wykorzystującą ekonomiczne i społeczne dramaty ludzi. – *Migranci zarobkowi przebywający w Rosji bywają zatrzymywani i zmuszani do podpisywania kontraktów z wojskiem. Natomiast w swoich krajach pochodzenia są rekrutowani pod pretekstem pracy cywilnej, choćby na budowie czy w ochronie. A potem, już w Rosji, są zmuszani do służby w armii* – opowiada badaczka. Dodaje, że dopiero co zwróciła się do jej organizacji rodzina Peruwiańczyków, która chce wyciągnąć z frontu swojego bliskiego. – *Nie możemy pomóc. Dyplomaci też często nie mogą nic zrobić, bo Rosja odpowiada, że ci ludzie podpisali umowę i rzekomo wiedzieli, co podpisują* – tłumaczy.

Złapani w pułapkę

Rosja rekrutuje niemal na całym świecie, jej żołnierze pochodzą z ponad 130 państw. Zginąć mogło już ponad 5 tys. obcokrajowców walczących po rosyjskiej stronie – najwięcej z Azji Środkowej (Uzbekistanu, Tadżykistanu, Kazachstanu i Kirgizji), poza tym z Azji Południowej (Sri Lanki i Nepalu) i Afryki (przede wszystkim z Kamerunu). W ostatnim czasie zachodnie wywiady informowały, że Rosja szeroko werbuje na Kubie.

– *Ci ludzie podpisują umowy w języku rosyjskim i służą tak jak inni obywatele Rosji. Powinni więc otrzymywać takie same świadczenia. Jednak z wywiadów, jakie przeprowadziliśmy z obcokrajowcami przebywającymi w Ukrainie w obozach jenieckich, wynika, że nie otrzymywali żadnych świadczeń. Nie wiem, czy dostaliby je później, ale w większości przypadków szybko giną* – wyjaśnia Tomak.

Według ukraińskiego wywiadu zginęło ponad 20 proc. zrekrutowanych przez Rosję obcokrajowców, 42 proc. zabitych straciło życie w ciągu czterech pierwszych miesięcy służby. W ich rekrutacji biorą udział podmioty zarówno państwowe, jak i niepaństwowe. „Zaangażowanie rosyjskich służb bezpieczeństwa, FSB, personelu misji dyplomatycznych i innych agencji państwowych, takich jak tzw. Rosyjskie Domy (formalnie instytucje promocji kultury – przyp. red.), wskazuje na kontrolę lub nadzór państwa nad tymi procesami" – piszą autorzy raportu.

W ostatnich miesiącach Moskwa zintensyfikowała werbunek w Afryce. „Nieetyczna rekrutacja obywateli Afryki żeruje na trudnościach ekonomicznych. Wasi obywatele nie powinni dać się wciągnąć w wojnę, która nie jest ich wojną" – ostrzegała Kaja Kallas, szefowa unijnej dyplomacji, podczas marcowej wizyty w Ghanie. Tamtejsze społeczeństwa są młode, a gospodarka nie potrafi zapewnić wystarczającej liczby miejsc pracy i dlatego zdesperowani młodzi mężczyźni są atrakcyjnymi celami rosyjskich rekruterów. Cytowany przez „New York Times" kenijski senator Okoiti Andrew Omtatah podsumował tę sytuację tak: „Gdyby dziś w Mombasie zacumował statek z transparentem »Potrzebni niewolnicy na Zachodzie«, nie zostałoby na nim miejsca". Reklamy w afrykańskich mediach społecznościowych obiecują miesięczne pensje w wysokości 2–3 tys. dol. i jednorazowe wypłaty nawet w wysokości 18 tys. dol.

Tomak podkreśla, że mieszkańcy Azji i Afryki często nie rozumieją trwającej w Europie Wschodniej wojny. – *Ludzie po prostu nawet nie myślą o tym, kogo i dlaczego jadą zabijać. W ich przestrzeni informacyjnej brakuje informacji o tej wojnie. Nie rozumieją, jak jest okrutna. Również dla żołnierzy, którzy są rzucani na front jako mięso armatnie, jako „materiał zużywalny", jak często określa ich sama Rosja* – relacjonuje Tomak.

Złapani w pułapkę nagrywają filmiki, by nagłośnić swoją gehennę na froncie. Widać na nich rasistowskie postawy rosyjskich żołnierzy. Na jednym z nagrań Rosjanie najpierw obwieszają obcokrajowca minami przeciwpiechotnymi, a potem próbują wypchnąć go na ukraińskie pozycje.

Handel ludźmi

Autorzy raportu podkreślają, że drapieżne i przymusowe praktyki rekrutacyjne wypełniają definicję handlu ludźmi. Natomiast obecne regulacje międzynarodowe definiują pojęcie najemnictwa zbyt wąsko, aby efektywnie pomóc w zwalczaniu rosyjskich praktyk. Swoich obywateli muszą chronić państwa, ale wiele z nich to ubogie kraje, które również nie mają wystarczających regulacji do walki z handlem ludźmi.

Powracających bojowników i ich rekruterów zaczęła w ostatnich miesiącach aktywniej ścigać Kenia. Tamtejszy wywiad pokazał, w jaki sposób agencje rekrutacyjne współpracowały z pracownikami lotniska, funkcjonariuszami imigracyjnymi i innych służb, aby zorganizować rekrutom podróż. Pod dyplomatyczną ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ presją rządu w Nairobi Kreml teoretycznie zakazał rekrutacji w krajach o „wyższym ryzyku dyplomatycznym".

W wielu krajach do promocji fałszywych obietnic Rosjanie zatrudniają lokalnych influencerów. Jak wynika ze śledztw dziennikarskich, kobiety z państw afrykańskich i latynoamerykańskich są natomiast nęcone ofertami pracy opiekuńczej, a potem zmuszane do montażu dronów w Rosji.

W obronie swoich obywateli interweniował podczas spotkania z prezydentem Władimirem Putinem premier Indii Narendra Modi. W pierwszej reakcji Moskwa wycofała obywateli Indii z linii frontu, ale potem znów zaczęła ich rekrutować. Przykładów jest wiele. Sonu Kumar wyjechał do Rosji na studenckiej wizie, a wrócił w trumnie z rosyjską flagą, ubrany w rosyjski mundur, szczątki rodzina musiała sprowadzić na własny koszt. Sahil Majothi pojechał do Rosji studiować inżynierię komputerową. Jego rodzina twierdzi, że został fałszywie oskarżony o handel narkotykami, dostał propozycję odsłużenia winy w armii. Przeżył i dostał się do ukraińskiej niewoli.

Znaczna część zagranicznych najemników działała jednak świadomie. Np. były wykonawca robót drogowych z Nepalu stracił firmę podczas pandemii, „wstąpienie do armii tłumaczy potrzebą zarobienia pieniędzy" – opisuje jego przypadek portal Ukraińska Prawda. „Nierzadko jest to samodzielny wybór dokonany w warunkach, które pozostawiały niewiele akceptowalnych opcji. I właśnie dlatego należy uwzględniać oba wymiary (...), zamiast sprowadzać daną osobę do roli ofiary lub pragmatycznego poszukiwacza korzyści" – pisał Denis Sultangaljew z Truth Hounds.

Podobne dylematy są po ukraińskiej stronie. „Liczba zaangażowanych cudzoziemców systematycznie rośnie, a początkowo ochotniczy charakter udziału zastąpiła służba najemna" – pisze z kolei o ukraińskiej rekrutacji Ośrodek Studiów Wschodnich (OSW). – *Nie wiemy, ilu obcokrajowców rekrutuje Ukraina, ale liczby te nie zbliżają się do tych, które osiąga Rosja* – dodaje Tomak.

Ochotnicy z łapanki

Według nieoficjalnych szacunków na froncie rosyjskiej wojny mogło zginąć kilkunastu Polaków, walczących po stronie Ukrainy. Białorusini, Gruzini czy właśnie Polacy sięgają po broń również z pobudek ideowych, czyli wspólnej walki z imperialną rosyjską przemocą. Kijów rekrutuje nawet Rosjan, którzy uważają Putina za wroga, a z perspektywy Kijowa mają również wartość propagandową.

W ostatnim czasie Ukraina rekrutuje nawet w Kolumbii. Z niektórych analiz wynika, że obywatele krajów Ameryki Południowej stanowią już 40 proc. obcokrajowców walczących po ukraińskiej stronie. „Dekady konfliktów wewnętrznych wykształciły liczną grupę doświadczonych bojowników. (...) Umiejętności te stały się towarem na globalnym rynku" – wyjaśnia ten przypadek ośrodek analityczny Atlantic Council. W Ukrainie Kolumbijczycy mogą zarobić nawet 10 razy więcej niż w ojczyźnie.

Obcokrajowcy są obu armiom potrzebni, bo po ponad czterech latach wojny brakuje chętnych do walki obywateli. W Ukrainie minął już czas kolejek do komisji wojskowych – jak pisze OSW, a Ministerstwo Obrony Ukrainy przyznaje, że „10 proc. rekrutów – co najmniej 3 tys. miesięcznie – trafia do wojska z użyciem przymusu". Symbolem tego stała się busyfikacja, czyli łapanki na ulicach.

W lipcu we Lwowie ok. 200 mieszkańców napadło na grupę żołnierzy lokalnej komisji uzupełnień (TCK), którzy próbowali zatrzymać uchylającego się od służby wojskowej mężczyznę. Rzeczniczka praw wojskowych potwierdza, że tego rodzaju ataki są obecnie regularne. Rośnie liczba skarg na przemoc ze strony TCK. Jednocześnie to kwestia, która wywołuje ogromne napięcia społeczne – im więcej Ukraińców uchyla się od służby, tym trudniej zdemobilizować tych zmęczonych na froncie.

Minister kontra generał

Prezydent Wołodymyr Zełenski unikał dotychczas trudnych decyzji. Problem ma w końcu załagodzić ogłoszona w czerwcu przez byłego już ministra obrony Mychaiło Fedorowa reforma. Zakłada ona podwyżkę pensji dla walczących na pierwszej linii oraz wprowadzenie czasowych kontraktów – tak, by idący na front wiedzieli, kiedy mogą wrócić do domów. Ulżyć ma też rewolucja technologiczna w armii, czyli zastępowanie ludzi coraz nowocześniejszymi dronami i pojazdami autonomicznymi.

Fedorow zapowiedział również, że 30–50 proc. żołnierzy oddziałów szturmowych i piechoty będą stanowili zagraniczni ochotnicy. Zachodni eksperci przyjęli te zapowiedzi ze sceptycyzmem – skąd Ukraina miałaby wziąć pieniądze na sfinansowanie tych planów i czy uda jej się zintegrować obcokrajowców, bo do tej pory było to niełatwe. „Osiągnięcie założonego przez Ministerstwo Obrony Ukrainy pułapu jest mało prawdopodobne, gdyż wymagałoby stałego utrzymania w służbie co najmniej 60–100 tys. najemników" – podsumowuje OSW.

Pytanie także, czy Ukraina również zamierza szukać rekrutów w najuboższych krajach. – *Jeśli Ukraina chce zintensyfikować rekrutację, ważne jest, aby nie skończyło się to handlem ludźmi* – podkreśla Tomak. Dodaje jednak przy tym, że w przeciwieństwie do Rosji Ukraina ma przejrzysty, a nie drapieżny system rekrutacji. Ma też takich ludzi jak ona, którzy są wprawieni w walce o przestrzeganie praw człowieka.

W połowie lipca Zełenski zdymisjonował Fedorowa w związku z konfliktem ministra obrony z głównodowodzącym armią gen. Ołeksandrem Syrskim. Ostatecznie, pod presją demonstracji w obronie zwolnionego ministra, prezydent usunął ze stanowiska i Syrskiego. Nie jest jeszcze jasne, jak ten kryzys się skończy, więc losy proponowanych przez Fedorowa rozwiązań nie są pewne.

Ale Rosji też brakuje rekruta. Jak twierdzi Kijów, w ostatnich kilku miesiącach ukraińscy żołnierze zabijali i ranili więcej żołnierzy Kremla, niż ten jest w stanie rekrutować. Putin unika powszechnej mobilizacji, strategia Kremla wciąż opiera się na nęceniu chętnych do walki wysokimi pensjami, co dotychczas było efektywne, szczególnie w uboższych regionach kraju. Ale wygląda na to, że pieniądze już nie wystarczają, by przyciągać chętnych. Eksperci spodziewają się, że Putin może ogłosić mobilizację jesienią po zaplanowanych wyborach.

Dr Michał Piekarski z Instytutu Studiów Międzynarodowych i Bezpieczeństwa Uniwersytetu Warszawskiego zwraca uwagę na jeszcze jeden problematyczny aspekt stawiania na obcokrajowców, istotny również z perspektywy innych państw: najemnicy wracają bogatsi o doświadczenie z ukraińskiego frontu. – *Parę miesięcy temu w Kolumbii zestrzelono śmigłowiec policyjny podczas operacji przeciwko kartelom – spadł po trafieniu dronem...* – opowiada Piekarski. I dodaje, że organizacje przestępcze z całego świata zaczynają wysyłać swoich ludzi na wojnę do Ukrainy po doświadczenie.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Autorka jest dziennikarką radiowej Trójki.

eprasa.pl 4a128c0fe4

Dlaczego czarni nie pływają

Jak każdego lata baseny i kąpieliska znów stały się centrum cywilizacji Zachodu – ze wszystkimi jej sporami o rasizm, religię i zasady współżycia.

ŁUKASZ WÓJCIK

© CRAIG F. WALKER/THE DENVER POST/GETTY IMAGES

Historia z Halle w Saksonii-Anhalcie. Jest tam jezioro Heidesee utworzone na terenie zamkniętej kopalni odkrywkowej, czyli bardzo głębokie. Od lat działa tam kąpielisko: ograniczone, strzeżone przez ratowników i płatne. W 2024 r. pojawiły się tabliczki: „Zakaz pływania bez znajomości języka niemieckiego". I natychmiast zrobiła się z tego ogólnokrajowa awantura. Przedstawiciele mniejszości etnicznych zgłosili sprawę do sądu, a ten w niedawnym wyroku nakazał zdjęcie tabliczek.

Sprawa jest kontrowersyjna z kilku względów. Prawni reprezentanci poszkodowanych argumentowali, że to przykład jawnej dyskryminacji. Obrońcy kierownictwa kąpieliska przekonywali, że doszło tam do kilku niebezpiecznych zdarzeń (gwałtownie opadające dno), w których kąpiący się nie reagowali na ostrzeżenia i nakazy ratowników wygłaszane oczywiście w języku niemieckim. W końcu pojawił się zwrotny argument: co pomyśleliby sobie niemieccy turyści na Majorce, gdyby zakazano im kąpać się bez znajomości języka hiszpańskiego? A na tym wszystkim kapitał polityczny zbiła skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec (AfD), szczególnie popularna w Saksonii-Anhalcie, wyciągając na banery zdjęcie z kąpieliska okraszone hasłem „Wy, którzy nie rozumiecie po niemiecku, trzymajcie się z dala!".

1 Strzeżone kąpielisko czy basen jawią się jako genialne rozwiązanie niezliczonych problemów z wodą. Akwen wystarczająco duży, by zachęcić do całkowitego zanurzenia, i wystarczająco mały, by go kontrolować. Wszystko, co przerażające w wodzie – prądy i pływy, przepastna ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ głębia – w basenie jest zneutralizowane. Nawet mocz, nieodmienny składnik wody w każdym basenie, jest unicestwiany przez chlor lub inne substancje. W tym sensie basen symbolizuje naszą wiarę w państwo (a przynajmniej w sanepid i kierownictwo pływalni).

Jak pokazuje przykład z Saksonii-Anhaltu, każda niecka basenu jest też społecznym mikrokosmosem. Uwzględnia, a czasem i uwypukla wszystkie różnice między ludźmi. Przypomina nam, że żyjemy w całym tym zbiorze często konfliktowych relacji, które czasem amortyzuje woda. Na basenie ocieramy się o ciała, które rządzą światem (zdrowe, wydepilowane, wyrzeźbione i opalone), a także o ciała osób naznaczonych: ciężarnych kobiet, osób starszych, matek małych dzieci, chorych i niepełnosprawnych. A zdejmując ubrania, rezygnujemy z oznak statusu, przekształcając basen w egalitarną oazę. Przynajmniej do momentu, gdy odezwiemy się w obcym języku.

Bo woda w basenie może mieć różną temperaturę. Raz jest zimna, co sprzyja chłodzeniu konfliktów, studzi emocje. Wówczas to jedyne miejsce, w którym półnadzy znajdujemy się obok ludzi, których nie znamy, i wcale nam to nie przeszkadza. Taki zimny basen to przestrzeń, w której wiele sposobów bycia spotyka się ze sobą bez próby ich pogodzenia. Jednak woda w basenie może być też gorąca, na granicy społecznego wrzenia. – *Przez dekady baseny były arenami najważniejszych sporów współczesności: podziałów rasowych i płciowych, dyskryminacji, wykluczenia. Stanowiły i gdzieniegdzie wciąż stanowią nieckę dla wojen religijnych. To nad ich brzegami hartowało się współczesne państwo i granice jego ingerencji w życie prywatne obywateli* – mówi historyk Jeff Wiltse, autor książki „Contested Waters" (Sporne wody). I dodaje: – *A nad tym wszystkim unosi się wciąż duch niewolnictwa.*

Ma to bardzo wymierne skutki. Następująca dyskusja przetoczyła się ostatnio w Kanadzie. Nieco tylko parafrazując: dlaczego czarnoskóry chłopiec utonął? Ponieważ nie umiał pływać. A nie umiał pływać, ponieważ nauka pływania to jeden z tych punktów zwrotnych, gdzie rasa, przestrzeń i klasa społeczna się zderzają. W rezultacie czarni w Kanadzie toną siedem razy częściej niż biali (dane za Światową Organizacją Zdrowia, z zachowaniem proporcji populacyjnych). W Stanach Zjednoczonych – pięć razy częściej. Do większości tych zgonów dochodzi na publicznych basenach.

Trudno się dziwić. Jeśli rodzice nie umieją pływać, bo sami nie mieli dostępu do basenów z powodów, o których później, jest mniej prawdopodobne, że nauczą się tego ich dzieci. A utonięcie jest trzecią najczęstszą przyczyną nieumyślnych śmierci na świecie. Do 96 proc. takich wypadków dochodzi w krajach o niskich lub średnich dochodach. W tym świetle sprawa dostępności basenów staje się fundamentalna.

2 Gdy myślimy o przestrzeniach publicznych, zapewne rzadko przychodzi nam do głowy akurat basen. Przez wieki tego typu miejsca – nie tylko baseny, ale też łaźnie – były jednak miejscem „wzmożonego doświadczenia społecznego", jak pisze o nich Fernand Braudel w „Historii i trwaniu". Zawsze stanowiły również przestrzeń sporną, gdzie na powierzchnię wypływały tematy trudne, takie jak segregacja płciowa i rasowa, gentryfikacja i wszechpanująca kontrola, w przeciwieństwie do obiecywanej przez wodę wolności.

Historia basenów jest ściśle związana z ewolucją miast. Najstarszy, sprzed ponad 5 tys. lat, odkopany w Pakistanie, miał funkcje kultowe – to nie zmieniło się przez kolejne milenia. Dopiero Cesarstwo Rzymskie zeświecczyło basen (łaźnię), który miał przede wszystkim poprawiać zdrowie publiczne i higienę. A także budować spójność społeczną, przynajmniej wśród elit. Po upadku Rzymu tego typu uciechy straciły na znaczeniu w Europie – ich zalety przechował świat islamski m.in. w postaci hammamów.

Publiczne baseny wróciły do Europy w Wielkiej Brytanii w okresie rewolucji przemysłowej – wraz ze wzrostem liczby ludności miejskiej i, co za tym idzie, rosnącymi problemami ze zdrowiem publicznym – jako konsekwencji szybkiej urbanizacji, która ograniczyła dostęp do czystej wody. Kraje niemieckojęzyczne poszły w ślady Brytyjczyków w latach 60. XIX w., zaraz potem dołączyła Francja. Europejskie problemy z basenami są jednak inne od choćby amerykańskich.

W ostatnich dekadach niemal we wszystkich krajach zachodniej Europy wybuchały polityczne spory z powodu basenów – poczynając od zasad korzystania z publicznych kąpielisk, koedukacji, reguł ubioru itd. Przez Francję dekadę temu przetoczyła się głośna awantura o burkini, czyli strój pływacki zakrywający niemal całe ciało, preferowany przez konserwatywne muzułmanki. Wiele francuskich gmin, czyli właścicieli basenów, zakazuje go, powołując się na higienę publiczną lub świeckość. A sądy wielokrotnie już unieważniały lokalne przepisy zezwalające na noszenie burkini na publicznych basenach.

W takich krajach jak Szwajcaria czy Niemcy od lat trwa spór o obowiązkowe zajęcia pływackie w szkołach. W wielu przypadkach muzułmańskie rodziny zabraniały córkom uczestnictwa, co kończyło się zazwyczaj w sądach. Dziś przeważa zasada potwierdzona przez Europejski Trybunał Praw Człowieka, zgodnie z którą interes państwa – rozumiany przez pryzmat integracji społecznej i edukacji młodych pływaczek – jest ważniejszy niż prawo rodziców do wychowywania córek zgodnie ze swoimi przekonaniami (choć np. niemieckie regulacje zezwalają na pływanie w burkini). Często muzułmańskie rodziny nie puszczają córek i świadomie płacą kary. Bywa i tak – to głośny przypadek ze Stuttgartu – że na opłacenie kary dla jednej rodziny składa się lokalna społeczność muzułmańska.

Nieco inaczej rzecz się ma w państwach, gdzie mniejszości rasowe czy religijne mają jeszcze dłuższą historię. W Wielkiej Brytanii czy Holandii lokalnie zarządzane baseny często oferują specjalne godziny pływania tylko dla kobiet lub wydzielone „dni dla pań". Jednocześnie w tych krajach kwestia umiejętności pływania wśród imigrantów lub ich potomków wypada najgorzej. Według brytyjskiej Amateur Swimming Association jeszcze w 2015 r. 95 proc. czarnoskórych mieszkańców Wysp nie potrafiło pływać; wśród czarnych dzieci odsetek wynosił 80 proc. (później zaprzestano podobnych badań).

– *W Europie i innych krajach Zachodu funkcjonuje fałszywy stereotyp: jeśli ktoś przyjeżdża z nadmorskiego kraju, to musi umieć pływać* – mówi Michelle Stephens, socjolożka z Rutgers University. W swoich badaniach dotyczących USA próbowała rozprawić się z tym mitem, dotykającym m.in. imigrantów z Karaibów. Wśród ankietowanych przybyszów co dwunasty jako tako unosił się na wodzie. A przecież Karaiby to wyspy... – *Problem polega na tym, że przytłaczająca większość karaibskich basenów należy do hoteli i jest przeznaczona dla turystów. W basenach z reguły pływają biali, a czarni ewentualnie donoszą drinki* – przekonuje Stephens.

eprasa.pl 4a128c0fe4

Johannesburg, RPA, 1965 r. Wymowny symbol czasów apartheidu: basen „tylko dla europejskich dzieci".

Basen potrafi być rasistowską świnią, czego najlepszym przykładem jest historia wspólnego pływania w Stanach Zjednoczonych. Do dziś jest tam najwięcej odkrytych basenów per capita na świecie (inna sprawa, że większość z nich już nie działa, ale o tym zaraz). I można zaryzykować stwierdzenie, że to właśnie baseny były przez całe dekady najważniejszą przestrzenią publiczną w USA.

3 Zaczęło się z podobnych powodów jak na Starym Kontynencie. Pod koniec XIX w. duże amerykańskie miasta budowały publiczne baseny nie tylko ze względów higienicznych (industrializacja, zanieczyszczenie rzek itd.), ale też jako wspólne przestrzenie integracji kolejnych tysięcy imigrantów z różnych państw europejskich. Tam mieli spotykać się po pracy, rozmawiać, flirtować i... tworzyć nowy amerykański naród. Oczywiście nie wszyscy. Na Południu panowała wówczas pełna segregacja rasowa w sensie prawnym – nie było konfliktów na basenach, bo żadnemu czarnemu, wyzwolonemu obywatelowi USA do głowy by nie przyszło, żeby kąpać się w basenie „tylko dla białych".

Na Północy sytuacja zaczęła się zmieniać, gdy ustała europejska imigracja i z Południa zaczęli napływać czarnoskórzy obywatele. Baseny budowano nadal, szczególnie po wielkim kryzysie w 1929 r., gdy miały posłużyć ukojeniu nastrojów społecznych. Ale niemal wyłącznie w „białych" dzielnicach, gdzie wciąż segregacja rasowa miała charakter domyślny. W niektórych, bardziej liberalnych ośrodkach wprowadzono tzw. niedziele dla kolorowych, po których spuszczano całą wodę i czyszczono suchy basen – zgodnie z dominującym przeświadczeniem, że czarni brudzą wodę.

Po wojnie organizacje walczące o prawa czarnych nabrały siły, zaczęły też sprzyjać im sądy (pierwszy wyrok w sprawie dostępu do publicznych basenów zapadł w 1944 r.). To skłaniało czarnych do egzekwowania swoich praw, co wywoływało gwałtowne reakcje. Do najsłynniejszej doszło w St. Louis w stanie Missouri, gdzie w czerwcu 1949 r. ok. 30 czarnych jak gdyby nigdy nic przyszło na największy w USA basen – Fairground Pool. Od 1919 r. był dostępny „tylko dla białych" i pozostał taki już po wyrokach desegregacyjnych. Biali pływacy nie tylko pobili i wyrzucili z basenu ową trzydziestkę, ale też zapoczątkowali pogromy, które trwały w St. Louis przez dwie doby.

Potem napięcia rosły już równolegle. Kolejne wyroki desegregacyjne z finałem w postaci Civil Rights Act z 1964 r. współwystępowały z następnymi atakami na czarnych pływaków, którzy postanowili „zabrudzić" wodę białym: gwoździe w kąpielisku w Cincinnati, kwas wlany do basenu w St. Augustine na Florydzie, wybielacze do prania w kilkunastu kolejnych.

Biała opozycja odpuściła jednak tę walkę po 1964 r., co zbiegło się z początkiem ucieczki białej klasy średniej na przedmieścia. Przeciwnicy desegregacji, gdy wymknęły im się publiczne baseny w centrach miast, postanowili budować własne, prywatne – tam, dokąd się przeprowadzili. Lata 70. to w USA pączkowanie prywatnych klubów pływackich na przedmieściach, które już same mogły decydować, kto będzie ich członkiem. I tak się składało, że raczej nie czarni.

Wyprowadzka białej klasy średniej radykalnie obniżyła wpływy podatkowe miast, a co za tym idzie – fundusze na utrzymanie miejskiej infrastruktury, w tym basenów. Choć kolorowi mieszkańcy zyskali prawo do pływania na miejskich basenach, to były one w coraz gorszym stanie, a w latach 90. – jak podaje nowojorskie stowarzyszenie „Black People Will Swim" (Czarni Będą Pływać) – zamykano je w tempie jednego, dwóch dziennie. Z ok. 300 tys. publicznych basenów działających w USA w latach 60., dziś otwartych jest mniej niż 100 tys.

4 W rezultacie w Stanach 64 proc. czarnych dzieci nie umie pływać, wobec 30 proc. białych. Jednak zwolennicy „czystej wody" i na to znajdą wytłumaczenie. Powstała cała pseudonaukowa argumentacja. Po pierwsze, w porównaniu z białymi mają zbyt gęste kości, aby unosić się na wodzie. Po drugie, ich mięśnie nie kurczą się z odpowiednią częstotliwością. A po trzecie, czarne kobiety mają relatywnie tak duże „siedzenie", że ciągnie je na dno.

Nawet jeśli czarne kobiety nauczą się pływać i tak znajdzie się na nie sposób, czego przykładem jest historia Soul Cap. To nieco większy niż zwykle czepek pływacki, który uwzględnia potrzeby czarnych kobiet. Ich włosy przeważnie mają większą objętość niż u białych kobiet, choćby dlatego, że najczęściej są kręcone. Takie oczywiście nie mieszczą się pod zwykłym czepkiem, dlatego jedna z dużych firm z branży kilka lat temu wypuściła na rynek Soul Cap, który natychmiast stał się hitem sprzedażowym.

W 2025 r. World Aquatics, wcześniej FINA, czyli światowa federacja pływacka, zakazała jednak używania tych powiększonych czepków na certyfikowanych przez nią zawodach, ponieważ (i tu uwaga...) „nie odzwierciedlają naturalnego kształtu głowy" i jako takie są sprzeczne z ogólnymi zasadami zawodów pływackich. Czarne pływaczki i tak powinny być zadowolone – przynajmniej nikt nie czyści już po nich basenów.

ŁUKASZ WÓJCIK

© THREE LIONS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 4a128c0fe4

Nieświęta Brygida

Premier Szwecji Ulf Kristersson może stracić władzę z powodu kobiety – a konkretnie własnej żony, pastorki Birgitty Ed, która prowadzi duchowe biznesy i sprzedaje polityczne odpusty.

KATARZYNA TUBYLEWICZ ZE SZTOKHOLMU

Dlaczego żona premiera Szwecji do renowacji prywatnego majątku zatrudnia wolontariuszy, obiecując im nawiązanie „przydatnych kontaktów"? Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, dziennikarka „Aftonbladet" dotarła aż do sypialni Ulfa Kristerssona i Birgitty Ed. Ochroniarze premierowskiej pary przywitali ją wyluzowanym „Hej, hej!". Nie sprawdzili ani jej legitymacji, ani zawartości plecaka. Być może na ich beztroskę wpłynął fakt, że przebywali w miejscu, w którym dba się o duchowość i „zdrowie egzystencjalne" – Birgitta Ed, która od paru lat jest pastorką Kościoła Szwecji, prowadzi w majątku Fållökna „warsztaty ciszy".

Wkrótce może na nie trafić również jej mąż, bo nie jest wykluczone, że pierwszy raz w historii premier Szwecji straci stanowisko z powodu kobiety. Może niewyłącznie z powodu uduchowionej żony Birgitty, noszącej to samo imię co jedyna szwedzka święta (w Polsce znana jako Brygida). Ale na pewno przy jej znacznym wkładzie.

We wrześniu Szwedzi pójdą głosować i sondaże wskazują, że obecny centroprawicowy rząd straci władzę na rzecz lewicowego bloku. Wyjątkowo słabo wygląda partia Moderatów (16 proc. poparcia), na których czele stoi obecny premier Ulf Kristersson. Moderaci i ich koalicjanci cztery lata temu wygrali, bo obiecywali radykalne zmiany w polityce migracyjnej oraz walkę z przestępczością zorganizowaną. Teraz jednak wielu Szwedów uważa, że w tych tematach rząd poszedł „za ostro".

Wprawdzie Szwecja nie ma już ambicji bycia humanitarnym mocarstwem, ale to nie jest kraj, w którym aplauz budzą absurdalne deportacje nastolatków oraz ludzi od lat płacących uczciwie podatki. A w ostatnim czasie dochodziło do sytuacji, gdy osoby wychowane w Szwecji zmuszano do wyjazdów zaraz po skończeniu liceum. Deportowano też zasymilowanych i mających pracę wieloletnich mieszkańców kraju. Wzburzenie wywołało nowe prawo, zgodnie z którym do więzień mieli trafiać 13-latkowie. Co prawda gospodarka ma się całkiem dobrze, spadła liczba gangsterskich strzelanin na ulicach, ale społeczeństwo i tak ma dosyć rządów twardej ręki, oszczędzania na kulturze i na państwie opiekuńczym. Zwłaszcza że od dłuższego czasu narasta złość na żonę premiera, która ma wybitnie niefrasobliwy stosunek do pieniędzy podatników.

Kłopoty Birgitty Ed zaczęły się, gdy prasa opisała zmianę wystroju rezydencji szefa rządu w Pałacu Sagera. Wnętrza tego historycznego budynku są bardzo wysmakowane, ale Birgitta zażyczyła sobie wielu nowych luksusowych sprzętów, w tym poduszek z legendarnego sklepu Svenskt Tenn (30 tys. koron, czyli ponad 11 tys. zł). Były zamawiane przez kancelarię rządu, a więc do zakupu zatrudniano konsultantów, co owocowało dodatkowymi kosztami.

I tak zakup nożyka do masła za 675 koron ostatecznie kosztował podatników 2363 korony (prawie tysiąc złotych), a dywanika do kuchni wartości 7,4 tys. koron – 27,4 tys. koron (prawie 11 tys. zł), bo konsultanci omawiali sprawę z żoną premiera i różnymi sklepami przez 20 godzin. Zakupów tego typu było więcej. A wszystko to pod okiem premiera, który lubi powtarzać, że jego partia nie marnuje pieniędzy z podatków – inaczej niż wcześniej Socjaldemokraci. I który jest odpowiedzialny za znaczące zmniejszenie wydatków kraju na tak ważne cele jak pomoc rozwojowa.

Szwecja bardzo się zmieniła w ostatnich dekadach. Gdy w 1969 r. socjaldemokratyczny premier Tage Erlander odchodził ze stanowiska, jego żona Aina zwróciła kancelarii państwowe ołówki, które mąż miał zwyczaj wynosić z pracy w kieszonce marynarki, by robić nimi notatki w domu. Jeszcze w 1995 r. socjaldemokratka Mona Sahlin straciła szansę na partyjne przywództwo, gdy ujawniono, że jako ministra pracy użyła służbowej karty, kupując batonik. Jak wobec takich ekscesów nazwać fakt, że żona obecnego premiera zgodnie ze swoimi upodobaniami wymusiła na kancelarii męża budowę kurnika w letniej rezydencji rządu w Harpsund?

Birgitta Ed jest postacią barwną i widoczną od początku rządów Kristerssona. To para nieco w stylu amerykańskim, co również stanowi nowość. Szwecja nie ma prezydenta, tylko króla, a szefowie rządów zazwyczaj trzymają swoją drugą połowę w politycznym cieniu. Jednak premier Kristersson od objęcia urzędu brylował z żoną na salonach i podczas ważnych wydarzeń politycznych, niczym prezydent z prezydentową. A Birgitta szybko została zauważona przez świat, bo nawet na przyjęciach noblowskich do balowej sukni zakładała koloratkę.

Ed przez większą część życia pracowała w branży PR. Kilka lat temu poczuła jednak powołanie i została pastorką. Ale nie taką standardową. Pastorzy Kościoła Szwecji nie mają np. zwyczaju wszędzie chodzić w koloratce. A Ed nosiła ją, towarzysząc małżonkowi na szczycie NATO. Z kolei koloratka noszona do sukni balowej to już poważny grzech modowy,

eprasa.pl 4a128c0fe4

Pałac Sagera w Sztokholmie, oficjalna rezydencja premiera Szwecji. Za pieniądze podatników Birgitta Ed zafundowała tu mężowi i sobie luksusowe wyposażenie.

bo galowym strojem luterańskiego pastora jest rodzaj sutanny z białą befką. Pastorka może też wystąpić po prostu w sukni balowej – zwłaszcza gdy na bankiet noblowski została zaproszona jako żona premiera.

W Kościele Szwecji przymykano na to wszystko oko – w końcu chodziło o małżonkę szefa rządu. Jednak po serii artykułów w „Aftonbladet" o działalności fundacji Birgitty Ed w majątku Fållökna do jej rodzimej kapituły diecezjalnej w Strängnäs wpłynęło wiele skarg na niezgodną ze ślubowaniami kapłańskimi działalność Ed. Gdy kapituła zaczęła rozważać już środki dyscyplinarne, z zakazem sprawowania funkcji pastorki włącznie, dziennik „Dagens Nyheter" ujawnił, że Ed dostała swój wymarzony etat w diecezji po znajomości i kilka miesięcy przed wyświęceniem. A diecezja nie zamieściła wcześniej, jak to jest w dobrym obyczaju, ogłoszenia o wolnym miejscu pracy.

O co chodzi z majątkiem Fållökna? Otóż jest to spory dworek, który Birgitta Ed zakupiła razem z kolegą Göranem Thorstensonem. Zamiarem tych byłych konsultantów PR było stworzenie centrum oferującego różnego rodzaju warsztaty duchowe w poszukiwaniu „zdrowia egzystencjalnego". „Aftonbladet" ustalił, że za renowację posiadłości, jej sprzątanie, dbanie o ogród, a także przygotowywanie odbywających się tam już płatnych kursów, odpowiadają wolontariusze. A żona premiera w mediach społecznościowych obiecuje, że osoby, które przyjadą za darmo malować, wbijać gwoździe i grabić liście, nawiążą „świetne kontakty". Nie przypadkiem zdarza się, że na czele wolontariuszy staje sam premier Kristersson.

To właśnie dzięki wolontariatowi dziennikarka „Aftonbladet" Lisa Röstlund zwiedziła prywatne skrzydło majątku, w którym pomieszkują premier z premierową. Po prostu zgłosiła się do pracy i miała wynieść zepsute lodówki.

Wśród osób, które bezpłatnie pracowały w gospodarstwie premierowej, było sporo polityków z partii Moderatów. Jak ustaliła prasa, Niels Henrik Hansen po odbyciu wolontariatu został sekretarzem w ministerstwie klimatu i gospodarki, a Martin Valfridsson – dyrektorem Państwowej Rady ds. Instytucji Resocjalizacyjnych. O tej drugiej nominacji donosiły także media społecznościowe Fållökna: „Zobaczcie, kim został nasz wolontariusz!".

Prywatny dworek Birgitty Ed i jej wspólnika wyremontowali wolontariusze, fundację żony premiera wspierają anonimowi darczyńcy, meble ogrodowe zaprojektowali i wyprodukowali za darmo uczniowie pobliskiej szkoły o profilu plastycznym. A Birgitta, która ma etat pastorki w pobliskiej diecezji, otrzymuje miesięczne wynagrodzenie z fundacji.

Znana szwedzka pisarka i doktorka teologii Ann Heberlein nazywa działalność Birgitty Ed duchową przedsiębiorczością. W jednym z artykułów pisze, że nigdy nie spotkała duchownego Kościoła Szwecji, który „z taką bezceremonialnością wykorzystywałby swój urząd do budowania własnej marki". Heberlein przypomina też, że Marcin Luter był zdecydowanym przeciwnikiem handlu odpustami.

Birgitta Ed najwyraźniej wykorzystuje też swoje małżeństwo – jej fundacja otrzymuje środki od państwa, bo dziwnym trafem rząd jej męża pół roku po tym, jak Ed napisała na Facebooku, że chce się zająć „zdrowiem egzystencjalnym", zabrał się do wdrażania w życie podobnego pomysłu. Według „Aftonbladet" Państwowa Rada ds. Zdrowia Publicznego otrzymała w 2024 r. od rządu zadanie „rozwijania tematu zdrowia egzystencjalnego w polityce zdrowia publicznego". Ponieważ termin jest nienaukowy i niejasny, wielu specjalistów z urzędu nie wiedziało, co począć z tym fantem, a ówczesna dyrektorka generalna rady, ceniona lekarka Karin Tegmark Wisell, otwarcie zaprotestowała i straciła pracę.

Skandale wokół żony premiera wydają się ostatnio mnożyć i stały się ulubionym tematem najpoważniejszych mediów. Wygląda na to, że jest to w sumie bardzo sympatyczna i buzująca energią kobieta, która chce zmieniać świat na lepsze. Dobrze się czuje, udzielając ślubów i odprawiając nabożeństwa. Ale i wtedy, gdy może zarobić pieniądze albo oszczędzić na zakupie nożyka do masła. Lubi hodować kury i rewelacyjnie organizuje pracę wolontariuszy. Ma także wiele pomysłów na usprawnienie działalności zarówno rządu, jak i Kościoła Szwecji. Niestety, jej wpływ na premiera oraz bezceremonialne mieszanie tego, co państwowe, z tym, co kościelne lub prywatne, są coraz trudniejsze do zaakceptowania w społeczeństwie, które nadal pamięta, że był kiedyś taki premier, którego żona zwróciła do kancelarii rządu państwowe ołówki. ■

© MICHAEL CAMPANELLA/GETTY IMAGES, STEFAN HOLM/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4a128c0fe4

Potočari, cmentarz ofiar ludobójstwa w Srebrenicy w 1995 r.

Bośnia i co dalej

W tym niewielkim bałkańskim kraju zbiegają się dziś wielkie narracje geopolityczne i globalne ideowe wojenki – na jego własną zgubę.

ZIEMOWIT SZCZEREK

Bośnia i Hercegowina posiada nietypowy ustrój wewnętrzny. A to dlatego, że jest nietypowym państwem. Można na nią patrzeć jak na resztówkę Jugosławii. Ale taką, w której dominuje nie serbsko-chorwacki duopol, a tak w praktyce wyglądał układ sił w Jugosławii, lecz przepychanki między Boszniakami (bośniackimi Muzułmanami – przynajmniej w sensie kulturowym) i Serbami.

Państwo to składa się więc z dwóch głównych części (tzw. entitetów): Federacji Bośni i Hercegowiny, zamieszkanej głównie przez Boszniaków, ale również Chorwatów, oraz Republiki Serbskiej, w której większość stanowią Serbowie. Dodatkowo istnieje autonomiczny Dystrykt Brčko. Ponad tymi entitetami (i Brčkiem) stoi Prezydium, które składa się z trzech osób: Boszniaka, Serba i Chorwata. Również według klucza etnicznego dobierane są parlament i Rada Ministrów.

Cóż, jak na państwo, którego system powstał po to, by rozładować narodowe napięcia, przypadek Bośni i Hercegowiny (BiH) wydaje się wręcz obsesyjnie skoncentrowany wobec etnicznego klucza. System ten jest wynikiem porozumienia pokojowego podpisanego w Dayton w 1995 r. Zakończyło ono trwającą ponad trzy lata wojnę, w której według wspomnianego klucza dokonywano zbrodni wojennych. Jego zastosowanie w budowie struktury BiH miało tę etniczną bombę rozbroić. Choć dziś już trudno powiedzieć w jaki sposób.

Oba entitety są pod wieloma względami od siebie niezależne. Rząd centralny w Sarajewie odpowiada jedynie za wspólną politykę zagraniczną (choć Serbowie i tak prowadzą własną), handel zagraniczny, finanse państwa, bezpieczeństwo granic, komunikację oraz część polityki bezpieczeństwa. Oba entitety są również od dawna na siebie obrażone. Boszniacy, którzy stanowią ok. 48 proc. ludności tego trzyipółmilionowego kraju, jako jedyni uważają BiH za „swoje państwo" – wbrew intencjom twórców tego systemu, gdzie każda etnia miała czuć się jak u siebie.

Nic z tych planów nie wyszło. Większość Serbów z BiH (33 proc.) nie życzy sobie żyć w państwie choćby współrządzonym przez muzułmańskich Boszniaków. Chcieliby wyrwać się na niepodległość i/albo przyłączyć do Serbii właściwej, tej ze stolicą w Belgradzie. Chorwaci, których w państwie jest najmniej (15 proc.), już od dawna domagają się własnego, osobnego entitetu. A najchętniej oddaliby się pod władzę Zagrzebia.

Kolonia Zachodu?

Nad całym tym systemem, swoją stabilnością przypominającym domek z kart, czuwa jedna instytucja – urząd Wysokiego Przedstawiciela międzynarodowej społeczności, która (przynajmniej teoretycznie) gwarantuje pokój w BiH. Urząd ten nadaje osobie go piastującej naprawdę duże uprawnienia: Wysoki Przedstawiciel może wydawać wiążące prawnie decyzje, narzucać ustawy, uchylać akty przyjęte przez parlament, zarówno ten centralny, jak i „entitetowe", a nawet odwoływać wybranych demokratycznie polityków i urzędników. Z tych kompetencji często korzystano. Wysocy Przedstawiciele faktycznie usuwali ze stanowisk ministrów, sędziów, parlamentarzystów i burmistrzów, narzucali reformy podatkowe, wojskowe i konstytucyjne oraz rozstrzygali spory, których politycy BiH nie byli w stanie sami rozwiązać. A bywały to czasem spory fundamentalne dla tego państwa.

Zakres tych uprawnień drażni przede wszystkim Serbów. Według nich urząd

© SAMIR JORDAMOVIC/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl 4a128c0fe4

Wysokiego Przedstawiciela czyni z BiH międzynarodowy protektorat czy wręcz „kolonię Zachodu", a serbsko-bośniackie elity raczej skłaniają się ku Rosji czy nawet Chinom. Te dwa ostatnie państwa – a głównie Rosja – tu Serbom wtórują, twierdząc, że potrzebna jest rewizja traktatu z Dayton. O ile nie rozwiązanie samej federacji. Po blisko trzech dekadach od zakończenia wojny urząd Wysokiego Przedstawiciela pozostaje więc jednocześnie gwarantem pokoju i jakiej takiej stabilności (choć doceniają to prawie wyłącznie Boszniacy), ale i symbolem ograniczonej suwerenności BiH.

Wszystko to jednak jakoś – gorzej niż lepiej – funkcjonowało. Aż do maja tego roku, kiedy ze stanowiska Wysokiego Przedstawiciela zrezygnował Christian Schmidt, niemiecki polityk z CDU, człowiek doświadczony i otrzaskany w bałkańskich sprawach, specjalista, który – notabene – należał do przedstawicieli wyjątkowo aktywnych: wtrącał się do polityki, wymuszał reformy. A przede wszystkim, co nie podobało się w Republice Serbskiej, uchylał te serbskie ustawy, które godziły w daytonowski porządek.

Głowa za głowę

I tak właśnie rozpoczął się kluczowy akt dramatu, który trwa do tej pory. I którego finałem może być nawet rozpad BiH. To Schmidt bowiem, wykazując bezprawność aktów prawnych Republiki Serbskiej, próbującej uzyskać jak największą niezależność od Sarajewa, doprowadził do oskarżenia i wydania nakazu aresztowania ówczesnego prezydenta Republiki Serbskiej Milorada Dodika.

W więzieniu nie udało się go jednak posadzić: Republika Serbska, niezależnie od starań Schmidta, jest już na tyle odrębnym bytem, że lokalna policja, jeśli nie chce, nie musi słuchać sarajewskich sądów. I najzwyczajniej w świecie nakaz doprowadzenia skazanego do aresztu zignorowała. Z impasu ostatecznie wybrnięto za sprawą Amerykanów, którzy prawdopodobnie skłonili Dodika, żeby dobrowolnie stawił się w sarajewskim sądzie; a sąd – do uchylenia decyzji o aresztowaniu.

Polityczną ceną było jednak, jak się wydaje, usunięcie graczy uznanych za przyczyny konfliktu. Najpierw ze stanowiskiem na mocy wyroku sądu pożegnał się Dodik, który jednak zachował nieformalne wpływy. I pewnie za innej amerykańskiej administracji na tym by się skończyło, ale ta obecna poszła krok dalej i postanowiła dla równowagi pozbyć się również Wysokiego Przedstawiciela. 11 maja Schmidt niespodziewanie ogłosił rezygnację.

Nieoficjalnie się mówi, że to przejaw nowej polityki Waszyngtonu wobec BiH. Amerykanie chcą ponoć ograniczyć władzę Wysokiego Przedstawiciela, bo jego szerokie kompetencje widziane są w Stanach Zjednoczonych jako „nadmierny wpływ Europy" na sytuację w tym kraju. I tak się składa, że tutaj plany USA nakładają się również na wizję nie tylko samych Serbów – zarówno bośniackich, jak i tych z Belgradu – lecz także Rosji i Chin, bo oba państwa chcą robić w BiH nieskrępowane unijnymi regulacjami interesy, przede wszystkim w energetyce i transporcie.

Nie przypadkiem w tle tego sporu znalazła się kwestia gazociągu Southern Interconnection, który ma podłączyć BiH do chorwackiej sieci gazowej i dalej – do amerykańskich dostawców. Część mediów i think tanków – m.in. Reuters, „The Guardian" i Fundacja Heinricha Bölla – wskazywała, że administracja Donalda Trumpa łączyła zmianę Wysokiego Przedstawiciela z próbą odblokowania tego projektu energetycznego realizowanego z udziałem amerykańskich inwestorów powiązanych z otoczeniem prezydenta USA. A Schmidt zaczął tutaj przeszkadzać.

Jego odejście zostało różnie odebrane w samej BiH. W Sarajewie dominowały komentarze pełne niepokoju. Boszniaccy politycy podkreślali, że Schmidt wielokrotnie wykorzystywał swoje kompetencje do blokowania działań Dodika i wzmacniania instytucji państwowych. W Republice Serbskiej, podobnie jak w Chinach i Rosji, reakcje były dokładnie odwrotne. Po ogłoszeniu rezygnacji przez Schmidta otoczenie Dodika uznało ją za własne zwycięstwo polityczne.

Opcje rozwodowe

Co jednak dalej? Jak się okazało, ręczne sterowanie bośniacką polityką tylko pogłębiło kryzys. Co prawda obowiązki Wysokiego Przedstawiciela przejął tymczasowo amerykański zastępca Schmidta Louis J. Crishock, ale urząd ten stał się placem otwartego już boju między USA a Europą. Administracja Trumpa zaczęła forsować kandydaturę włoskiego dyplomaty Antonio Zanardiego Landiego, byłego ambasadora przy NATO, ale też w Moskwie i Belgradzie, powiązanego z belgradzkimi elitami politycznymi. Poparły go również Rosja i Chiny. Z kolei większość państw Unii Europejskiej opowiedziała się za René Troccazem. Ten Francuz jest zwolennikiem dotychczasowej, prężnej roli Wysokiego Przedstawiciela – zupełnie inaczej niż Włoch Landi.

Ani Europa, ani USA nie zamierzają odpuszczać. Przeprowadzone w połowie lipca posiedzenie organu skupiającego państwa nadzorujące wykonanie układu z Dayton nie zdołało wybrać następcy Schmidta. Impas trwa, obozy zabetonowały się po stronie swoich kandydatów, a próbą skruszenia tego betonu jest wystawienie kandydata uznawanego za kompromisowego.

Miałby nim zostać były specjalny przedstawiciel Unii Europejskiej w BiH, Duńczyk Peter Sørensen. Choć nie cieszy się opinią Europejczyka wojującego o „wartości europejskie" – a tego boją się nie tylko Rosja i Chiny, lecz i USA – trudno go uznać za kandydata amerykańskiego. Jeśli jednak obecna sytuacja się przeciągnie, jak uważają komentatorzy, może zostać namaszczony również przez Waszyngton. Nadal jednak jako rozwiązanie tymczasowe.

Tymi globalnymi przepychankami niezbyt się przejmuje Republika Serbska, która jednocześnie robi wszystko, by maksymalnie rozluźnić więź z Sarajewem. Dla Serbów zasadniczym pytaniem nie jest to, kto zostanie nowym Wysokim Przedstawicielem, ale czy ten urząd w ogóle powinien jeszcze istnieć. Pytanie to zresztą zadaje sobie nawet Crishock, obecny p.o. Wysoki Przedstawiciel. W wywiadzie dla chorwackich mediów sugerował, że BiH powinna zacząć się przyzwyczajać do sytuacji, w której kolejnego Wysokiego Przedstawiciela po prostu nie będzie.

Do podobnych konkluzji, jak się wydaje, powinno dochodzić również Sarajewo. I szukać jakiegoś innego sposobu na scementowanie BiH – innego niż ciągła międzynarodowa opieka, jeśli naprawdę Boszniakom zależy na tym, by „ich państwo" przetrwało. Tym bardziej że ewentualny rozpad Bośni i Hercegowiny wcale nie musi dokonać się w aksamitny czechosłowacki sposób. Na Bałkanach znają inne rozpady. ■

eprasa.pl 4a128c0fe4

Warstwy Wilna

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Odnalezienie królewskich insygniów w wileńskiej katedrze to tylko jeden z efektów prac archeologów i historyków. Spod ziemi wyłania się opowieść o tym, jak przez siedem stuleci zmieniało się to miasto.

Najpierw porównano współczesne i przedwojenne plany krypt katedry wileńskiej. W przypadku jednej ze ścian w wąskim przejściu pojawiła się niezgodność. Oględziny wykazały inny kolor zaprawy łączącej niektóre cegły. Gdy 16 grudnia 2024 r. badacze wyjęli jedną, odkryli kryjówkę. W niej znajdowały się regalia: trzy korony grobowe, dwa złote łańcuchy, otwierany medalion i kilka pierścieni. Przez 85 lat pozostawały ukryte w przejściu, którym codziennie przechodzili turyści i przewodnicy. – *Przed skrytką w czasach radzieckich zamontowano pompę, która zasłoniła fragment ściany. Nikt wówczas niczego- nie zauważył. A może zauważył, ale nikomu nie wyjawił?* – zastanawia się Alina Pavasarytė, historyczka z Muzeum Dziedzictwa Sakralnego w Wilnie, w którym pierwszy raz wystawiono królewskie insygnia.

Katedra: szczęścia w nieszczęściach

Fakt, że regalia zachowały się do naszych czasów, to w pewnym sensie zasługa wody. Oplatające centrum Wilna Wilia i Wilejka regularnie zalewały niżej położone części miasta, w tym katedrę i Dolny Zamek. Władysław Jagiełło zaraz po chrzcie Litwy w 1387 r. ufundował więc pierwszą świątynię murowaną (oddał ją pod opiekę patrona Polski św. Stanisława i opiekuna swojej dynastii św. Władysława). Ponieważ po 32 latach spłonęła, wielki książę Witold kazał w jej miejscu wznieść katedrę gotycką. Niecałe 100 lat później i ją zniszczył pożar. Zygmunt Stary i jego syn przebudowali ją w stylu renesansowym, z czasem uległa barokizacji. Doszło jednak do kolejnej tragedii – w 1769 r. podczas burzy runęła jedna z wież i zniszczyła dach. Mieszkańcy miasta zdecydowali wówczas o budowie nowej klasycystycznej świątyni według projektu Wawrzyńca Gucewicza. Ta stoi do dziś. Krypty przetrwały wszystkie nieszczęścia. To w nich w 1931 r. dokonano niezwykłego odkrycia.

Wiosną owego roku fundamenty katedry uszkodziła katastrofalna powódź i konieczne były prace naprawcze. Pod kaplicą św. Kazimierza natrafiono na pochówek dwóch królowych i króla. Drewniane trumny zgniły, a woda przemieściła i zniszczyła kości Elżbiety Habsburżanki i Aleksandra Jagiellończyka (z jego ciała najlepiej zachowała się czaszka, która na skutek procesów chemicznych miała w momencie odkrycia wyraźne zielonkawe

eprasa.pl 4a128c0fe4

Skrytka w katedralnej krypcie otwarta w grudniu 2024 r.
Po lewej: **korona pogrzebowa Barbary Radziwiłłówny.**

zabarwienie). Szczątki Barbary Radziwiłłówny zachowały się zaś nieźle. Królowa zmarła w Krakowie 8 maja 1551 r., ale chciała być pochowana w Wilnie, więc aby ciało przetrwało podróż, pokryto je popiołem i wapnem, które z czasem stwardniały. Gdy badacze weszli do krypty, na jej czaszce nadal tkwiła korona, co uwiecznili dokumentujący odkrycie fotograf Jan Bułhak i malarz Ferdynand Ruszczyc, których dzieła zaprezentowano na wystawie.

Przez całe międzywojnie szczątki królewskie badano, insygnia konserwowano i wykonano ich repliki. Przygotowano też mauzoleum – według niezwykle ambitnego projektu. – *Niestabilne fundamenty katedry wzmocniono, wbijając 279 żelbetowych pali na głębokość nawet 17 m. Komorę grobową zabezpieczono wieloma warstwami betonu, ołowiu i materiałów konserwatorskich. Dzięki temu powstała niemal niezniszczalna kapsuła, której ściany do dziś wydzielają lekki zapach naftaliny* – śmieje się Pavasarytė.

Kości monarchów złożono do trzech trumien, a otwarcie mauzoleum zaplanowano na 1 września 1939 r. Uroczystość się nie odbyła. Wybuch wojny uniemożliwił też wyjazd regaliów na wystawę do Warszawy. Choć nie opuściły Wilna, te najbardziej wartościowe znikły. – *Ten, kto podjął decyzję o ich ukryciu, owinął je w gazety, włożył do drewnianej skrzynki i wetknął do uprzednio przygotowanego otworu w ścianie katedralnego podziemia. Gdy czytam „Kurier Wileński" z września 1939 r., myślę, że pakując precjoza, był przekonany, że chowa je na krótko, a znaleziono je dopiero po 85 latach* – mówi prof. Giedrė Mickūnaitė, kuratorka prezentującej je wystawy.

Ekspozycję „Hidden Within" (Ukryte wewnątrz) w Muzeum Dziedzictwa Sakralnego otwiera gablota ze złotym medalionem Elżbiety Habsburżanki, którego jeszcze nie otwarto, więc nie wiadomo, co jest w środku. Muzealnicy chcieli pokazać, że badania nad regaliami trwają i nie ma jeszcze wszystkich odpowiedzi. Bo chociaż znalezisko dotyczy trójki bardzo znanych postaci historycznych, przedmioty włożone do trumien opowiadają o tych aspektach ich życia, o których nie wspomniano w kronikach.

Aleksander i Elżbieta: związki w cieniu

Aleksander to jedyny król Polski pochowany poza Krakowem. Zmarł w Wilnie po udarze 19 sierpnia 1506 r. Nie wskazał, gdzie ma spocząć jego ciało. Polscy możni chcieli przewieźć je na Wawel, jednak litewscy panowie stanowczo się temu sprzeciwili, twierdząc, że był przede wszystkim wielkim księciem litewskim. To oni wygrali. I to oni wyposażyli zmarłego władcę w insygnia pogrzebowe.

Na wystawie zaprezentowano ich komplet: koronę z cienkiego pozłacanego srebra, berło i jabłko królewskie. Jest też miecz, który nie trafił do skrytki w 1939 r., oraz srebrny półgrosz z mennicy wileńskiej z imieniem władcy – był on niczym podpis dla odkrywców grobu. Dla prof. Mickūnaitė najciekawsze są jednak dwa celowo przecięte pierścienie: – *Być może zrobiono to dlatego, że dłonie zmarłego spuchły i zesztywniały. Ponieważ jednak znaleziono je przy głowie króla, mogły symbolizować zerwanie więzi z jego prawosławną żoną Heleną Moskiewską, której nie dopuszczono ani do koronacji, ani pogrzebu męża.*

Wątków miłosno-uczuciowych jest tu więcej, ponieważ kolejną władczynią z królewskiej krypty jest pierwsza żona Zygmunta Augusta – Elżbieta. To małżeństwo było efektem wieloletnich negocjacji dynastycznych między Habsburgami i Jagiellonami. Ślub odbył się 6 maja 1543 r. na Wawelu. Rok później młody Jagiellon objął samodzielne rządy w Wielkim Księstwie Litewskim i przeniósł swój dwór do Wilna. Osiemnastolatka zmarła 15 czerwca 1545 r. po ciężkim ataku epilepsji, na którą cierpiała od dzieciństwa. Choć jej pogrzeb odbył się z należnymi honorami, brak tu śladów osobistego zaangażowania męża.

Przez stulecia uważana za niekochaną Elżbieta pozostawała w cieniu Barbary – ukochanej drugiej żony Zygmunta Augusta. Tymczasem to właśnie jej korona z pozłacanego srebra może być jedynym zachowanym do dziś klejnotem królewskim noszonym przez monarchę za życia – wszystkie inne regalia zostały skradzione z Wawelu przez Prusaków po trzecim rozbiorze Polski i w latach 1809–11 przetopione. Poza tym nikt nie wkładał zmarłym władcom do grobów prawdziwych, niezwykle wartościowych insygniów koronacyjnych, tylko ich tańsze repliki. – *Ponieważ jednak średnicę korony znalezionej w grobie Elżbiety można regulować, jest prawdopodobne, że była przez nią używana* – mówi kuratorka. Może nie była zbyt cenna, a śmierć królowej była na tyle niespodziewana, że nie zdążono wykonać repliki. Tabliczka trumienna też jest przemyślanym komunikatem, nie ma bowiem na niej ani polskiego orła, ani litewskiej pogoni, lecz herby Habsburgów – zmarła bezpotomnie, zatem nadal należała przede wszystkim do swojej dynastii.

Dokumentów poświęconych Elżbiecie zachowało się niewiele. Wiadomo jedynie, że wychowała się w Wiedniu, na dworze swojego ojca, cesarza Ferdynanda I, otrzymała staranne wykształcenie i była bardzo pobożna. Tym ciekawsze wydaje się pytanie, co skrywa jej nieotwarty jeszcze złoty medalion.

Barbara Radziwiłłówna: miłość w koronie

Czy Zygmunt August jeszcze za życia Habsburżanki zakochał się w odwiedzającej jego siedzibę młodej wdowie po Stanisławie Gasztołdzie i siostrze Mikołaja „Rudego" Radziwiłła? Trudno to stwierdzić. Pewne jest natomiast, że gdy dwa lata później potajemnie wziął z nią ślub, wywołało to polityczną burzę – od małżeństwa przyszłego króla oczekiwano przecież sojuszu z którąś z europejskich monarchii. Przeciwniczką związku była matka króla Bona Sforza, przekonana, że Radziwiłłowie próbują podporządkować sobie jej syna. Gdy po śmierci Zygmunta Starego o tym, że Barbara jest już prawowitą żoną następcy tronu, dowiedzieli się senatorowie, zaczęli się domagać unieważnienia małżeństwa. Król powiedział wówczas ponoć, że nie są oni „panami sumień naszych", dając do zrozumienia, że w sprawach serca nie zamierza ulec nikomu.

Ślady tej romantycznej historii widać w pochówku Barbary. Zrozpaczony małżonek pieczołowicie przygotował pogrzeb zmarłej na nowotwór żony. Zachowały się szczegółowe ▶

© MUZEUM DZIEDZICTWA KOŚCIELNEGO W WILNIE (2)

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ rachunki, dzięki którym wiadomo, że zadanie wykonania grobowej korony, berła i jabłka ze srebra pokrytego złotem powierzono Janowi Gontowi z Krakowa. Zdecydowanie najcenniejszy jest ciężki złoty łańcuch noszony przez królową za życia jako symbol jej statusu. – *Żałuję, że leży w gablocie. Powinien się poruszać, bo dopiero gdy odbija światło, można docenić kunszt jego wykonania* – przyznaje prof. Mickūnaitė. – *Największą wartość sentymentalną dla małżonków miały zapewne stosunkowo niepozorne pierścionki, skoro król wspomina o nich w swoich listach. Epitafium Barbary to manifest jej przynależności do jednego z najpotężniejszych rodów Wielkiego Księstwa Litewskiego, bo poza symbolami państwa jest tam też herb Radziwiłłów.*

Choć Barbara była ukochaną żoną króla, podobizna Elżbiety też trafiła na niewielki dyptyk w formie przenośnego ołtarzyka, który można oglądać w Pałacu Wielkich Książąt Litewskich. Ponoć to Zygmunt August kazał umieścić w jego wnętrzu miniaturowe portrety obu kobiet i zawsze nosił go przy sobie. Nie wiadomo, czy tak było, na pewno natomiast losy tych królowych splotły się z historią Wilna, którą śledzić można w muzeum otwartym w 2018 r. w zrekonstruowanym Pałacu Wielkich Książąt Litewskich.

Korona Aleksandra Jagiellończyka

Pierścień Elżbiety Habsburżanki

Berło i jabłko Barbary Radziwiłłówny

Dolny Zamek: drewno w cukrze

Siedzibę Jagiellonów, w której bywali Zygmunt Stary i Bona, a mieszkał Zygmunt August z żonami, ograbiły i zniszczyły w 1655 r. wojska moskiewsko-kozackie. Po odzyskaniu miasta szlachta litewska chciała ją odbudować, ale do tego nie doszło. Gdy Wilno w 1795 r. znalazło się w granicach Imperium Rosyjskiego, ruiny rozebrano, by usunąć symbol starej państwowości. Relikty średniowiecznego zamku i otaczającego go miasta jednak pozostały. – *Podziemia Zamku Dolnego to istna kapsuła czasu* – podkreśla historyk dr Povilas Dikavičius. – *Jego rekonstrukcja zaczęła się od wykopalisk, które wciąż trwają, choć część stanowiska archeolodzy celowo zostawiają nietknięte dla przyszłych pokoleń.*

Katedra i Dolny Zamek stanęły na podmokłym terenie, gdzie wysoki poziom wód gruntowych odcinał dopływ tlenu. Także w tym przypadku to zasługa wody, że zachowały się nie tylko kamienne fundamenty, lecz także znacznie bardziej wrażliwe na upływ czasu drewno czy skóra. Archeolodzy pracujący pod zamkiem i w jego okolicy wydobyli ok. 500 tys. zabytków z różnych epok, umożliwiających odtworzenie codzienności mieszkańców pałacu, a także miasta, o którym teksty milczą aż do XIV w. Zachowały się szyby pałacowych latryn pełnych różnych przedmiotów, w tym dziecięcych bucików, beczek, narzędzi oraz fragmenty ulic i chat. Największym eksponatem jest ośmiometrowy wodociąg zbudowany ok. 1529 r. Rurami z wydrążonych pni sprowadzano wodę ze źródeł oddalonych o mniej więcej półtora kilometra od miasta, a specjalny system grawitacyjny doprowadzał wodę na drugie piętro pałacu. – *Drewniane zabytki dwa lata moczono w kąpielach cukrowych, by po odparowaniu wody skrystalizowany cukier ustabilizował ich strukturę. Sam rurociąg wchłonął ok. 2 ton cukru, więc nasze muzeum jest najsłodszym miejscem w całym Wilnie* – żartuje historyk.

W pobliżu Dolnego Zamku archeolodzy znaleźli 252 drewniane buławy z XIII w. Wykonano je ze świętego drzewa Litwinów, czyli z dębu, i każda ma inne zdobienie głowicy. Nie jest wykluczone, że były to przedmioty służące kapłanom w pogańskich ceremoniach. Pewności jednak nie ma, ponieważ przedchrześcijańska Litwa nie pozostawiła źródeł pisanych, dlatego to przedmioty muszą opowiadać jej historię. Wyjątkiem jest znaleziona na terenie Dolnego Zamku metalowa tabliczka zapisana tekstem łacińskim i starosłowiańskim oraz nieodczytanymi dotąd znakami, które według jednych przypominają germańskie runy, a według innych dawne pismo tureckie. Nie wiadomo, czy był to znak handlowy, jaki mieli ze sobą kupcy przekraczający kolejne granice. Za to można stwierdzić, że Wilno od zarania było miejscem spotkania różnych światów, języków i religii.

Witold: książę w niebycie

Na ulicach miasta mieszały się języki litewski, ruski, polski, niemiecki, hebrajski i jidysz, a obok katolickich kościołów wyrastały cerkwie, synagogi, karaimskie świątynie i tatarskie meczety. Wielokulturowość była istotą tego miasta. Przyjeżdżając do Wilna, nie trzeba szukać polników, te są wszędzie: Ostra Brama, upamiętnienia Mickiewicza, Słowackiego i Moniuszki, Cmentarz na Rossie. Dla Żydów to „Jerozolima Północy" – centrum religijne i intelektualne judaizmu aszkenazyjskiego, miasto Elijah ben Solomona Zalmana i słynnych jesziw. Dla prawosławnych – ważny ośrodek ich tradycji. Dla Litwinów zaś to stolica Wielkiego Księstwa Litewskiego, rozciągającego się od Bałtyku niemal po Morze Czarne. Choć po unii z Polską oba kraje połączyła osoba władcy, księstwo zachowało własne instytucje, wojsko, skarb i prawo. Jego symbolem jest wielki książę Witold.

Gdy w 1930 r. obchodzono 500-lecie śmierci władcy, jego imieniem nazywano ulice, szkoły i instytucje, a rodzice masowo nadawali chłopcom imię Vytautas. Przygotowano też ważący 150 kg sarkofag ze stali nierdzewnej. Ten jednak do dziś pozostaje pusty, wciąż bowiem nie wiadomo, gdzie spoczywa wielki Litwin. W latach 30. w podziemiach katedry znaleziono tysiące kości ok. 826 osób: biskupów, kanoników, fundatorów. Ponieważ usilnie szukano grobu władcy, szczątki przeniesiono do wspólnego ossuarium. I nikt nie wie, czy wśród nich są kości Witolda.

Za cztery lata Litwa będzie obchodzić 600-lecie jego śmierci, więc można się spodziewać kolejnych prac badawczych. Na razie pomysł, by porównać DNA pobrane z kości wszystkich osobników z materiałem genetycznym spokrewnionego z wielkim księciem litewskim Aleksandra Jagiellończyka, jest nierealny. Może zachowane też dzięki wodzie i przypadkowi szczątki Witolda uda się gdzieś odnaleźć. W końcu Wilno to miasto kolejnych warstw archeologicznych, architektonicznych i kulturowych, które badacze odsłaniają od 100 lat. I za każdą odsłoniętą warstwą kryje się następna historia.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© MUZEUM DZIEDZICTWA KOŚCIELNEGO W WILNIE (3)

eprasa.pl 4a128c0fe4

Lotny umysł

Mało jest określeń równie krzywdzących i równie niesprawiedliwych jak ptasi móżdżek.

PIOTR TRYJANOWSKI

Sprytna sikora bogatka potrafi np. atakować mniejsze ptaki schwytane w sieci ornitologiczne

W angielskim mówi się *birdbrain*, we francuskim *tête de linotte* („głowa makolągwy"), w niemieckim *Spatzenhirn* („wróble móżdżki"). Niemal każdy europejski język ma własną odmianę tej samej obelgi, sugerującej, że pióra i lekkomyślność chodzą w parze. Tymczasem dziś, gdy biolodzy najróżniejszych specjalności publikują grube tomy o „ilorazie inteligencji ptaków", a popularne książki porównują kruki do szympansów, ta językowa skamielina trzeszczy w szwach. Co się stało? Czy ptaki zmądrzały, czy to my dopiero teraz nauczyliśmy się je lepiej obserwować?

Najprostsza odpowiedź brzmi: zmieniły się narzędzia. Żeby cokolwiek powiedzieć o ptasiej inteligencji, trzeba się najpierw zgodzić, co właściwie chcemy mierzyć. Louis Lefebvre, kanadyjski biolog związany przez 40 lat z McGill University w Montrealu, jeszcze w połowie lat 90. zauważył, że spór o definicję inteligencji można sprytnie obejść. Zamiast: „Czy ptak myśli", zaczął pytać: „Czy ptak wymyślił coś nowego?". Jego propozycja sprowadza się do dwóch słów: tempo innowacji. Im częściej dany gatunek obserwowano w trakcie zachowania niespotykanego dotąd w jego repertuarze, zwłaszcza związanego ze zdobywaniem pokarmu, tym wyżej staje on na podium inteligencji. Lefebvre wprost przyznaje: „Nie bardzo wiemy, czym jest inteligencja u ludzi, a co dopiero u zwierząt". Ale innowacyjność można policzyć. Poświęcił temu książkę „A Bird's IQ. Innovation, Intelligence and Problem Solving in the Avian World", co ciekawe – napisaną po francusku, a właśnie wydaną po angielsku (Greystone Books, Vancouver 2026). Naprawdę zacna to lektura.

Sprytna sikora

Najciekawsze w metodzie Lefebvre'a jest źródło danych. Ornitologia od dawna jest dziedziną, w której amatorzy bywają równie kompetentni jak zawodowcy. Setki tysięcy ptasiarzy z całego świata odnotowują – w lokalnych czasopismach, biuletynach klubów ornitologicznych, a coraz częściej w serwisach społecznościowych – nietypowe zachowania ptaków, które udało im się zaobserwować. Przez ponad 30 lat Lefebvre cierpliwie przeglądał te zapiski i stworzył z nich bazę liczącą ponad 4,5 tys. przypadków nowych lub niezwykłych aktywności żerowiskowych u ponad 1,6 tys. gatunków. Taki zbiór pozwala wyjść poza anegdotę: można robić metaanalizy, porównywać kontynenty i rodziny ptaków, wreszcie – projektować eksperymenty w warunkach kontrolowanych.

To w tych bazach uwzględniono informacje o sikorze bogatce, która w jednej z polskich jaskiń nauczyła się zabijać hibernujące nietoperze i wyjadać im ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4a128c0fe4

Krukowate są wybitnie inteligentne, przekazują wiedzę z pokolenia na pokolenie. Po prawej: **papuga kea – posiadaczka największego ptasiego mózgu.**

▶ mózgi. Stąd wiemy, że sikory potrafią atakować inne mniejsze ptaki schwytane w sieci ornitologiczne podczas obrączkowania. Z baz pochodzą najsłynniejsze przykłady ptasiego sprytu. Brytyjskie sikory, które wykryły, że folia na butelkach z mlekiem zostawianych przed drzwiami daje się zerwać dziobem. Nowozelandzkie wróble uruchamiające – również dziobem – czujniki ruchu, by otworzyć sobie drzwi do kafeterii. Bieliki w Arizonie skaczące po pokrywie lodowej zamarzniętych jezior, by wycisnąć złowione w niej rybki przez szczeliny.

Nie jest przypadkiem, że tak duża część obserwowanych innowacji dotyczy pokarmu. Jedzenie jest bowiem pierwszym i najbardziej bezlitosnym egzaminem, jaki przyroda zadaje każdemu organizmowi. Co więcej, innowacja żywieniowa to nie tylko nowa technika, ale także zmiana mikrobiomu, czyli świata bakterii zamieszkujących układ pokarmowy. Ptak, który przerzuca się z owadów na resztki dań z baru szybkiej obsługi, dosłownie zmienia siebie od środka. Innowacja zaczyna się w głowie, ale prawdziwą próbę zdaje w trzewiach. Czy w takim razie ochota na nowe przekąski zależy od wielkości mózgu? Niekoniecznie. Ptaki, w przeliczeniu na masę ciała, mają zwykle mniej neuronów niż ssaki, ale upakowują je inaczej – gęściej i z mniejszą energochłonnością. Najnowsze badania pokazują, że do sprawnego funkcjonowania ptasi neuron potrzebuje około trzech razy mniej glukozy niż neuron ssaczy. To istny inżynierski majstersztyk: mniej paliwa, więcej obliczeń. Największe ptasie mózgi mają dziś papugi kea, ale rekord liczby neuronów dzierży inna papuga – ara hiacyntowa, która ma ich niemal 2 mld. Mózg wielkości orzecha, a obliczeniowo nie ustępuje wielu naczelnym.

Utalentowany wróbel

Z perspektywy Lefebvre'a i jego współpracowników innowacyjność ptasia to przede wszystkim oportunizm. Nie ten salonowy, „pozbawiony zasad", lecz biologiczny: bycie we właściwym czasie we właściwym miejscu, z głową otwartą na nowe możliwości. Klasycznym ucieleśnieniem tej strategii jest wróbel domowy. Niemal nieodstępny towarzysz człowieka, z gatunku, który podążał za nami od bliskowschodnich obozowisk paleolitu aż po placówki badawcze na Antarktydzie. Z wyjątkiem pewnego indyjskiego podgatunku, który dziwnie konserwatywnie pozostał na stepach, gatunek ten skolonizował praktycznie wszystkie kontynenty. Tymczasem jego krewniak mazurek, współwystępujący z wróblem w Eurazji, w zasadzie nie kolonizuje nowych miejsc. Jest podobnej wielkości, w teorii równie dobrze przystosowany, a jednak do wykorzystania okazji jakoś talentu nie ma. Wróble obserwowane na parkingach zbierają zmiażdżone owady wprost z tablic rejestracyjnych samochodów – to dopiero przykład darmowego obiadu! Mazurki co najwyżej zalatują na parkingi wśród autostrad z nieodległych pól.

Korzystając z wielu podobnych przykładów, hiszpański ornitolog Daniel Sol pokazał, że ptasia innowacyjność ma głębokie korzenie ekologiczne. Najbardziej pionierskie okazują się te gatunki, które są zmuszone radzić sobie z trudnymi warunkami zimowymi na średnich i wysokich szerokościach geograficznych. Te, którym życie ułatwia tropikalny dostatek lub komfortowa wędrówka w cieplejsze rejony, są wyraźnie mniej pomysłowe. Z tego prostego mechanizmu wynika ważny wniosek: inteligencja jest córką niedostatku. Zdolność do kombinowania rośnie tam, gdzie życie regularnie zaskakuje.

Karakar z temperamentem

Gdyby innowacja była darmowa, świat byłby pełen ptasich Edisonów. Tymczasem nowe sposoby zdobywania pokarmu są ryzykowne. Wysypisko śmieci to bezwzględnie nowa nisza pokarmowa, ale i ekspozycja na patogeny, antybiotyki, plastik, metale ciężkie. Każda korzyść ma swój koszt, więc selekcja naturalna utrzymuje neofobię, czyli lęk przed nowością, równocześnie z neofilią, czyli ciekawością. Ptasi mózg balansuje między „spróbuj tego, może to coś ciekawego" a „nie tykaj, to może być pułapka". Ta wewnętrzna równowaga określana jest

© BLUEBARRONPHOTO/SHUTTERSTOCK, JONAS GRUHLKE/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4a128c0fe4

u badaczy osobowości ptaków pojęciami „śmiały” lub „nieśmiały”.

Lista udokumentowanych ptasich innowacji robi się coraz dłuższa i miejscami zaskakuje. Gołębie i wiele innych gatunków podążają za maszynami rolniczymi, polując na owady wypłaszane przez pługi. Jaskółki gniazdują dziś niemal wyłącznie na budynkach człowieka – bez naszych obór i stodół praktycznie zniknęłyby z krajobrazu. Czapla zielonawa w Japonii nauczyła się wabić ryby, upuszczając do wody chleb lub owady jako przynętę. Bocian biały dokonał na naszych oczach jednej z największych zmian behawioralnych: porzucił drzewa, następnie dachy i przeniósł się masowo na słupy energetyczne.

Z drugiej strony tej innowacyjnej skali stoją niekiedy dramatyczne odkrycia – opisywano kaczki krzyżówki zabijające i zjadające pliszki czy kopciuszki. Wynalazek nie zawsze ma w sobie coś sympatycznego. Zresztą zabijanie też bywa innowacyjne, co widać wśród ptaków drapieżnych. Mistrzami nie są w tym sokoły ani orły, lecz karakary z Ameryki Południowej. To ptaki o tak wyraźnej osobowości, że badacze mówią o nich w kategoriach typów – spotkamy karakary śmiałe, ale są i karakary nieufne. Pierwsze przekonują się do nowych pokarmów w godzinę, drugie nie tkną ich tygodniami. To u nich, jak nigdzie indziej w świecie ptaków drapieżnych, badania ujawniły zjawisko porównywalne z tym, co u ludzi nazywamy temperamentem.

Krukowate supergwiazdy

Jeśli ptasie IQ ma swoją aleję sław, jej niekwestionowanymi gwiazdami są krukowate. Lefebvre wskazuje nawet, że dają „kompletny obraz inteligencji zwierzęcej”: duży mózg, kultura, przekaz wiedzy z pokolenia na pokolenie, neurochemia, ekspansja, opieranie się wymieraniu, opanowywanie środowisk miejskich. Do tego konstruowanie narzędzi, a nawet ich metanarzędzi, czyli przedmiotów służących do wytworzenia tych pierwszych, i przechodzenie testu lustra, czyli rozpoznawanie w nim siebie. Słynne japońskie wrony rzucają orzechy pod koła samochodów na czerwonym świetle i czekają, aż zielone podpowie zarówno kierowcom, jak i im, że można już lecieć po obiad. Co więcej, krukowate okazują się odporne na naukowe triki iluzjonistyczne – w eksperymentach, gdzie ludzie i małpy dają się zmylić, one bezbłędnie wykrywają podstęp.

Mniej znanym, lecz pokrewnym krukowatym klejnotem są dzierzby. Te niepozorne ptaki – bywa, że niewiele większe od wróbla – nadziewają złapane owady, jaszczurki i drobne ssaki na ciernie krzewów lub na druty kolczaste i budują w ten sposób spiżarnie. Potrafią polować na ofiary toksyczne – takie jak pluskwiaki gromadzące w sobie alkaloidy roślinne – i poczekać, aż ofiara metabolicznie unieszkodliwi własną truciznę. Podobnie z ropuchami. Zabijają je i dopiero wtedy, kiedy toksyny przestaną działać, zabierają się do jedzenia.

Dzierzby planują też tygodnie naprzód, zapełniając swoje ciernie ofiarami na chude czasy. Są jeszcze sójki, które zakopują żołędzie w setkach miejsc i pamiętają je przez wiele miesięcy. I wrony kaledońskie, które rozumieją pojęcie przyszłość: potrafią odłożyć smakołyk teraz, by jutro wymienić na coś jeszcze lepszego.

Nie wszystkie ptaki muszą być wirtuozami innowacji – większości gatunków wystarczają mózgi „dostateczne do przeżycia”. Gdy jednak spojrzeć na całą skalę – od ostrygojadów po kruki – okazują się grupą o zdumiewająco bogatym repertuarze poznawczym.

Wrony jak my

Życie pisze epilogi. My, ludzie, zaczynamy opuszczać Ziemię – wysyłamy próbniki w kosmos i śnimy o Marsie, licząc na szybką możliwość ucieczki przed armagedonem, który pewnie kiedyś nastąpi. Tymczasem 66 mln lat temu z dinozaurów wyłoniła się gałąź, która przetrwała katastrofę po uderzeniu asteroidy – gigantyczne pożary, ochłodzenie i kwaśne deszcze. To dzisiejsze ptaki, które można nazwać ostatnimi dinozaurami. Jeśli antropocen zakończy się tak samo jak wcześniejsze ery, my znikniemy, ale jakieś organizmy pewnie przeżyją. Luis Lefebvre stawia na krukowate. Trudno się nie zgodzić. Mają dużą bazę demograficzną, opanowane środowiska miejskie, mają inteligencję, tradycję kulturową, a nawet – jak sugerują niektórzy badacze – coś przypominającego rytuały żałobne nad zmarłymi pobratymcami. Wystarczająco wiele, by spróbować pisać świat od nowa.

Jest w Ewangelii wg św. Mateusza zdanie: „Przypatrzcie się ptakom w powietrzu: nie sieją ani żną, ani zbierają do spichrzów, a Ojciec wasz niebieski je żywi”. Zazwyczaj czytamy to „jakie one są beztroskie”.

Tymczasem ornitologia przenosi akcenty. Przypatrzcie się ptakom – mówi – to jedni z najlepszych nauczycieli pokory dla człowieka, który tak długo myślał o sobie jako o jedynym rozumnym mieszkańcu planety. Lefebvre w jednym z wywiadów zauważył półżartem, że być nazwanym „pierzastą wroną” to dla człowieka komplement, bo wrony i my, na różnych ścieżkach ewolucyjnych oddalonych o setki milionów lat, wymyśliliśmy podobne strategie: kolonizować nowe miejsca, innowacyjnie i oportunistycznie łapać okazje, a wykorzystywać w tym celu miasta, narzędzia i kulturę. Może zatem określenie „ptasi móżdżek” – jeśli przyjąć perspektywę dzisiejszej nauki – powinno się zacząć traktować jako zaszczytne.

PIOTR TRYJANOWSKI
Autor, prof. dr hab., jest biologiem, ornitologiem i ekologiem. Kieruje Katedrą Zoologii Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach

ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl 4a128c0fe4

Jeszcze nie życie

Niektórzy uważają ją za niebezpieczną zabawę z prawami natury. Inni widzą w niej przyszłość ludzkości. Biologia syntetyczna rozwija się coraz szybciej.

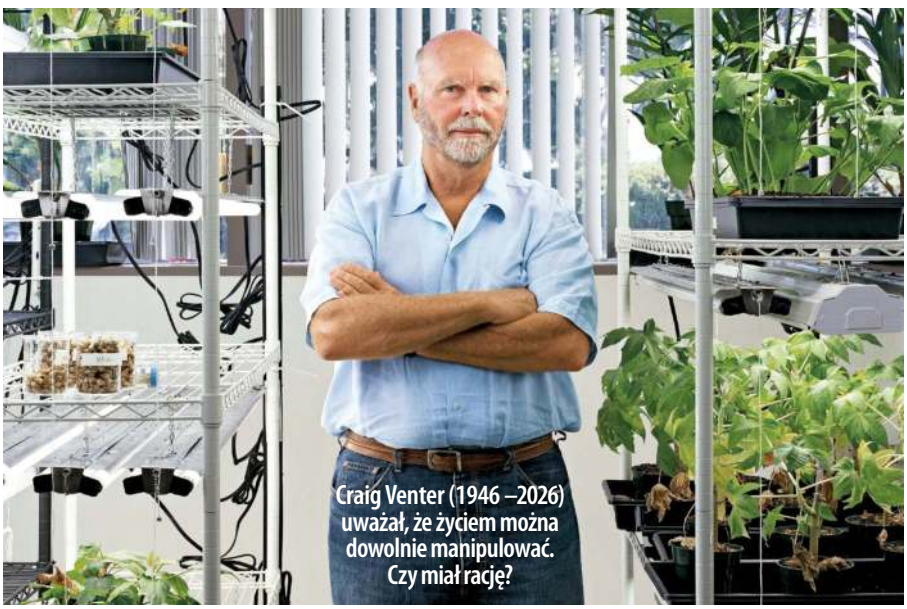

Craig Venter (1946 –2026) uważał, że życiem można dowolnie manipulować. Czy miał rację?

MARGIT KOSSOBUDZKA-LIPIŃSKA

Biologia syntetyczna wyrosła z inżynierii genetycznej. Naukowcy zajmujący się tą dziedziną znacznie śmielej wykorzystują jednak możliwości współczesnej genetyki. Tworzą np. nowe geny, niekoniecznie oglądając się na to, co występuje w naturze. Poza tym w tradycyjnej biologii eksperymentalnej działa się w sposób raczej spontaniczny: „Zróbmy tak i zobaczymy, co z tego wynika". Tu nacisk kładzie się na projektowanie i modelowanie, by przewidziany efekt móc wcielić w życie.

Craig Venter dał popis mocy

Życie w biologię syntetyczną tchnął amerykański biotechnolog Craig Venter (zm. 29 kwietnia br.). Należał do śmiałków, którzy lubili porywać się z motyką na słońce. Od połowy lat 90. marzył o stworzeniu sztucznej komórki. Genetyka święciła wówczas triumfy, wydawało się, że rozwiąże wszelkie problemy tego świata. Na fali tej ekscytacji naukowiec w 2007 r. „obrał" z wszelkich niepotrzebnych elementów genom najprostszej bakterii, a następnie to, co zostało (kluczowe dla przeżycia), umieścił w innej komórce biologicznej. Komentowano, że był to pierwszy przykład syntetycznego życia – komórki kontrolowanej przez zsyntetyzowany genom.

Po co Venter to zrobił? Część badaczy uważa, że dla poklasku, na który ponoć był łasy. – *Zależało mu na tym, żeby przekraczać kolejne granice* – uściśla dr hab. Radosław Stachowiak z Zakładu Fizjologii Bakterii Uniwersytetu Warszawskiego, który również zajmuje się biologią syntetyczną. – *To był pokaz mocy i sprawczości. Dla mnie: bezpośrednie zademonstrowanie czegoś, o czym było już wtedy wiadomo. Jednak co innego wiedza teoretyczna, a co innego pokazanie tego w praktyce.*

Ugruntowaną wówczas wiedzą było to, że geny tworzą genotyp, a ten wpływa na fenotyp, czyli cechy organizmu i jego komórek. – *Dlatego wynik doświadczenia, które przeprowadził Venter, nie zaskakuje: jeden gatunek został zmieniony w inny. Tyle że nikt tego wcześniej nie zrobił. A Venter uważał, że życiem można dowolnie manipulować.*

Wsadził kij w mrowisko. Zapoczątkował bowiem etyczne i naukowe dyskusje na temat biologii syntetycznej, w których podstawowe pytanie brzmiało: czy naukowcy mają prawo „bawić się w Boga"? Bo tu nie chodzi o obserwację, jak działa życie. Cel to „programowanie" komórki do wykonywania określonych, ważnych dla ludzkości zadań.

Ta wizja przyciągnęła znaczne inwestycje, ale mimo postępu na razie biolodzy syntetyczni nie zrealizowali w pełni swoich ambicji. Jednym z głównych powodów jest złożoność systemów żywych.

Początkowo badacze traktowali komórki jako systemy modułowe, w których skutki wymiany komponentów można przewidzieć. Tymczasem systemy biologiczne są znacznie bardziej złożone. Interakcje genów mogą przynieść nieoczekiwane rezultaty, a to, co działa w kontrolowanych warunkach laboratoryjnych, nie zawsze przekłada się na rzeczywistość.

Biolog stał się inżynierem

Istnieją również bardziej fundamentalne ograniczenia. Naukowcy nadal nie są w stanie zbudować w pełni żywego organizmu wyłącznie z elementów nieożywionych. Nawet syntetyczna komórka Ventera była zależna od istniejącego systemu biologicznego.

– *W naszej dziedzinie biolog staje się inżynierem, czyli ma szansę stworzyć coś zupełnie nowego* – tłumaczy dr Stachowiak. – *Ale życie od początku? To nie jest dziś możliwe. Venter wziął przecież już funkcjonującą żywą komórkę i użył jej jako próbówki, wprowadzając do niej DNA. To raczej wykorzystanie jednego życia jako nośnika drugiego.*

A co właściwie biolog syntetyczny chciałby stworzyć? – *Dzięki rozwojowi bioinformatyki i sztucznej inteligencji można wymyślić sobie gen, syntetyzować go i przełożyć na funkcjonujące sztuczne białko. To do niedawna było czyste science fiction. Owszem, syntezę DNA mamy dobrze opanowaną, można sobie zaprojektować dowolną sekwencję, syntetyzować ją, tylko co dalej? Taka sekwencja jest nową, nieistniejącą w przyrodzie cząstką DNA, ale nie przekładała się na funkcjonalne białko. Organizm nie ma maszynerii, która je obsługuje, np. receptorów.*

Przełom nastąpił wraz z pojawieniem się systemu AlphaFold do przewidywania

© MARK MAHANEY/REDUX/EAST NEWS

eprasa.pl 4a128c0fe4

struktury białek, którego twórcy otrzymali w 2024 r. Nagrodę Nobla. Jeśli możliwe jest zaprojektowanie sekwencji DNA tak, żeby z niej powstało białko, które będzie miało już jakąś funkcję, istnieje szansa, że zadziała w komórce, znajdzie sobie miejsce w organizmie.

Nauka zyskuje na szybkości

Biologia syntetyczna może np. ulepszyć organizmy, które można będzie wykorzystać do oczyszczania środowiska. Mikroby umieją rozkładać to, co w przyrodzie było od dawna, ale my wprowadziliśmy do niej dużo zupełnie nowych związków. Teraz trzeba bakteriom pomóc – właśnie przez modyfikacje genetyczne. Bakteria, która „zjada" plastik, przysłużyłaby się przyrodzie.

– *Ja szukam zaś związków, które są skuteczną alternatywą dla antybiotyków* – mówi dr Stachowiak. – *Jesteśmy teraz w historycznym momencie: na progu ery postantybiotykowej. Szukamy nowych, modyfikujemy stare, ale możliwości się kończą. Nie nadążamy za tempem ewolucji bakterii. Przy pierwszych antybiotykach to były dekady, a teraz rok, dwa lata od wprowadzenia nowego specyfiku pojawia się oporność.*

Wyjścia są dwa – dodaje badacz. Albo szybko tworzyć nowe warianty antybiotyków, albo zaprojektować organizm, który będzie produkował związek, jakiego do tej pory nie było. Im bardziej odmienny będzie od tego, co dziś mamy, tym trudniej będzie bakteriom się na niego uodpornić.

Biologia syntetyczna rodzi też pytania: jak daleko naukowcy powinni posunąć się w projektowaniu życia, kto może o tym decydować i jaka odpowiedzialność wiąże się z tą władzą?

– *Możliwość syntezy genów jest rzeczywiście potencjalnie groźna. Nie trzeba dużo wyobraźni, żeby to zobaczyć* – stwierdza naukowiec. – *Zwłaszcza że w przypadku wirusów już samo DNA jest niebezpieczne. Wirus to życie, które „samo się tworzy", wystarczy kwas nukleinowy. Jeśli DNA groźnego wirusa zostałoby syntetyzowane i wprowadzone do linii komórkowych, to na podstawie tego zapisu komórki eukariotyczne go stworzą. Przepis na katastrofę jest gotowy. Szczęśliwie dość szybko to zostało zauważone.*

Wszystkie firmy wykonujące syntezę DNA skrupulatnie sprawdzają zamawiane sekwencje. Jeśli ktoś życzy sobie DNA groźnego wirusa, następuje blokada.

Prawnie biologia syntetyczna jest postrzegana jako forma inżynierii genetycznej. Podlega zatem dotyczącym jej przepisom, a te są ustalone od lat.

Dr Stachowiak: – *To nie jest tak, że naukowcy mogą robić, co im się żywnie podoba. Poza tym nauki nie uprawia się potajemnie i wyłącznie dla siebie. Ludzie, którzy dokonują odkryć, chcą się nimi pochwalić, więc upubliczniają swoje doświadczenia.*

Kolejnym elementem nadzoru jest tzw. genetyczna siatka bezpieczeństwa. Nad organizmem pracuje się w odpowiednim laboratorium, o specjalnym stopniu zabezpieczenia. Mimo to zawsze istnieje ryzyko, a w zasadzie niemalże pewność, że mikrob znajdzie drogę ucieczki. Siatka sprawia, że nawet jeżeli dostanie się do środowiska, nie będzie mógł w nim funkcjonować. – *Swego czasu pracowałem nad bakterią Bacillus subtilis* – wyjaśnia dr Stachowiak. – *Była wyposażona w mutację uniemożliwiającą jej syntezę jednego z aminokwasów. Żeby żyła, trzeba było jej go podawać. Dodatkowo była asporogenna, czyli w przeciwieństwie do naturalnego dzikiego szczepu nie wytwarzała spór* (przetrwalników, które pozwalają im przetrwać ekstremalne warunki – przyp. red.). *Można budować kolejne warstwy genetycznej siatki, dodając inne zabezpieczenia przed samodzielnym życiem mikroba poza laboratorium.*

Nauka podąża w kierunku biologii syntetycznej. To nieuniknione. Tak jak w elektronice używa się gotowych tranzystorów, tak w biologii syntetycznej stworzono bazy znormalizowanych fragmentów DNA (BioBricks). Ułatwia to składanie i testowanie nowych konstrukcji genetycznych. Technologie takie jak CRISPR/Cas9 oraz nowsze systemy pozwalają na niezwykle precyzyjne wprowadzanie zmian w materiale genetycznym, usuwanie lub przeprojektowywanie genów w żywych organizmach. Biologia syntetyczna pozwoli również prowadzić procesy biologiczne, np. produkować białka czy biopaliwa, poza żywymi komórkami. Zamiast całych organizmów wykorzystywane będą wyizolowane enzymy lub aparaty komórkowe.

Jak uważa André O. Hudson, profesor biochemii z Rochester Institute of Technology, biologia syntetyczna zmieniła nie tylko sposób, w jaki naukowcy badają życie, lecz także sposób, w jaki społeczeństwa wyobrażają sobie jego przyszłość. ■

REKLAMA

pulsar
POPULARYZATOR NAUKI
2024 i 2025

CODZIENNIE
Newsy, artykuły, wywiady (także w wersji audio).

RAZ W TYGODNIU
Wideokasty i podkasty z polskimi naukowcami.

RAZ W MIESIĄCU
Nowe numery czasopism „Wiedza i Życie" i „Scientific American" (Świat Nauki).

STALE W PORTALU
Archiwum ok. 11 tys. materiałów popularnonaukowych.

SUBSKRYBUJ: PROJEKTPULSAR.PL/SUBSKRYPCJA

eprasa.pl 4a128c0fe4

Paul Otto Geibel po przekazaniu Polsce na warszawskim Okęciu w 1947 r.

Tajemnice generała Geibla

JACEK SNOPKIEWICZ

Kiedy „morderca Warszawy” odpowiedzialny za burzenie miasta po powstaniu 1944 r. Paul Otto Geibel stanął przed polskim sądem 10 lat później, proces przemilczano. Dlaczego? I czy rzeczywiście zabił się w więzieniu, w którym kazał wymordować więźniów?

eprasa.pl 4a128c0fe4

Dowódca SS i policji w dystrykcie warszawskim gen. Paul Otto Geibel pierwszego dnia powstania uciekł do schronu w swoim urzędzie – Prezydium Policji na Szucha 23, tuż obok gmachu gestapo, gdzie urzędował Ludwig Hahn. Dzielnica policyjna, koszary i więzienie na Rakowieckiej były atakowane przez oddziały AK bez szans na powodzenie. Odpowiedzialność Geibla za zbrodnie dokonane w tym rejonie miasta można porównać z masakrą na Woli. Na Mokotowie zamordowano ok. 10 tys. mieszkańców. Geiblowi powierzono też 12 października ewakuację ludności i zburzenie Warszawy.

Po wojnie został wydany Polsce w październiku 1947 r. Wysiadł z samolotu na Okęciu, wyglądem przypominał turystę z bagażem przewieszonym przez ramię. Przez kilka lat zastanawiano się, jak jego proces wykorzystać politycznie. Czas mijał i okazało się, że propagandowo Geibel nie jest już potrzebny jak choćby Ludwig Fischer, gubernator dystryktu warszawskiego, sądzony przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w 1947 r. Na sali obecni byli wówczas korespondenci kamerzyści i tłum publiczności wpuszczany za biletami.

Geibel stanął przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie dopiero w maju 1954 r. Kilkakrotnie przeglądałem roczniki gazet z tego okresu i nie znalazłem o tym najmniejszej wzmianki. Publikowano za to informacje o wizycie delegacji włókniarek NRD czy wydaniu 28. tomu dzieł Lenina. Proces był pospieszny, bez stenografowania i kamer. Już pierwszego dnia został odroczony, ponieważ tłumacz nie dawał sobie rady. Świadków zbrodni przesłuchano w ciągu jednego dnia, tylko pięciu, choć sąd dysponował obszerną dokumentacją zebraną pracowicie przez Komisję Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce.

Podczas procesu ustalono powszechnie znane fakty. Z domów na Mokotowie, z Marszałkowskiej, Olesińskiej, Dworkowej wywlekano ludzi i zabijano, podpalano kamienice, w ruinach dawnego Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych przy Szucha 12/14 dokonywano całymi dniami egzekucji. Zwłoki palono na rusztach w kotłowni pozbawionej stropu. Geibel oczywiście „o niczym nie wiedział". Przyznał się jednak, że to on wydał rozkaz tworzenia żywych tarcz idących przed czołgami. Zeznał podczas procesu: „kazałem sobie dać te kobiety od Hahna" (Hahn razem z nim kierował obroną dzielnicy policyjnej – przyp. red.). Kiedy Geibel 5 sierpnia zobaczył tłum kilkuset spędzonych, przerażonych kobiet siedzących na trawnikach, przemówił przez tłumacza, że chodzi o pokojową akcję wywiezienia rannych Niemców. Zeznająca przed sądem bibliotekarka Eugenia Horodyska została wsadzona na czołg, obok chronili się esesmani przebrani za kobiety. Na ulicy Piusa widziała, jak strzelali do uciekających: „ok. 50 kobiet padło wtedy trupem na miejscu".

Geibl odpowiadał też za masakrę więźniów na Rakowieckiej. Sprawa do dzisiaj żywa, bo jeszcze w 2025 r. dokonano tam ekshumacji 10 ofiar z czasów powstania. Geibel osobiście przekazał komendantowi koszar SS-Stauferkaserne Martinowi Patzowi rozkaz likwidacji więźniów wydany przez komendanta Warszawy gen. Reinera Stahela. W więzieniu – po częściowej ewakuacji w lipcu 1944 r. – pozostało ok. 800 osób, często z wyrokami za drobne przestępstwa okupacyjne, np. za wyśmiewanie się z Niemców. Sąd przesłuchał Antoniego Porzygowskiego, który na Rakowieckiej odsiadywał wyrok czterech lat za handel jajami i ocalał z masakry 2 sierpnia 1944 r. Pytania sądu nie były dociekliwe i Geibel wykręcił się kłamstwem, że SS-Obersturmführera Patza poznał dopiero piątego dnia powstania.

Końcowy wyrok milczy o tej sprawie. Ale toczyła się ona nadal. W 1973 r. odkryto w archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce raport „Warschauer Vorgange" (Sprawa warszawska) inspektora więzienia Kirchnera. To niezwykłe świadectwo mechaniki zbrodni. W dniu wybuchu powstania w celach pozostawało 794 więźniów, w tym 41 młodocianych. 2 sierpnia przed południem Martin Patz poinformował Kirchnera o rozkazie zamordowania więźniów, ale inspektor nie był pewien, czy może przekazać więźniów w ręce SS. Razem udali się na Szucha do gen. Geibla, który potwierdził rozkaz i przyjął plan egzekucji Patza. Więźniów należało wyprowadzać z cel i zabijać nad wykopanymi rowami. Geibel nalegał na egzekucję polskich strażników, inspektor oponował, w końcu to była jego załoga. Służbista Kirchner przekazał Patzowi więźniów za pokwitowaniem. Do raportu dołączono ten dokument i plan więzienia. Raport pomijał niewygodne dla wykonawców fakty: zamordowano kilkuset więźniów, ale ok. 200 udało się uciec po dachach w deszczową noc.

To sąd niemiecki w 1979 r. odtworzył przebieg masakry na Rakowieckiej. Martin Patz i drugi esesman Karl Misling stanęli przed Sądem Krajowym w Kolonii. Stacjonujący w koszarach SS-Stauferkaserne 3. batalion zapasowy SS i kompania 10 czołgów „Viking" pozostawały pod rozkazami Geibla. Patz meldował mu się codziennie, również przed wybuchem powstania. Rozkaz egzekucji więźniów otrzymał pierwszego dnia powstania. Twierdził: „Przez całą noc walczyłem ze sobą, modląc się do Boga, by nie pozwolił mi zostać katem. Następnego ranka udałem się do Geibla i powiedziałem mu: »Zamierzam przekazać więźniów w ręce policji«. Geibel zaczął wrzeszczeć: »Oszalał pan?! Zlikwidować, nie przekazywać«. W tej sytuacji wróciłem do koszar i poprosiłem Untersturmführera Mislinga, by wraz ze swoimi ludźmi dokonał egzekucji więźniów. Poszedłem do sypialni i zacząłem się modlić. Rozkazu Geibla usłuchałem ze strachu przed rozstrzelaniem".

Zastanawiał się z inspektorem więziennictwa Kirchnerem, jak wykonać rozkaz. Rozważano kilka wersji, Patz zdecydował o egzekucjach nad wykopanymi rowami na spacerniakach odgrodzonych od Mokotowa sześciometrowym murem. Na oczach więźniów. Próbował wmawiać sądowi, że jego podpis na dokumencie o przejęciu więźniów jest sfałszowany. Nie wykazywał ani skruchy, ani wyrzutów sumienia. Uważał, że Karl Misling nie podołał zadaniu. Kiedy więźniowie zaczęli walczyć o życie i zabili jednego z esesmanów, natknął się na niego uciekającego do koszar: „blady jak upiór, bez czapki i sprawiający wrażenie jakby postradał zmysły, krzyczał: »Rozstrzeliwałeś już kiedyś ludzi?! Nie chcę już nikogo więcej rozstrzeliwać!«". Patz musiał przywołać go do porządku.

Podczas procesu wróciły obrazy masakry. Oskarżeni wiedzieli, jakie zadanie wykonują. Misling do egzekucji zwerbował ochotników, 12–15 esesmanów. Ciężarówką przywieziono łopaty. Więźniowie kopali spokojnie w twardym gruncie, przypuszczając, że są to jamy do kopcowania kartofli na zimę. Misling potwierdził zeznania świadków: Niemcy przynieśli skrzynki z wódką. Do picia przyznał się na procesie niechętnie, tłumacząc, że wstydzi się ▶

© PAP

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ tego, że mógł być na służbie pijany. Po wykopaniu rowów i zabiciu pierwszych więźniów liczba egzekutorów zwiększyła się do 60. Do budynku więzienia wchodziło po dwóch, trzech esesmanów, którzy wywlekali ludzi z cel. Korytarze były obstawione przez warty. Przy głównym wejściu przekazywano więźniów kolejnym esesmanom, ci doprowadzali ofiary do rowów. Strzelano w potylicę. Ponieważ esesmani wciąż pili wódkę, często chybiali, zamiast w głowę trafiali w ramię albo w ucho, żywi padali na zabitych. Kiedy więźniowie z VI i VII oddziału na piętrze zabarykadowali się w zatłoczonych celach, egzekucje toczyły się nadal jak w upiornym spektaklu, bo dym buchający z okien po podpaleniu sienników zasłaniał więzienie. Słychać było strzały, wybuchy granatów wrzucanych do cel, jęki rannych, nieludzkie wycie zza krat, skandowanie „Mordercy! Mordercy!", niemieckie komendy, prośby o ratunek, wołanie do Boga. Więzienie obstawiono czołgami. Sam Misling przyznał, że zabił kilku Polaków. Upojenie alkoholem było tak wielkie, że niektórzy esesmani po powrocie do koszar w amoku strzelali na oślep. Zamordowano kilkuset więźniów.

Martina Patza skazano na dziewięć lat więzienia, Karla Mislinga na cztery i pół roku. Tej historii nie opowiedziano jednak podczas procesu Geibla.

Wyrok w jego sprawie wydany został 31 maja 1954 r. Jako ostatni zeznawał wskazany przez obrońców dyrektor Muzeum Narodowego Stanisław Lorenz. Na początku listopada 1944 r. profesor ratujący wówczas w Warszawie, co się dało, został przez Radę Główną Opiekuńczą wezwany do sztabu Raumungsstab (Opróżniania Warszawy) ulokowanego w kamienicy przy ul. Wolskiej. Zbiory i archiwa już płonęły, podpalono Bibliotekę Krasińskich, grabiono dzieła sztuki. Profesora przyjęli w otoczeniu świty gubernator Fischer i Geibel – szef sztabu Raumungsstab z wszelkimi upoważnieniami Himmlera do grabieży i palenia. Profesor przekonał wówczas Geibla, że warto ocalić dobra mające znaczenie dla kultury europejskiej, ważne więc dla kultury niemieckiej. Dostał dwa tygodnie i dwie ciężarówki do dyspozycji. Geibel bronił się przed sądem przede wszystkim wykonywaniem rozkazów Himmlera. Gen. Erich von dem Bach, dowodzący od 5 sierpnia wszystkimi siłami niemieckimi w Warszawie, uważał Geibla za potakiwacza (*Jawohl-Sager*): „Rozkaz był dla niego bezdyskusyjny".

Geibel w 1944 r.

SS-Brigadeführer i Generalmajor der Polizei Paul Otto Geibel skazany został na dożywocie. Miał szczęście, gdyż uniknął egzekucji na Rakowieckiej. Powieszono tam gubernatora Fischera, co uwieczniła Polska Kronika Filmowa. Sznur szubienicy pękł dwukrotnie i skazańca stracono dopiero za trzecim razem.

W 1959 r. adwokaci Geibla doprowadzili do posiedzenia Sądu Wojewódzkiego w Opolu. W RFN działało silne lobby wysyłające do Polski opinie o nieposzlakowanym charakterze Geibla jako człowieka i niemieckiego oficera. Po 13 latach więzienia zwolniony został warunkowo z dniem 20 maja tego roku. Zrobiono to bez rozgłosu. Za jaką cenę uzyskał zwolnienie? Co się z nim potem działo? W dokumentach nie ma o tym słowa. Krążyły pogłoski o protestach przeciwko zwolnieniu hitlerowskiego zbrodniarza. Ale w jaki sposób dowiedziano się o sprawie? Kto protestował? Czy rzeczywiście byli to „oficerowie WP"? Być może toczyła się jakaś rozgrywka służb wojskowych i bezpieki. Minister sprawiedliwości musiał zaprotestować i wniósł rewizję nadzwyczajną. Sąd Najwyższy 19 grudnia 1959 r. uchylił postanowienie o zwolnieniu, zarzucając sądowi w Opolu błędną ocenę. Opinia więzienna nie dawała żadnego powodu do wiary w nawrócenie się skazanego. Zatrzymany podobno już na granicy Geibel trafił do Strzelec Opolskich – Centralnego Więzienia Karnego dla skazanych z dużymi wyrokami, do dzisiaj uważanego za ciężkie.

Geibel od 1958 r. siedział w bloku 4C w celi z widokiem na komendę milicji. „Zawsze ogolony, schludny, na apelach stał wyprostowany jak struna" – opisywał w swoich wspomnieniach były dyrektor więzienia Andrzej Kucharz. Współwięźniowie nazywali go mordercą Warszawy. Zdarzało się, że oddziałowy zostawiał go z więźniami. Siadali na nim okrakiem i musiał nosić ich na czworakach. Był bity, ale nie donosił, bał się zemsty.

Żył nadzieją na zwolnienie wzmacnianą odwiedzinami żony Kathe i córki. We wrześniu 1966 r. przewieziono go do Warszawy i ponownie znalazł się na Rakowieckiej. Początkowo nie wiedział, o co chodzi. Po dwóch tygodniach wezwano go na przesłuchanie w sprawie Ludwiga Hanha, szefa gestapo w Warszawie. Miał być świadkiem w przygotowywanym w RFN procesie i wiedział, że czeka go konfrontacja z gestapowcem. 12 października 1966 r. powiesił się w jednoosobowej celi. Jako przyczynę zgonu lekarka więzienna Maria Chądzyńska, specjalistka w leczeniu gruźlicy, stwierdziła samobójstwo. Nie dokonała jednak obdukcji. Podpisany przez nią lakoniczny dokument to jedyne świadectwo tej śmierci.

Chądzyńska we wrześniu 1966 r. przestała pracować w MSW i podpisała dokument o zachowaniu ścisłej tajemnicy. W jaki sposób trafiła do pracy w więzieniu? Władze nie zgodziły się na wydanie zwłok żonie Geibla. Sprawę utajniono. Dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce Czesław Pilichowski tłumaczył w poufnym piśmie do ministra sprawiedliwości, że Geibel liczył się z ujawnieniem jego nowych zbrodni i wolał samobójstwo od kolejnego procesu. Ale jednocześnie dodał, że „jego zachowanie do ostatnich chwil nie wskazywało na podjęcie decyzji o pozbawieniu się życia". Więc co się stało?

Był cennym źródłem informacji o SS, policji, gestapo, bo wcześniej pracował jako kierownik personalny w Głównym Urzędzie Policji w Berlinie. Przez lata siedział w polskich więzieniach, wiele widział i słyszał. W 1955 r. siedział w celi z płk. Adamem Boryczką, cichociemnym, po wojnie kurierem Zrzeszenia WiN skazanym na karę śmierci, potem ułaskawionym. O co chodziło? Nie odnaleziono dokumentów w tej sprawie. Sędzia Jerzy Skórzyński prowadzący śledztwo w sprawie Geibla domagał się jeszcze w 1948 r. przekazania protokołów prowadzonych z nim rozmów przez I Departament MBP zajmujący się wywiadem. Pozostaje pytanie, co takiego Geibel mógłby powiedzieć prokuratorom czy sędziom z RFN o komunistycznych władzach i bezpiece.

JACEK SNOPKIEWICZ

© ALAMY/BE&W

eprasa.pl 4a128c0fe4

Walka królestw

Czy Majowie naprawdę byli okrutni, dlaczego mieli obsesję na punkcie wody i czy ich kultura rzeczywiście „upadła" – opowiada dr hab. Jarosław Źrałka.

Piramida schodkowa Majów w Tikál w dzisiejszej Gwatemali

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– Wokół cywilizacji Majów, która istniała w Mezoameryce od ok. 2000 r. p.n.e. do XVI w., narosło mnóstwo mitów. Co prawda ten o końcu świata w 2012 r. sam się zdewaluował, ale jest wiele innych, które pan prostuje w swojej najnowszej książce. Mnie zdziwiło, że Majowie nigdy nie uważali się za Majów.**

JAROSŁAW ŹRAŁKA: – Nie było wspólnej tożsamości majańskiej, tylko mozaika miast, dynastii i języków. Amerykański epigrafik David Stuart znalazł co prawda w inskrypcjach znak *Maaya'*, odnoszący się do północnego Jukatanu, a wcześniej w XVI w. biskup Diego de Landa użył dla tego obszaru podobnego określenia, ale uogólniona nazwa Majowie powstała z lokalnego terminu. Mieszkańcy tego świata mówią, że są K'iche', Kaqchikel, Tz'utujil – od nazw języków, w których zakorzeniona jest ich tożsamość. Do dziś używanych jest ok. 30 języków majańskich – tworzą one jedną rodzinę, ale są tak mocno zróżnicowane, że posługujący się jednym często nie rozumieją innego.

Jak stara jest ta rodzina językowa?

Ludzie mówiący protomajańskim pojawili się jakieś 2200 lat p.n.e. Z badań genetycznych wynika, że Majowie mieli w sobie zarówno geny przybyszy z Ameryki Północnej, jak i elementy DNA z okolic Kostaryki i Panamy. Do ich spotkania musiało zatem dojść na pograniczu meksykańsko-gwatemalskim, dokładnie tam, gdzie występuje największe zagęszczenie języków majańskich. Szkoda, że współcześni Majowie coraz mniej chętnie zgadzają się na badania genetyczne swoich przodków w obawie, że zostaną one wykorzystane politycznie. Niewykluczone, że w Gwatemali wkrótce pojawi się tak samo restrykcyjne prawo dotyczące badania genów rdzennych mieszkańców jak obowiązujące w USA.

Miejmy nadzieję, że nikt nie zabroni używania skanowania lotniczego, ponieważ te badania, tzw. lidarowe, najbardziej wpłynęły na postrzeganie cywilizacji majańskiej. Jedno z zaskakujących odkryć ostatnich lat to gigantyczna platforma Aguada Fénix w południowym Meksyku, która powstała między 1000 a 700 r. p.n.e.

To rzeczywiście niezwykłe odkrycie. Ta sztucznie wypiętrzona struktura wzorowana jest na platformie San Lorenzo w Meksyku zbudowanej przez Olmeków, a jej wymiary – 1,4 km długości, 400 m szerokości i 10–15 m wysokości – czynią ją największą wzniesioną przez Majów. Na jej szycie stał kompleks budynków zorientowanych według wschodu słońca ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ w wybranych dniach roku, co dowodzi, że już wtedy obserwowano niebo i umiano liczyć czas w powtarzalnych cyklach solarnych. Potem Majowie używali tzw. długiej rachuby kalendarzowej, która zaczynała się od mitycznego początku stworzenia w 3114 r. p.n.e. Od tej daty odliczali kolejne baktuny liczące 144 tys. dni, czyli ok. 395 lat. Teraz jesteśmy w 14. baktunie, który skończy się 26 marca 2407 r.

Badania lidarowe wykazały, że podobnych, choć mniejszych platform, jak ta w Aguada Fénix, zbudowano znacznie więcej. Przypuszcza się, że służyły one jako miejsca spotkań i ceremonii okolicznym społecznościom wczesnomajańskim, które jawią się teraz jako bardzo egalitarne.

Jak to się stało, że ich wspólnoty zmieniły się w królestwa?

Między III w. p.n.e. a III w. n.e. – w tzw. okresie preklasycznym – pojawiło się protopaństwo ze stolicą w El Mirador, od którego rozchodziła się sieć dróg łączących go z mniejszymi ośrodkami. Degradacja środowiska i zmiany klimatyczne spowodowały upadek tego ośrodka, ale inne, pomniejsze, rozwijały się nadal. W okresie klasycznym, który trwał do 900 r., zaczęły konkurować ze sobą miasto Tikál oraz Królestwo Węża – nazwane tak, ponieważ rządząca nim dynastia Kaanul miała w zapisie swojej nazwy głowę węża. W 695 r. władcy Tikál pokonali wrogie królestwo, które nigdy już się nie podniosło. Z czasem jednak i zwycięzcy zaczęli podupadać.

Czy Nakum, gdzie prowadzi pan badania, było podporządkowane Tikál czy Królestwu Węża?

Najpierw królestwu Naranjo, które pozostawało w strefie wpływów Kaanul, ale po zwycięstwie Tikál, Nakum przeszło na jego stronę. To prowincjonalne miasto jest dlatego takie ciekawe, bo leżało na styku tych wielkich sił politycznych. Stąd różne wpływy widoczne są w ceramice i architekturze. Po upadku Tikál Nakum zyskało niezależność polityczną i w IX w. jego królowie zaczęli stawiać kamienne stele ze swoimi wizerunkami, podpisując się *k'uhul ajaw* – boski władca. Robiliśmy obliczenia obszaru pałacowego, który przed IX w. miał ok. 500 m kw., a w IX w. urósł do ponad 1500 m kw., być może dlatego, że elity pochodzące z innych miast znalazły tam schronienie. Mamy zatem klasyczny model – upadek wielkich centrów sprawił, że przez jakiś czas funkcjonowały mniejsze.

Ale jednocześnie najnowsze badania w ośrodku Ucanal sugerują, że w tym samym czasie Majowie wrócili do bardziej kolegialnej władzy, na co wskazuje nowy typ budowli – otwarta hala kolumnowa uważana za miejsce spotkań przywódców, sądów, uczt. Zmienia się też ikonografia – zamiast jednej dominującej postaci pojawiają się władcy siedzący twarzą w twarz, jakby negocjowali. Czy w Nakum też to widać?

Od dawna uważam, że pod koniec epoki klasycznej mogło dojść do zmiany formy władzy, a Ucanal, tak jak Nakum, rozkwitło, kiedy inne miasta się załamały. My nie znaleźliśmy domu rady, ale mamy inną wskazówkę. Z pierwszej połowy IX w. znamy wspomniane stele królewskie, ale już kilkadziesiąt lat później na jednej z nich obok władcy pojawił się dostojnik i z napisu wynika, że razem wykonują rytualny taniec. To znak, że doszło do osłabienia władzy centralnej.

Czy pana zespół poza klasycznymi wykopaliskami prowadził też badania lidarowe?

Oczywiście. To właśnie dzięki nim musiałem zweryfikować wyobrażenia o Nakum jako peryferyjnym miasteczku mającym zaledwie kilometr kwadratowy, bo okazało się znacznie większe. Ostatnio namierzyliśmy też między ośrodkami w Yaxha i Nakum w północno-wschodniej Gwatemali wiele nieznanych dróg ukrytych w dżungli oraz fortecę z III–VI w., zapewne jedną z całej sieci umocnień z czasów funkcjonowania królestwa Tikál. Odkryliśmy też kilka nowych jaskiń. U wejścia do jednej z nich, we wnętrzu owalnej świątyni, był szkielet mężczyzny z lustrem, a te służyły Majom do wróżenia i jako portale do zaświatów.

A nie do przeglądania się w nich? W końcu Majowie przywiązywali olbrzymią wagę do wyglądu, co wiązało się z ingerencją w ciało – przekłuwanie uszu, warg, przegrody nosowej, deformacje czaszek czy szlifowanie i inkrustacje zębów.

O tym, jak traktowali tkanki miękkie, wiemy z ikonografii, a jak tkanki kostne – ze szkieletów. W Nakum znaleziono szczątki 18-latka, który miał inkrustowaną tylko jedną z górnych jedynek, bo – jak twierdzi antropolożka Vera Tiesler – zabić go mogło zakażenie po tym zabiegu. Analiza czaszek z różnych stanowisk pozwoliła tej badaczce stwierdzić, że Majowie na kilka sposobów zmieniali ich kształt w zależności od regionu i statusu. Inkrustacja, przebijanie tkanek miękkich czy przegrody nosowej były często formą rytuału przejścia. Do tego Majowie przywiązywali wielką wagę do higieny i wiele czasu spędzali w łaźniach parowych, gdzie oczyszczali ciało i duszę przed ważnymi rytuałami.

Elementem tych rytuałów było samookaleczanie.

I to na różne sposoby. W 2001 r. archeolog William Saturn w San Bartolo w północno-wschodniej Gwatemali natrafił na budowlę z ok. 100 r. p.n.e., której wewnętrzne ściany pokrywały sceny mitologiczne i teksty. Inskrypcje należą do jednych z najstarszych, a malowidła są tak piękne, że pomieszczenie to nazwano Kaplicą Sykstyńską Majów. W jednej ze scen bogowie przekłuwają sobie penisy szpikulcami z kości. Ale również władcy, wysocy dostojnicy i kobiety z elit regularnie, w ramach ofiary lub aby nawiązać kontakt z bogami i przodkami, upuszczali krew. Na płaskorzeźbie z Yaxchilan żona władcy nacina sobie język, przez który przeciąga kolczasty sznur. Kamienny przekłuwacz z inskrypcją hieroglificzną z I w. p.n.e. znaleźli w Uaxactún badacze ze Słowacji, a w wielu grobach są też kolce płaszczek i inne przedmioty służące do samookaleczania. Ludzkie erytrocyty znaleziono na porożach jeleni z grobu kobiety z Yaxchilán.

Czy Majowie lubowali się w ofiarach z ludzi tak jak Aztekowie?

Europejscy kronikarze z XVI w. bardzo uwypuklali ten element kultury azteckiej, aby usprawiedliwić okrucieństwo konkwisty. Jednak znalezisk powiązanych z ofiarami z ludzi u Majów nie było dużo, a dzieci zabijano głównie podczas rytuałów związanych z przywołaniem deszczu. W 2024 r. w „Nature" pojawił się artykuł o 3–6-letnich dzieciach z Chichén Itzá złożonych w ofierze między IX a XI w., czyli w czasach, gdy potęga cywilizacji Majów zaczęła się chwiać. Genetyka pokazała, że byli to wyłącznie chłopcy; wielu z nich spokrewnionych, a nawet znaleziono kilka par bliźniąt jednojajowych, co być może stanowiło echo jednej z mitycznych opowieści o śmierci i odrodzeniu. Ofiary z braci były aktem przemocy wpisanym w kosmiczny scenariusz.

Z przemocą kojarzy się też słynna gra w piłkę. Czy zawsze kończyła się śmiercią przegranej drużyny?

eprasa.pl 4a128c0fe4

Świątynia Majów w El Mirador w dzisiejszej Gwatemali

Nie, ale zacznijmy od tego, że w Mezoameryce grano w piłkę z kauczuku już ok. 1700 r. p.n.e. Odbijano ją biodrami, a piłki były ciężkie, dlatego zakładano pasy ochronne. Gra przypominała koszykówkę, bo zadaniem graczy było trafienie w umieszczoną wysoko na murze obręcz. Uprawiano też sport przypominający hokeja na trawie, bo używano mniejszych piłek, które odbijano kijami lub rakietami. Boiska do tej pierwszej wyznaczały dwie równoległe budowle ze ścianami nachylonymi do środka. Jedne miały kilkanaście metrów długości, a największe, w Chichén Itzá, ponad 100 m. Obręcze umieszczano na wysokości 6 m, więc trafienie w nie piłką było trudne. Kronikarze wspominają, że przegranych zabijano po meczach organizowanych po wygranych bitwach. Niewykluczone, że grający we wrogiej drużynie jeńcy skazani byli na śmierć, bo mecz miał odzwierciedlać wojenne zwycięstwo, więc ich drużyna musiała przegrać.

Czy Majowie jakoś się znieczulali, by móc znieść te wszystkie mniej lub bardziej dobrowolne tortury? Bo samo picie kakao, pomimo zawartej w nim teobrominy, raczej nie wystarczało.

Używali grzybów halucynogennych i dodawali do kakao daturę, czyli bieluń. Kakao pito jako napój ceremonialny, a jego ziarna służyły jako waluta. Na ich bazie powstawały też napoje alkoholowe. Zachowały się też wzmianki o napoju z fermentowanego soku agawy, zwanym *chih*, oraz *balché* – lekkim alkoholu przygotowywanym z kory drzewa o tej samej nazwie i miodu. Ponieważ w Mezoameryce były bezżądłe pszczoły z rodzaju *Melipona*, które produkują dwadzieścia razy mniej miodu niż nasze *Apis melifera*, miód był bardzo drogi. Do dziś zresztą sprzedawany jest w małych pojemniczkach i stosowany w aptekarskich ilościach. W Nakum natrafiliśmy na ceramiczną tubę z I w. z małym otworem pośrodku, która okazała się jednym z najstarszych majańskich uli.

Zdjęcia lidarowe pokazały, że poza niezliczoną ilością nieznanych dotąd ośrodków połączonych siecią grobli Majowie mieli niezwykle rozbudowany układ nieznanych dotąd kanałów i zbiorników na wodę. Wygląda to tak, jakby ich życie kręciło się wokół wody.

Bo tak było. Żyli na terenach, gdzie dostęp do niej był tylko w porze deszczowej, więc musieli gromadzić ją na czas pory suchej dla siebie i do nawadniania pól. Woda miała podwójne znaczenie – praktyczne i sakralne. Dlatego w religii i obrzędowości olbrzymią rolę odgrywał deszcz i bóg wody, któremu składano w ofierze nawet dzieci. Życie codzienne wymagało natomiast budowy właśnie całej sieci kanałów i zbiorników na wodę zwanych *aguadas*. Czasem były one naturalne, a czasem wykładane kamiennymi płytami i uszczelniane tłuczniem ceramicznym.

Czy problemem nie było ich zanieczyszczenie?

Analizy chemiczne próbek z wielu zbiorników wykazały skażenie sinicami, fosforanami i metalami ciężkimi, jak tlenek rtęci. Ten ostatni brał się stąd, że Majowie używali do malowania budynków dużych ilości cynobru, czerwonego barwnika. To skażenie wzrosło ok. 900 r., czyli pod koniec epoki klasycznej, stąd pomysł, że było jedną z przyczyn upadku ich kultury, bo powodowało choroby i społeczne niepokoje. Ludzie zwracali się przeciwko władcom – dostarczycielom wody – którzy nie potrafili jej zapewnić.

A co według pana było powodem upadku klasycznej cywilizacji Majów?

Według niektórych przyczyną było zanieczyszczenie wody i susze, które spowodowały upadek miast. Tylko dlaczego najpierw upadło wiele miast położonych nad rzekami? Mamy też świadectwa wskazujące na to, że miasta ze sobą walczyły, budowano fortyfikacje i zostawiano ziemie buforowe. Intensyfikacja wojen mogła mieć duże znaczenie, ale do upadku doprowadziło zapewne wiele czynników, które zadziałały jak efekt domina.

A co się stało z tymi, którzy przeżyli?

Część wyemigrowała na północ Jukatanu, gdzie powstały takie miasta jak słynne Chichén Itzá, które kilkaset lat później opustoszało, gdy jego mieszkańcy przenieśli się do Mayapán. Ponieważ Chichén Itzá rozwijało się jako luźna konfederacja rodów, wiązało się to z większą niestabilnością i konfliktami wewnętrznymi. Dlatego to nie Hiszpanie przyczynili się do jego upadku w 1450 r. Ono rozpadło się od środka – w wyniku buntów i walk między elitami. Tylko że nawet jeśli klasyczna cywilizacja Majów upadła, to przecież do dziś w południowo-wschodnim Meksyku, Gwatemali, Belize, zachodnim Salwadorze i Hondurasie żyje 7–8 mln mówiących językami majańskimi potomków budowniczych wielkich schodkowych piramid. Nadal kultywują część dawnych tradycji – jak pszczelarstwo z wykorzystaniem bezżądłych pszczół, a w niektórych górskich wsiach jeszcze do niedawna każdy dom miał łaźnię parową wywodzącą się z przedhiszpańskiego zwyczaju oczyszczania ciała i ducha.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Dr hab. **Jarosław Źrałka** jest majanistą z Uniwersytetu Jagiellońskiego, od ponad 20 lat pracuje w Gwatemali. Niedawno ukazała się jego książka „Majowie. Na tropie wielkiej cywilizacji Ameryki Środkowej".

© DEAGOSTINI/GETTY IMAGES, MP

eprasa.pl 4a128c0fe4

Chłopskie idee

Lyndal Roper, **Lato ognia i krwi. Wojna chłopska w Niemczech 1524–1525**, tłum. Marta Fihel, Wydawnictwo Prześwity, Warszawa 2026, s. 512

Wydarzenia nazywane wojną chłopską w Niemczech były największym powstaniem w dziejach nowożytnej Europy, które zakwestionowało cały ówczesny porządek społeczny. Śledząc przyczyny i przebieg wojny, australijska historyczka oraz badaczka reformacji dokonała rzeczy niezwykłej, ponieważ udało się jej przekonująco pokazać świat chłopów, ich wyobrażenia i motywacje. Było to wyjątkowo trudne, ponieważ historię tamtych wydarzeń spisali zwycięzcy, którzy pokonanych chłopów opisywali jako bezładną masę ogarniętą szałem niszczenia. Autorka dowodzi, że było inaczej. Chłopi – kierując się zawartymi w Biblii zasadami równości i braterstwa – chcieli mieć wpływ na sprawowanie władzy (szczególnie na wybór duchownych). Kwestionowali zasadność danin na rzecz szlachty oraz Kościoła. Niektóre ich hasła brzmią aktualnie i dziś – m.in. prawo do korzystania z zasobów naturalnych Ziemi: lasów, rzek, pastwisk. „Lato krwi i ognia" nie jest jednak „historią ludową", Roper nie idealizuje powstańców i nie przykłada współczesnych miar do tamtych wydarzeń. Zadaje natomiast wiele intrygujących pytań, jak choćby to, czy motorem wielkich buntów jest desperacja. Czy przeciwnie, ludzie chwytają za broń, kiedy mają coś do stracenia i rodzi się świadomość, że ich nadzieje na poprawę losu nie mają szans realizacji.

TOMASZ TARGAŃSKI

Mniszki i piwowarki

Anna Brzezińska, **Cierpliwe Genowefy, bezwstydne Magdaleny. Przewodnik po średniowieczu zwykłych kobiet**, Marginesy, Warszawa 2026, s. 530

Lubię sposób, w jaki Anna Brzezińska pisze o kobietach z przeszłości. W tej książce opowiada o tych, które są ledwie widoczne w źródłach, czyli nie o królowych, świętych i wielkich fundatorkach, lecz o kobietach zwyczajnych, pozostających na marginesie oficjalnej historii. Zamiast klasycznej syntezy proponuje 50 mikrobiografii rozgrywających się między IX a XV w. Każdy rozdział rozpoczyna się od konkretnej osoby i wydarzenia – uczennicy z Essen marzącej o nocnej lekturze, mniszki z Watton, która szukała miłości, kobiety broniącej Jerozolimy przed Saladynem. Są tu także lekarki, piwowarki, notariuszki, przestępczynie i konkubiny. Te pozornie drobne historie tworzą wielobarwny obraz średniowiecza widzianego z kobiecej perspektywy. Autorka rozprawia się z uproszczeniem, jakoby średniowiecze było epoką powszechnego ucisku kobiet, pokazując ich świat pełen sprzeczności, indywidualnych wyborów i doświadczeń. Siłą książki jest umiejętność wydobywania opowieści z najskromniejszych nawet źródeł. Brzezińska potrafi z kilku odnotowanych zdań stworzyć fascynującą opowieść, nie przekraczając przy tym granic wyznaczanych przez źródła. Jednocześnie stale przypomina, jak fragmentaryczna jest nasza wiedza o przeszłości kobiet.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Pożegnanie i powitanie

Paweł Dybicz, **Pożegnanie z Polską Ludową. Rozmowy o schyłku PRL i narodzinach III RP**, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2026, s. 394

Ale to był pomysł! Przepytać ludzi z najwyższej półki władzy z ostatnich lat Polski Ludowej, jak mianowicie się z nią żegnano. Jak podkreśla profesor Paweł Dybicz, który prowadzi te rozmowy, zbiór nie jest przypadkowy. Wszyscy partyjni, blisko centrum władzy, świetnie poinformowani. W 1989 r. byli ważni, potem wielu znalazło się na marginesie, poza aktywną polityką, ale dla niektórych III RP okazała się łaskawa, choćby dla Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera. Jak wynika z zapisanych rozmów, im dalej od 1989 r., tym więcej refleksji i dystansu, a mniej emocji. A też łatwiej jest odróżnić to, co obiektywne, od tego, co subiektywne czy przyporowe, to, co długofalowe, od tego, co doraźne.

15 obszernych rozmów świetnie poprowadzonych, głęboko wnikających w czas pożegnania PRL i powitania III RP. Zwłaszcza że na pytania odpowiadają też ci, którzy niejako zawodowo zajmowali się opisywaniem rzeczywistości społecznej i politycznej, choćby Janusz Reykowski, Jerzy Wiatr. A już zwłaszcza Andrzej Werblan, kiedyś ideolog partyjny, „utrwalacz" władzy ludowej, który potrafi fascynująco analizować dzieje PRL.
Tak więc świetny pomysł, świetna książka, która poszerza naszą wiedzę o plus minus roku 1989 i o ludziach tamtej elity władzy.

WIESŁAW WŁADYKA

Bitwa przegrana, książka wygrana

Michał A. Piegzik, **Bitwa na Morzu Koralowym. Japońska ofensywa i pierwsza w dziejach bitwa lotniskowców**, Znak Horyzont, Kraków 2026, s. 446

Polscy autorzy mają długą tradycję pisania o zmaganiach Amerykanów z Japończykami w czasie drugiej wojny światowej. Dzięki książce Michała A. Piegzika mają również swój wkład w tę literaturę, bo nie ma się co okłamywać, że wcześniejsze propozycje dla czytelników były mocno odtwórcze. Piegzik swoją książką zawstydzić mógłby pewnie samych Japończyków. Na potrzeby tej pracy nauczył się języka japońskiego, swoje odsiedział w archiwach. Można odnieść wrażenie, że autor wie o tej bitwie więcej niż ci, którzy nią dowodzili, co po przeczytaniu książki w zasadzie się potwierdza. W efekcie miłośnicy bitew morskich dostają dwudaniowy obiad z deserem. Jakby tego wszystkiego było mało, autor odrobił lekcję, jak pisać o historii nie tylko szczegółowo, ale też interesująco. Z samą historią bitwy też rozprawił się ciekawie. Choć wydawałoby się, że wszystko już zostało napisane. Dopiero po rozłożeniu na części pierwsze widać, co zawiodło, jak również co nie mogło się udać. W tej kropli widać zresztą ocean wcześniejszych błędów, które przyczyniły się do ostatecznej przegranej Japończyków. Oni sami nie mogliby tego napisać, tak jak sami nie dostrzegali własnych błędów i nie potrafili z nich wyciągać wniosków.

JULIUSZ ĆWIELUCH

© MP (4)

eprasa.pl 4a128c0fe4

BIAŁA PLAMA CZARNEGO LĄDU

W sprzedaży

KUP TERAZ

148 stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 4a128c0fe4

serial

KWPW w akcji 4/6

Kumpele na zabój (Ride or Die), twórcy serii: Tessa Coates i Matt Miller, 8 odc., Prime Video

Judith i Debbie przyjaźnią się od ćwierćwiecza i rozumieją w pół słowa, a jednocześnie przez ten cały czas Judith skrywa przed przyjaciółką sekret: tak, jest biegłą księgową, ale także płatną zabójczynią o pseudonimie Whiptail – od nazwy jaszczurki, która w polskim tłumaczeniu brzmi Biczogon i tak też zostało w serialu (a pseudonim Judith pada tu gęsto). Bohaterka, zapewne dlatego, że nie zna poczucia humoru Polaków, za swój największy problem uważa to, że odkąd skończyła 50 lat, jej szefowie zaczęli w niej widzieć KWPW – Kobietę W Pewnym Wieku – i grożą emeryturą. Debbie za chwilę znajdzie się w podobnej sytuacji, choć tu pierwsze skrzypce odegra jej niewdzięczny mąż parlamentarzysta. A zaraz się okaże, że obu zagraża kolejne, jeszcze większe niebezpieczeństwo i prawdziwej emerytury mogą dożyć tylko zjednoczone. „Kumpele na zabój" to komedia akcji w sam raz na letnie wieczory – upalne czy deszczowe, w obu przypadkach sprawdzi się jako rozrywka nieskomplikowana, operująca znanymi schematami, ale dorzucająca też coś od siebie. To coś to wciąż mało eksplorowany przez kino i telewizję temat przyjaźni dojrzałych kobiet. Tu stoi ona w centrum historii, a dwie charyzmatyczne gwiazdy w głównych rolach, Brytyjka **Hannah Waddingham**, której sławę przyniosła rola w „Tedzie Lasso" (hitowy serial Apple TV wraca 5 sierpnia), i Amerykanka **Octavia Spencer** (m.in. Oscar za rolę w filmie „Służące"), dają tej opowieści chemię, energię i poczucie humoru. Za resztę odpowiadają akcje rodem z Bonda, pościgi przez pół Europy (w tym luksusowym pociągiem), albańska mafia, tajemnicza organizacja szkoląca i wynajmująca płatnych zabójców (a właściwie zabójczynie) oraz Interpol.

ANETA KYZIOŁ

film

Esej na wyrost 3/6

Ostatni konsjerż, reż. Gastón Solnicki, prod. Austria, Argentyna, 78 min, w kinach od 31 lipca

Arthouse'owe kino, w którym **Willem Dafoe** personifikuje rozmaitych ekscentryków, stało się w zasadzie osobnym gatunkiem filmowym. Niestety, choć znakomity aktor zwykle jest przekonujący, ostateczne efekty rzadko zapadają w pamięć. „Ostatni konsjerż" Argentyńczyka Gastóna Solnickiego nie jest wyjątkiem. W pretekstowym scenariuszu Dafoe gra Luciusa, wieloletniego menedżera wiedeńskiego hotelu InterContinental, który popada w konflikt z nowym inwestorem planującym wyburzenie budynku. Dla Luciusa hotel to całe życie, nie wyobraża sobie innej egzystencji, a jednak pozostaje niezdolny do działania w kryzysowej sytuacji i powoli traci kontakt z rzeczywistością. Solnicki nie oferuje widzom tradycyjnej narracji, w zamian daje dość osobliwe połączenie fabuły i wizualnego poematu, z elementami filmowego eseju na temat nostalgii, przemijania i poczucia straty. Leniwie toczącą się akcję (choć to określenie na wyrost) komentują i uzupełniają zza kadru monologi Luciusa oraz archiwalne zdjęcia z czasów świetności InterContinentalu. Jednak do żadnego konkretnego celu to nie zmierza. Owszem, Dafoe jest świetny (co swoją drogą szkodzi pozostałym wykonawcom, którzy na jego tle wypadają wyjątkowo sztywno), Wiedeń pięknie i w nieoczywisty sposób filmowany, lecz „Ostatni konsjerż" przypomina raczej szkic do znacznie ciekawszej opowieści.

Wybitny aktor nie uchronił widza przed ciężką próbą cierpliwości. To aż 78 minut.

JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl 4a128c0fe4

film

Narodziny herosa 2/6

Młody Waszyngton, reż. Jon Erwin, prod. USA, 122 min, w kinach od 31 lipca

Czy można wymyślić lepszy temat na obchody 250. rocznicy podpisania Deklaracji niepodległości niż młodość pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych? Pewnie nie. Jednak z pewnością można było poświęcić mu lepszy film. Na korzyść tej produkcji działa przede wszystkim to, że inne rocznicowe pomysły – zwłaszcza te forsowane przez administrację Donalda Trumpa – były połączeniem abominacji, groteski i pychy. „Młody Waszyngton" w swoim naiwnym patriotycznym uniesieniu przynajmniej jest w miarę uczciwy. Pokazuje bohatera w procesie tworzenia – to jeszcze nie jest czas wojny o niepodległość, a George Washington (**William Franklyn-Miller**) jest tu równie ambitny, co niedoświadczony. Popełnia błędy, które często kosztują życie jego towarzyszy, ale wierzy, że dostanie się na szczyt. Droga przed nim daleka i pełna upokorzeń, jak jednak pokazują twórcy, przyszły prezydent był charyzmatycznym człowiekiem, który nawet cierpiąc na dyzenterię, wstanie z łoża boleści i poprowadzi rodaków do walki o wolność. „Młody Waszyngton", wyprodukowany przez wytwórnię słynącą z fundamentalistycznego kina religijnego, ma trafić przede wszystkim do młodych amerykańskich chrześcijan o patriotycznych poglądach. I pewnie jako taki spełnia swoją funkcję, pozostając przy tym filmem jednowymiarowym i nudnym. JD

galeria

Całkiem serio 4/6

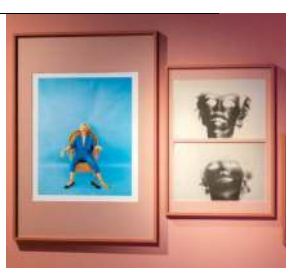

Marilyn Monroe. Czuję, że ją znam, ale czasem moje ręce wyginają się do tyłu, Krupa Art Foundation, Wrocław, do 25 października

Zaczerpnięty z „Twin Peaks" Davida Lyncha tytuł wystawy sugeruje, by szukać podobieństw między tajemnicą filmowej Laury Palmer a ścieżkami życia i kariery wielkiej gwiazdy amerykańskiego kina. Kolejne sensy dokłada kilkanaście prac młodych polskich i zagranicznych artystów krążących wokół tematyki wizerunku, jego kreowania i manipulowania nim, szczególnie w dobie internetu. Jednak niekwestionowanym bohaterem wystawy pozostają fotograficzne portrety Monroe. Te z artystycznych sesji, z filmowych planów, ale i całkiem prywatne. Wystudiowane i przypadkowe, starannie wykadrowane i niemal reporterskie. Wszystkie autorstwa Miltona Greene'a, przyjaciela aktorki, a ponoć także kochanka. Dla pokolenia wychowanego na filmach z Monroe to sentymentalna podróż w świat aktorki. Dla pozostałych – ciekawe studium przypadku gwiazdy sprzed ery sieciowego prania mózgów. Wystawa jest ciekawa, ale nie mniej interesujące są losy pokazywanych fotografii. Po śmierci Greene'a zostały przejęte za długi przez jeden z banków, a następnie wykupione przez greckiego finansistę. Ten z kolei, na skutek podejrzanych interesów, utracił je na rzecz… likwidatora niechlubnie słynnego rodzimego FOZZ. Ostatecznie ów liczący sobie ponad 3 tys. zdjęć zbiór stał się w większości własnością wrocławskiej Hali Stulecia!

PIOTR SARZYŃSKI

komiksy miesiąca

Skrawki życia

O dorastaniu w schyłkowym okresie Polski Ludowej ukazało się ostatnio kilka ważnych komiksów, ale **Maria Rostocka** w albumie **„Mały palec pod gilotynę"** (Kultura Gniewu, **5/6**) przyjmuje bodaj najciekawszą perspektywę. W drugiej połowie lat 80. jej rodzina wyjechała na kilka lat do Francji, więc na peerelowską szarzyznę Rostocka miała szansę popatrzeć z dystansu. Komiks jest więc nie tylko świadectwem zachwytu i nieustannego zdziwienia zachodnią codziennością, lecz również zapisem doświadczenia dziecka, które musi odnaleźć się w nowych dla siebie realiach. Z fragmentów wspomnień autorka układa całość mądrą, bardzo zabawną i wbrew pozorom uniwersalną – w czasach, które opisuje, marzenie o kolorowym i plastikowym Zachodzie mogło wydawać się elementem polskiej tożsamości.

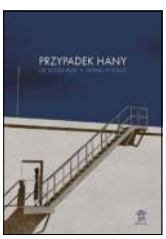

„Przypadek Hany" (**scenariusz: Lee Dong-eun, rysunki: Jeong Yi-yong,** przeł. Marta Niewiadomska, Nagle! Comics, **5/6**) zaczyna się niczym klasyczna obyczajówka – los styka dwoje ludzi, nieszczęśliwych w swoich związkach, tęskniących za bliskością. Lecz zamiast typowego romansu dostajemy opowieść o niespełnieniu, nadziei na zmiany i ranach – fizycznych i psychicznych – jakie ludzie zadają sobie wzajemnie. Hana marzy o wolności, zakochany w niej młody nauczyciel Seo nie ma w sobie jednak wystarczająco dużo odwagi, żeby porzucić dotychczasową wygodę na rzecz szczęścia. I jeszcze jest ten trzeci, zaborczy mąż Hany. „Przypadek Hany" to komiks o potężnym ładunku emocjonalnym i niemal filmowych zwrotach akcji. Scenarzysta Lee Dong-eun jest zresztą również doświadczonym reżyserem, potrafi płynnie prowadzić narrację, pisać dobre dialogi i co najważniejsze – konstruować złożone, wymykające się stereotypom postaci.

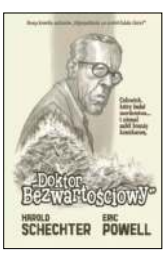

Nazwisko doktora Fredrica Werthama zna każdy, kto interesuje się historią komiksu: w latach 50. ten amerykański psychiatra dowodził, że historyjki o superbohaterach demoralizują młodocianych czytelników. **„Doktor Bezwartościowy"** (**scenariusz: Harold Schechter, rysunki: Eric Powell**, przeł. Marceli Szpak, KBOOM, **4/6**) nie skupia się jednak wyłącznie na tym aspekcie jego życiorysu, choć poświęca mu odpowiednio dużo miejsca. Autorzy nie kierowali się resentymentami, stworzyli biografię obiektywną, przybliżając osiągnięcia Werthama (i porażki) w dziedzinie psychologii kryminalnej i przypominając, także fanom komiksów, że naukowiec był człowiekiem skomplikowanym i niejednoznacznym. Bardzo ciekawa literatura faktu, niestety mniej udana jako komiks – świetne ilustracje Powella zbyt często są tu przytłoczone wielkimi blokami tekstu. JD

© PRIME VIDEO, VELVET SPOON, PATRICK REDMOND, ALICJA KIELAN, MP (3)

eprasa.pl 4a128c0fe4

Mroczne dusze 4/6

Illarion Pawliuk, **Widzę, że interesuje cię ciemność**, przeł. Iwona Czapla, Wydawnictwo Insignis, Kraków 2026, s. 560

Książka Illariona Pawliuka ukazała się w 2020 r., jednak status bestsellera w Ukrainie osiągnęła dopiero po wybuchu pełnoskalowej wojny (sam Pawliuk walczył na froncie, a potem pracował w ministerstwie obrony). W tym czasie, jak to ujął jeden z czytelników, „obojętność przestała być opcją". A bohater powieści trafia właśnie do miejsca, w którym milczenie i marazm pozwalają na nieustanne odradzanie się zła. Andrij Hajster, psycholog kryminalny o trudnej przeszłości, weteran Legii Cudzoziemskiej i wojny w Donbasie, zostaje wysłany do prowincjonalnego miasteczka, by sprofilować domniemanego seryjnego zabójcę kobiet. Tyle że Busłowy Sad żyje, jakby nic złego się nie działo. Mieszkańcy utrzymują, że nie doszło tu do żadnej zbrodni. Gdy młoda kobieta popełnia w szpitalu samobójstwo, następnego dnia nikt o tym nie pamięta, a i samobójczyni pojawia się na ulicach wyraźnie cała i zdrowa. Andrij wietrzy spisek, inni wmawiają mu szaleństwo, ale pewne jest jedno: w Busłowym Sadzie czuć jeszcze sowiecką mentalność, nowoczesność dociera tu z trudem, za to zło znalazło swoją przystań. Pawliuk czerpie inspiracje z różnych źródeł, od greckiej mitologii po Bułhakowa (choć w jednym z dialogów podkreśla, że odwołania do rosyjskiej kultury nie są dziś mile widziane), a przede wszystkim swobodnie porusza się na styku różnych gatunków – od kryminału, poprzez miejską fantasy, aż po horror. Każdy z nich pozwala eksplorować mroczne zakamarki ludzkiej duszy, przyglądać się, jaki wpływ nawet na małą społeczność ma odwracanie wzroku od zbrodni. Fantastyczny skądinąd tytuł powieści może być skierowany nie tylko do jej bohatera, lecz również do samego autora.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Życie to zły sen 5/6

Marianne Fritz, **Prawo powszedniego ciążenia**, przeł. Małgorzata Gralińska, Officyna, Łódź 2026, s. 126

Ten debiut Marianne Fritz był w 1978 r. literacką sensacją. Autorka stała się jedną z najważniejszych austriackich pisarek. A powieść czytana dziś – zaskakuje. Początek, dialogi pary Wilhelma i Wilhelminy, uśmiechacza i kalkulatorki, brzmią lekko i nic nie zapowiada właściwej siły ciążenia tej historii. Dopiero na końcu widzimy, jak to jest skonstruowane, i wracamy do początku. Staje przed nami 40-letnia Berta Ksychyk, mieszkanka Twierdzy, sali 66, szpitala psychiatrycznego. Powoli odtwarzamy historię kobiety, która próbowała uchronić siebie i dzieci przed „prawem powszedniego ciążenia": niszczącym, wykrzywiającym, sprawiającym, że nie można się rozwinąć. Berta była krucha i ufna, nie potrafiła zatrzymać straszności, w którą zaglądała w snach. Kiedy powojenna Austria się odradzała, szła ku przyszłości, Berta śniła, że jest zwłokami we własnym domu. Jej dzieci nie radziły sobie, trafiły do szkoły specjalnej, nie miały przyszłości. Berta nie wiedziała, jak uciec przed złym snem życia. Jej mąż Wilhelm – szofer, uśmiechacz i marzyciel – nie umiał zaradzić koszmarowi. Tylko Wilhelmina radzi sobie świetnie, jak tego nowa Austria wymaga, przeprowadza swój plan. Berta i dzieci są rozbitkami, wyrzutkami w świecie, który chce zapomnieć, uciec od przeszłości. Ta wstrząsająca opowieść oddaje głos tym, którzy go nie mają. I sprawia, że stajemy oko w oko z tym, czego nie chcemy widzieć. A świdrujące zdania Fritz zostają z nami na długo.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Czy jestem ładna? 4/6

Agnieszka Drotkiewicz, **Rekonstrukcja. Połowa twarzy tonie w mroku**, Osnova, Warszawa 2026, s. 150

„Rekonstrukcja" na pierwszy rzut oka może wydawać się opowieścią terapeutyczną, jest jednak przede wszystkim literaturą. To bardziej zapis poszukiwań prawdy niż piękna. „Czy jestem ładna?" – zapytała mamę, gdy miała pięć lat. „To zależy" – padła odpowiedź. – „Jesteś mądra i miła". Ewa, główna bohaterka tej historii, terminu „rozszczep wargi i podniebienia" użyła po raz pierwszy po 40. roku życia. Moment ten poprzedził szereg bolesnych operacji. Cel był jeden – pozbyć się stygmatu. Czy sam brak stygmatu to już piękno? Adam twierdził, że jest piękna. „Bylibyśmy taką dobrą parą" – mówił. Okazał się w życiu Ewy kimś ważnym. Książka nie powstałaby, gdyby pewnego dnia, w domku z widokiem na morze, nie zjadł mandarynek z jej piersi. Nie ukrywał jednak, że mógł ją dotykać tylko wtedy, gdy był pijany. Rana, jaką zadał, pachniała mandarynką, która stała się owocem zerwanym z drzewa poznania piękna i odrzucenia. Autorka, schowana pod postacią Ewy, snuje autofikcję głównie wokół pytań. Wiele z nich czytelnik mimowolnie zadaje również sobie. Nie wszyscy rodzimy się z wadą, każdy ma jednak własne pęknięcia, które opowiadają nam o nas, chcemy tego czy nie. Z padającymi tu pytaniami bohaterka nie zostaje sama, punkty odniesienia podsuwa raz po raz kultura: obrazy Lyncha i Hitchcocka, słowa Žižka i Aubyna. Celem narracji nie jest poszukiwanie ukojenia, lecz prawdy doświadczenia. Tytułowa rekonstrukcja okazuje się sięgać głębiej niż sama blizna czy tkanka. Gra toczy się o poczucie godności.

AMELIA SARNOWSKA

© JULIA JUPITER/WYDAWNICTWO STAREGO LWA, LWÓW, KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM, SANATORIUM DŹWIĘKU, CHRISTIAN BELGAUX, BBC, PRIME VIDEO, MP (3)

eprasa.pl 4a128c0fe4

festiwale

Klasyka na luzie

2. Break in Classic, Otwock Wielki, 31 lipca–2 sierpnia

Pomysł na nowy festiwal autorstwa dwóch popularnych artystów, kontratenora **Jakuba Józefa Orlińskiego** i pianisty crossoverowego **Aleksandra Dębicza** już podczas pierwszej, zeszłorocznej edycji zdobył ogromną popularność i właściwie do przyjazdu nań nie potrzeba zachęcać – bilety rozchodzą się jak świeże bułeczki. Kulinarne skojarzenie nie jest całkiem od rzeczy, bo ta plenerowa impreza ma też strefę gastronomiczną, ale przede wszystkim liczy się tu muzyka, prezentowana w sposób bezpretensjonalny, na luzie, z wdziękiem i fantazją. Tu na koncerty przychodzi się po prostu dla przyjemności. A przy tym poziom wykonawczy jest wysoki. Obaj dyrektorzy artystyczni wystąpią dwukrotnie z Orkiestrą Kameralną Miasta Tychy AUKSO; zespół ten będzie też towarzyszył świetnemu wiolonczeliście, kompozytorowi i improwizatorowi Marcinowi Zdunikowi, a także wybitnemu mandoliniście Aviemu Avitalowi, który sprawił, że ten instrument powrócił na muzyczne salony. Gwiazdorem muzyki barokowej jest skrzypek Théotime Langlois de Swarte, który wystąpi ze swoim zespołem Le Consort. Do tego jeszcze żeński sekstet wokalny Lyyra, poruszający się między gatunkami holenderski zespół Fuse, a także Vision String Quartet z Berlina oraz oscylujący między szkockim folkiem i jazzem mariaż zespołów Manchester Collective i trio Fergusa McCreadie.

DOROTA SZWARCMAN

Szczegóły: **breakinclassic.pl**

Afekt rodzi efekt

Sanatorium Dźwięku 2026: Sekretny Element Zapłonu, Sokołowsko, 6–9 sierpnia

Międzynarodowy festiwal sztuki dźwięku, organizowany już po raz 12. w Sokołowsku, jak zawsze ma temat przewodni. Tym razem brzmi on trochę jak nazwa magicznego artefaktu: Sekretny Element Zapłonu. Chodzi jednak nie o artefakty, tylko o afekty – takie, które są impulsem dla procesów społecznych i kulturowych. „Interesuje nas moment, w którym pasje rozgrzewają się do punktu zapłonu, napięcia narastają aż do granic wypalenia, a żar staje się motorem przełomu" – opisuje ten fenomen Robert Piotrowicz, kurator imprezy. Dźwięk swoją intensywnością i siłą potrafi podgrzewać emocje do wysokiego poziomu. Może to być śpiewana wspólnie pieśń, ale Sanatorium Dźwięku szuka raczej form eksperymentalnych, które taki stan wywołują. Wśród zaproszonych gości są w tym roku m.in. spektakularny w występach na żywo Robin Fox i doskonale wpisujący się w tegoroczne hasło Rashad Becker. Będą wątki organowe: kolektyw Gamut Inc. pracuje z komputerowo sterowanymi organami piszczałkowymi, a Miłosz Kędra wyprowadza organy poza kontekst sakralny za sprawą przenośnego instrumentu własnej konstrukcji. Spośród polskich muzyków pojawią się jeszcze m.in. Qba Janicki, Artur Rumiński, **Kamil Piotrowicz** i **Tymek Papior** oraz Zofia Hołubowska. A ważnym elementem tej edycji będzie seria wydarzeń poświęconych zmarłemu Gerardowi Lebikowi, wieloletniemu animatorowi Sanatorium Dźwięku.

BARTEK CHACIŃSKI

Szczegóły: **sanatoriumofsound.com**

nie przegap

Festiwal Filmu i Sztuki BNP Paribas Dwa Brzegi, Kazimierz Dolny, 1–9 sierpnia

Na jubileuszowej 20. edycji festiwalu, w niezmiennie pięknych okolicznościach przyrody, będzie można m.in. przedpremierowo obejrzeć nowe dzieła Almodóvara, Zwiagincewa czy Mungiu, a także wysłuchać rozmów Grażyny Torbickiej, dyrektorki imprezy, z polskimi gwiazdami, m.in. z Anną Dymną, bohaterką cyklu „I Bóg stworzył aktorkę". Oprócz tego odbędą się retrospektywy reżyserskie **Joachima Triera** i Jana Komasy, a Marcin Dorociński i Wojtek Mazolewski w wydarzeniu balansującym między koncertem, performansem i spektaklem zreinterpretują Witkacego.

JW

Line of Duty – Wydział wewnętrzny, BBC First i BBC Player, od 6 sierpnia

Sierżant Steve Arnott (**Martin Compston**) odmawia wzięcia udziału w tuszowaniu strzelaniny z udziałem jego macierzystej jednostki i za karę trafia do wydziału antykorupcyjnego. Tak się zaczyna jedna z najlepszych telewizyjnych produkcji kryminalnych, chwalona także za wiarygodność i nieschlebianie brytyjskiej policji. Finał najnowszej, szóstej serii oglądało na żywo w Wielkiej Brytanii prawie 13 mln widzów. BBC First (a później BBC Player) pokaże wszystkie sezony, a zacznie w ramach trwającego całe wakacje pasma „Zabójczo Dobre Lato", w którym można obejrzeć także inne brytyjskie kryminały.

AK

I Swear, reż. Kirk Jones, różne platformy VOD

Bardzo udana, rozpięta między czarną komedią a dramatem psychologicznym biografia Johna Davidsona, brytyjskiego aktywisty, dzięki któremu wzrosła społeczna świadomość na temat zespołu Tourette'a. Zresztą zdarzyło mu się przeklinać nawet w obecności Elżbiety II, co królowa przyjęła ze zrozumieniem. A dzięki fantastycznej roli **Roberta Aramayo** (znanego m.in. z „Gry o tron" i „Pierścieni władzy") film ani na chwilę nie zamienia się w kpinę z choroby. Aktor za swój występ został uhonorowany nagrodą BAFTA – może nieco nieoczekiwanie, lecz z pewnością zasłużenie.

JD

eprasa.pl 4a128c0fe4

Matt Damon jako nolanowski Odyseusz cierpi na zespół stresu pourazowego i ma zaniki pamięci

Dokąd wraca Odys

Oczekiwano spektaklu, otrzymaliśmy kulturowy wstrząs. „Odyseja" Christophera Nolana bije rekordy kasowe, pobudza masową wyobraźnię i wywołuje jedną z najgorętszych debat ostatnich lat.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

W weekend otwarcia „Odyseja", przy gigantycznym budżecie 250 mln dol. (plus szacunkowo drugie tyle na promocję), zarobiła aż 264,1 mln dol. (124,5 mln w Ameryce i 139,6 mln na świecie) – więcej niż dotąd największe hity Brytyjczyka: „Mroczny Rycerz powstaje" (249 mln dol.) oraz „Mroczny Rycerz" (198 mln dol.). Globalnie wartość sprzedanych biletów w sieci IMAX też wypadła imponująco i wyniosła 51,8 mln dol., co daje wynik prawie o połowę lepszy od poprzedniego filmu Nolana, oscarowego „Oppenheimera".

Homerycka ekranizacja ugruntowała pozycję Nolana jako reżysera, który potrafi przyciągać tłumy nawet przy budzącej skrajne emocje, niemal trzygodzinnej produkcji, która nie jest częścią znanych franczyz. Jego „Odyseja" wywołała do tablicy historyków, ale sprowokowała do obejrzenia i zajęcia stanowiska także tych, którzy oryginału nie czytali, przyczyniając się do odrodzenia kina jako wspólnotowego rytuału, współczesnego odpowiednika dawnego zbiorowego recytowania i wysłuchiwania eposu.

Przy okazji zaroiło się od specjalistów od późnej epoki brązu, wojny trojańskiej i schyłku ery mykeńskiej. Tropiciele odstępstw od homeryckiego oryginału punktują w internecie dzieło Nolana za zbroje wyglądające jak „kostiumy cosplayowe" czy połączenie stroju Batmana z hełmem korynckim. Za wojowników nadużywających mieczy, podczas gdy w tamtym okresie podstawową bronią była włócznia, zresztą znacznie krótsza niż to, co widzimy na ekranie. Postaci noszą spodnie, których nie używano wtedy w basenie Morza Egejskiego, oraz skórzane buty, podczas gdy ówcześni żołnierze walczyli głównie boso. No i te drakkary wikingów z błędną liczbą wioślarzy na sekcję oraz niehistorycznymi nadbudówkami.

Nie podoba się też wybrana przez reżysera szara i ciemna kolorystyka, kłócąca się z historyczną wiedzą o barwnym świecie antycznym. A także brak rozmachu, który ma sprawiać, że kunsztowna praca kamer IMAX wydaje się zmarnowana na bardzo poprawne, ale mało kreatywne ujęcia. Słychać narzekania, że Troja została przedstawiona w sposób nazbyt skromny, przypominający gruzowisko lub małe miasto kupieckie, co odbiera opowieści epickość.

Łagodniejsi w opiniach są zawodowi recenzenci (89 proc. pozytywnych ocen na filmowych portalach). Ich szacunek budzi m.in. inscenizacyjny kunszt „Odysei", precyzja, z jaką zrealizowane są sekwencje morskie, czy surowość mitycznych krajobrazów, które pozbawiono cyfrowego wygładzenia. Gdy jednak dochodzą do konstatacji, że Nolan niemal całkowicie zrezygnował z elementów fantastycznych na rzecz psychologicznej dosłowności, a także

© MELINDA SUE GORDON/UNIVERSAL STUDIOS (2), UNIVERSAL STUDIOS

eprasa.pl 4a128c0fe4

Tropiciele odstępstw od homeryckiego oryginału wytykają reżyserowi, że wojownicy są ukazani w anachronicznym rynsztunku oraz że nadużywają mieczy, a podstawową bronią była wtedy włócznia. Protesty wywołało też obsadzenie ciemnoskórej Lupity Nyong'o w roli Heleny Trojańskiej (fot. poniżej)**.**

zmienił strukturę narracyjną oryginału, porzucając część epizodów znanych z eposu na rzecz skupienia się na wewnętrznych dylematach bohaterów, sprawy zaczynają się mocno komplikować. Okazuje się, że problematyczne może być wszystko.

Jak zwykle przy tego typu historycznych freskach (przypomnijmy niedawną burzę wokół „Napoleona" Ridleya Scotta, a już we wrześniu czeka nas wrzawa wokół serialowej i filmowej adaptacji „Lalki" Prusa), spory wokół „Odysei" ujawniają nie tyle stan wiedzy o starożytności, ile współczesne fobie, polityczne pęknięcia i poziom resentymentu, jaki budzą próby ruszenia świętości.

Gdy 3 tys. lat temu nieznany nam z imienia poeta (lub poeci) zanotował opowieść o powracającym spod Troi królu Itaki, nie mógł przypuszczać, że jego dzieło stanie się kamieniem węgielnym zachodniej cywilizacji. W obecnych sporach o film Nolana odbijają się dzisiejsze wojny kulturowe, ścierają się nie tylko różne wizje antyku, ale przede wszystkim odmienne wyobrażenia o tym, czym dziś powinno być kino i szerzej – kultura.

Epos zmierzchu

Przed premierą największe emocje wywoływały decyzje castingowe. W mediach społecznościowych zagotowało się, gdy ogłoszono, że w rolę Heleny Trojańskiej (a także jej siostry bliźniaczki Klitajmestry) wcieli się kenijska aktorka Lupita Nyong'o. Wpływowy prawicowy podkaster Matt Walsh oraz Elon Musk uznali to za dowód upadku zachodniej cywilizacji. Musk ogłosił, że Nolan „zbezcześcił »Odyseję«" i zapowiedział na X własną, lepszą: „Przed końcem roku Grok Imagine wygeneruje pełnometrażową »Odyseję«, która będzie nie tylko historycznie poprawna, ale też zgodna z duchem Homera".

Wyboru ciemnoskórej aktorki broni na Facebooku pisarka i publicystka Manuela Gretkowska, argumentując, że to nie akt politycznej poprawności, ale artystyczny zabieg, który wydobywa uniwersalne doświadczenie uprzedmiotowienia kobiet: „»Kobieta jest murzynem świata« – śpiewał Lennon. Pełnoprawnym człowiekiem w starożytnej Grecji był wyłącznie wolny mężczyzna. Kobiety traktowano jak towar". Za to krytyczka „Time'a" Stephanie Zacharek czuje niedosyt. Według niej role Nyong'o „są niemal niezauważalne, wręcz trzecioplanowe, niczym cukierki, które reżyser może hojnie rozdawać. Powinniśmy pochwalić Nolana za odwagę w doborze obsady, ale wynik wydaje się symboliczny i z pewnością odwrotny do zamierzonego".

Z kolei greccy komentatorzy i dziennikarze wyrażali głębokie rozczarowanie faktem, że w filmie opartym na fundamentach ich kultury nie obsadzono żadnego greckiego aktora w istotnej roli. Zarzucili Nolanowi „imperializm kulturowy" i sprowadzenie ich narodowego eposu do amerykańskiego produktu. Prof. Marek Węcowski, autor wydanej właśnie monumentalnej pracy „Homer na nasze czasy" (wywiad w POLITYCE 30 i wideopodkast „POLITYKA o historii"), który obejrzał film w Atenach, wskazuje jednak na istotny niuans: starożytni Grecy sami nie mieli jednego wyobrażenia o wyglądzie swoich mitycznych bohaterów. Homer opisywał świat, który dla jego słuchaczy był równie fantastyczny jak dla nas świat Harry'ego Pottera.

Kolejnym punktem zapalnym okazała się nolanowska wizja dzieła Homera. Znani z wyważonych na ogół opinii i rzetelności dziennikarze „New Yorkera" zarzucili reżyserowi, że zamiast wiernie zekranizować Homera, stworzył własną, uwspółcześnioną wersję pozbawioną ducha antycznego eposu. „To adaptacja Homera, w której reżyser ukazuje współczesnego, bliskiego widzowi Odyseusza, zamiast próbować zrozumieć starożytny świat na jego własnych warunkach" – pisze czołowy krytyk magazynu Richard Brody. Według niego Matt Damon gra Odyseusza jako szorstkiego, praktycznego taktyka, a nie energicznego i pomysłowego, moralnie dwuznacznego intryganta, chełpiącego się swoimi podstępami. Zniknął homerycki humor (słynna scena z „Nikim" w jaskini Polifema została wycięta), zniknęła erotyka (związek Odyseusza z Kalipso sprowadzono do aseksualnego niemal współżycia), zniknęli bogowie jako aktywni uczestnicy wydarzeń.

„Nolan usuwa ten konflikt, każąc Mattowi Damonowi cierpieć na coś w rodzaju zespołu stresu pourazowego, przez co traci pamięć. Nie wie, że ma żonę, dziecko i królestwo, więc tylko dlatego może sobie pozwolić na przyjemności u boku Charlize Theron. Prawdziwy ojciec nigdy nie dałby się przez siedem lat ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ rozpieszczać pięknej blondynce. To tania sztuczka, która nie wywyższa bohatera, tylko go umniejsza" – grzmi Jan Küveler w niemieckim „Die Welt". Historyk starożytności prof. Raimund Schulz z Bielefeld dodaje do tego zarzut jeszcze bardziej fundamentalny: „Nolanowski Odyseusz to skruszony, pełen wyrzutów sumienia bohater, który przeżywa rozterki już podczas wojny trojańskiej i cierpi na syndrom stresu pourazowego. To współczesna interpretacja, która nie ma nic wspólnego z Homerem. Odyseusz Homera, choć ma na sumieniu wszystkich swoich towarzyszy, nie zna żadnych wątpliwości". Co więcej – zauważa Schulz – Odyseusz Homera, mordując zalotników Penelopy, zabija całą lokalną młodzież szlachecką za jednym zamachem. Nie da się tego nazwać inaczej niż rzezią. Konsekwencje własnych czynów w ogóle go nie obchodzą.

To nie są drobne różnice interpretacyjne. Tu ścierają się dwa radykalnie odmienne porządki wartości: starożytny etos honoru, w którym zemsta jest cnotą, a okrucieństwo wojenne nie budzi wyrzutów sumienia, oraz współczesna wrażliwość, która każe nam widzieć w Odyseuszu przede wszystkim człowieka straumatyzowanego i szukającego odkupienia.

Jak działa pamięć

Krytyka Nolana nie ogranicza się do kwestii obsady i wierności duchowi oryginału. Większość historyków potwierdza liczne anachronizmy: kształty tarcz, użycie hełmów chalcedyjskich czy pancerzy typu musculata, pochodzących z okresu klasycznego, a nie mykeńskiego, typy broni. Wszystko to świadczy ich zdaniem o niedbałości reżysera lub o jego ignorancji.

Cytowany już prof. Marek Węcowski w odpowiedzi przypomina, że Homer budował swą wizję dawnych czasów z elementów pamięci historycznej wciąż żywej w jego epoce, korzystając z każdego dostępnego mu materiału. Jego eposy pełne są niespójności i anachronizmów – ale to właśnie czyni je żywymi. I tak samo dzieje się u Nolana. Zachwycony wizją Nolana jest także Paweł Goźliński, dziennikarz i redaktor. W mediach społecznościowych dowodzi, że reżyser potraktował Homera jak partnera do rozmowy i sam okazał się w niej godnym partnerem Homera. Bierze bohaterów, epizody, motywy, czasem nawet pojedyncze rekwizyty – nie tylko z „Odysei", ale także np. z „Eneidy" – i buduje z nich nowy system znaczeń. Kluczowym przykładem jest lotos. U Homera pułapka, która sprawia, że towarzysze Odysa zapominają o domu, u Nolana lekarstwo na ból istnienia i traumę. Podobnie Kirke – u Homera czarodziejka zamieniająca żołnierzy Odysa w świnie, u Nolana zmęczona walką o przetrwanie kobieta, która wypowiada jedno z najlepszych zdań filmu: „Ja ich nie zmieniłam. Wydobyłam z nich to, kim są". Ten epizod przestaje być opowieścią o magii, stając się historią o wojnie i męskiej przemocy. Zdaniem Goźlińskiego te nowe znaczenia i konteksty zostały wydobyte z tego, co nazywa WHMS – „wszechświatem homeryckich możliwości sensu".

Największą zmianą, jaką Nolan wprowadza w swoim filmie, jest przesunięcie akcentu z epickiej przygody na dramat psychologiczny i moralny. Odyseusz zwycięża dzięki własnej inteligencji, ale właśnie ta inteligencja prowadzi go do moralnej katastrofy. Koń trojański przestaje być namacalnym dowodem jego pychy. Staje się grzechem założycielskim całej opowieści. Bo teraz nie chodzi już o to, jak wrócić do domu. Chodzi o to, czy po czymś takim w ogóle można do niego wrócić. To nie jest – zastrzega Goźliński – tragedia w starożytnym rozumieniu, tylko taka, która niejako wchłania całe wielowiekowe spory o naturę tragiczności i morze historycznych tragedii. Odys się ofiarowuje. Być może dla odkupienia?

Krytycy zarzucali Nolanowi, że usunął bogów z fabuły. Węcowski, historyk starożytności i homerolog, przewrotnie dostrzega w tym zabiegu głęboką znajomość antyku. Podkreśla, że dokładnie to samo robi Homer. Inaczej niż współcześni mu i późniejsi greccy poeci, twórca eposu oddziela nadprzyrodzoną sferę poematu od ludzkiej, żeby wydobyć samotność bohatera i tragizm jego losu. Gniew Posejdona, owszem, prześladuje Odysa, ale bohaterowie poematu nie widzą swoich bóstw, nie spotykają się z nimi osobiście, a na pewno nie obcują z nimi cieleśnie i nie płodzą z nimi dzieci. Tak dzieje się w całej greckiej i później europejskiej tradycji, ale nie u Homera! Nolan – upiera się Węcowski – wiernie oddaje tę homerycką zasadę, choć robi to w swoim języku filmowym.

Raper aojda

W sporach o Nolana chodzi o coś więcej niż sam film – o samo pojęcie i zasady adaptacji i o to, jak rozumieć dziedzictwo kulturowe. Czy Homer to kanoniczny tekst, który powinno się odtwarzać wyłącznie z pietyzmem? Czy może to żywy materiał, z którego każda epoka może czerpać na swój sposób? Nie są to pytania odkrywcze ani przełomowe, powracają zawsze, gdy dochodzi do zderzenia wielkich oczekiwań, podstaw tradycji i rozbuchanych ambicji artysty uzurpującego sobie prawo do własnej interpretacji, a nie do bycia sługą klasyki. Nie do wszystkich jednak to dociera.

Powtórzmy: Grecy sami nieustannie przepisywali Homera. A kolejne epoki w tym procesie ciągle coś dodawały, zmieniały, reinterpretowały. Nolan miał tego świadomość i nie zamierzał tworzyć wiernej ekranizacji. Chciał zrobić przystępny film – w wywiadzie dla „The New York Times" żartobliwie przywoływał „Gwiezdne wojny" – ale też taki, który będzie poruszał ważne także dziś kwestie i zostawiał widza z pytaniami. „Odyseja" Nolana to historia żołnierza wracającego – w wymiarze fizycznym i psychologicznym, a także społecznym – z wojny. Jeszcze niedawno dla wielu widzów byłaby to opowieść historyczna czy abstrakcyjna, dziś już nie.

Funkcję łącznika między antykiem a współczesnością pełni u Nolana raper Travis Scott w roli aojdy. To rodzaj nawiązania do oralnej tradycji przekazywania eposów. Reżyser postrzega współczesną kulturę hiphopową jako analogiczną do sposobu, w jaki poematy Homera funkcjonowały pierwotnie – były to pieśni recytowane i przekazywane z pokolenia na pokolenie. Postać grana przez Scotta pojawia się na początku filmu jako anonimowy bard, który zaczyna opowiadać historię zwycięstwa Odyseusza pod Troją w sali pełnej drwiących słuchaczy, znudzonych już starymi opowieściami. Scott jest też współautorem (wraz z Ludwigiem Göranssonem) wyśmiewanej przez internautów piosenki towarzyszącej napisom końcowym. Złośliwcy uznali to za marketing mający na celu przyciągnięcie młodszej widowni lub za element niszczący powagę epickiego dzieła. Jak rapowana „Dumka na dwa serca" w filmie o Kresach – ironizowali rodzimi blogerzy.

Wbrew pozorom nolanowski epos nie daje prostych, hollywoodzkich pocieszeń. Przypomina, czym była pierwotna pieśń homerycka – nie lekturą szkolną, ale wspólnym, wstrząsającym rytuałem, po którym wraca się do domu z poczuciem, że dotknęło się czegoś głębokiego i ważnego. To film o cenie, jaką się płaci za złamanie zasad wspólnoty, i o tym, że nawet z podziwianego zwycięstwa można wrócić jako duch pośród ruin własnego świata.

Więc arcydzieło czy porażka? Każdy widzi to, co chce zobaczyć. A dyskusja, którą ta filmowa „Odyseja" wywołała, jest już częścią naszej kultury, tak jak dzieło Homera.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 4a128c0fe4

Lubię być niewidzialna

Szukam sytuacji pomiędzy fikcją a realnością – mówi Agata Grzybowska, fotoreporterka, ale też autorka fotosów filmowych, m.in. ze „Strefy interesów" czy „Hamneta".

© STANISŁAW CUSKE

Agata Grzybowska na planie „Hamneta" Chloé Zhao

MAGDALENA GORLAS: **– Jako fotoreporterka społecznych zmian i konfliktów wojennych została pani fotografką na planach zagranicznych filmów. Jak to się stało, że z barykad trafiła pani na czerwony dywan?**

AGATA GRZYBOWSKA: – Można powiedzieć, że przez przypadek. Miałam właśnie wyjeżdżać na wojnę w Ukrainie, kiedy dostałam mail ze Stanów Zjednoczonych z pytaniem, czy chciałabym pracować przy „Strefie interesów", najnowszym filmie Jonathana Glazera. Tego samego dnia zadzwoniła do mnie Ewa Puszczyńska, polska producentka filmu, i zadała mi to samo pytanie. Ona z kolei zobaczyła moje zdjęcia na Instagramie i bardzo jej się spodobały. Ewa to taka moja, powiedzmy, filmowa matka. Później poleciła mnie jeszcze m.in. do pracy na planie „Ojczyzny" Pawła Pawlikowskiego. Przy „Strefie interesów" okazało się, że Jonathan Glazer właśnie rozpoczynał plan i testy zdjęciowe w Oświęcimiu. Nie chciał tradycyjnego fotosisty ani fotosistki na planie filmowym, tylko kogoś, kto miałby doświadczenie w fotografowaniu konfliktów wojennych. Obejrzał moje zdjęcia i wybrał mnie.

A jakie jest pani doświadczenie fotografowania konfliktów wojennych?

Nie jestem fotografką wojenną. Zawsze mam problem z tym, kiedy ktoś mnie tak nazywa. Bardziej interesuje mnie kontekst wojny, bo ciekawi mnie człowiek w stanie granicznym. Bez względu na okoliczności. Tak samo było na wojnie domowej w Syrii czy w Ugandzie, gdzie robiłam zdjęcia prześladowań społeczności LGBTQ. Po drodze były jeszcze Liban czy Haiti oraz wyjazdy z organizacjami humanitarnymi. Od 2013 r., czyli od początku protestów i rewolucji na Majdanie, nieustannie jeżdżę do Ukrainy. Od tamtego momentu czułam, że tę historię trzeba będzie opowiadać dalej, jednak jeżdżę do Ukrainy z przerwami na inne zdjęcia i historie fotograficzne.

Taką przerwą był wyjazd w Bieszczady i projekt „9 bram, z powrotem ani jednej"?

Tak. Miałam taki moment w życiu, że rzeczy działy się za szybko. Ciągle przerzucałam się w różne sytuacje. Pracowałam z organizacjami humanitarnymi, ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ a na własną rękę lądowałam nagle na linii frontu wśród batalionów. Przestałam wiedzieć, jak mam te wszystkie historie opowiadać. I chociaż praca fotoreporterki jest dla mnie najważniejsza, to jednocześnie jest to też praca na granicy własnej wytrzymałości, która niesie za sobą potworne konsekwencje. Przyszedł taki dzień, kiedy zdałam sobie sprawę, że muszę odpocząć. Dodatkowo waliło się wtedy moje życie osobiste. Poczułam, że muszę jak najszybciej uciekać. Wsiadłam w samochód i w drogę, czyli spakowałam się i uciekłam w Bieszczady. Dosłownie.

Na długo?

W sumie na ponad pół roku, na te najcięższe w tym regionie jesienno-zimowe miesiące. W Bieszczadach znalazłam samotność i ciszę. O to mi chodziło. Po pewnym czasie zaczęłam się bliżej przyglądać samotności i ucieczkom innych ludzi. Interesowało mnie, dlaczego niektórzy zostawili wszystko i wyjechali w Bieszczady, porzucając swoje dotychczasowe życie, rodziny. Magdalena Osuchowska, jedna z bohaterek projektu „9 bram, z powrotem ani jednej", zostawiła męża oraz syna. Wsiadła na konia, przejechała na nim 700 km i dotarła w Bieszczady. Zakochała się w dolinie i postanowiła stamtąd nie wracać. Są też inni bohaterowie oraz ich historie, z których powstała książka fotograficzna.

Z tej bieszczadzkiej samotności wróciła pani prosto do Ukrainy?

Nie od razu. Dużo czasu spędzałam na czarnych protestach kobiet w Polsce w reakcji na zaostrzenie ustawy antyaborcyjnej. To był czas pandemii i jednocześnie moment, w którym na chwilę się zatrzymałam. Po protestach wróciłam na wojnę w Ukrainie. Kiedy dostałam propozycję ze „Strefy interesów", najpierw znowu tam pojechałam – bo trwała wojna i miałam już zaplanowany wyjazd. Po powrocie od razu trafiłam na plan filmowy.

Strefa wojenna i plan filmowy to dwa różne światy.

Tak, z jednej strony rzeczywistość, a z drugiej plan filmowy, czyli fikcja. W jednym świecie fotografujesz prawdziwy ból, rozpacz, utratę ludzi, a w drugim te emocje są po prostu często zagrane. Mój sposób pracy pozostał jednak niezmienny. Zawsze, bez względu na miejsce i okoliczności, staram się uchwycić ten moment, w którym widać prawdę. Zanim trafiłam na plan „Hamneta", widziałam dziesiątki osób, które przeżyły śmierć własnego dziecka. Cierpienie po śmierci dziecka filmowej Agnes aktorka Jessie Buckley zagrała doskonale prawdziwie. I to chcę na tych zdjęciach pokazać – prawdę. Dla mnie ważne jest fotografowanie, znajdowanie sytuacji pomiędzy fikcją a realnością. Nie zawsze się to udaje.

„Ci, którzy zostali" – zdjęcie z reportażu Agaty Grzybowskiej o Ukrainie. Obok: **jej fotosy ze „Strefy interesów"**

Jakie oczekiwanie miał w takim razie Jonathan Glazer na planie „Strefy interesów"?

Nie mówił mi, jak mam fotografować. Na samym początku wspólnej pracy powiedział, że mam absolutnie nie powtarzać kamery, że on nie chce widzieć kadrów jeden do jednego. I nie chciał, żeby mu przeszkadzano. To była dla mnie idealna sytuacja, bo lubię być niewidzialna. To mi też bardzo pomaga w pracy, szczególnie na planach filmowych.

Jesse Eisenberg, reżyser „Prawdziwego bólu", też nie chciał, żeby mu pani przeszkadzała?

Już nie do końca. Przy tym filmie dostałam wskazówki od produkcji, która się zajmowała później także promocją, że oni chcą zdjęcia takie bardziej jak portrety. Może nie do końca ustawiane, mocno jednak skupione na postaciach. A ponieważ na planie pracowałam w konkretne dni, nie było to dla mnie zadanie ani łatwe, ani komfortowe. Po tej produkcji zdałam sobie sprawę, że nie chcę pracować w taki sposób. Kiedy pojawiam się na planie jedynie w poszczególne dni, nie jestem w stanie nawiązać kontaktu z aktorami czy aktorkami, nie mogę też wejść w fabułę. Ja muszę się przyzwyczaić do sytuacji, nieważne, czy to jest film, czy moja praca dokumentalna. Jestem z natury introwertyczką, więc robienie zdjęć jest dla mnie również codzienną walką ze sobą, z przełamaniem się do rozmowy z ludźmi, z ośmieleniem się na podniesienie aparatu do oka.

Praca na planie „Hamneta" była już chyba bardziej komfortowa, bo zakończyła się powstaniem książki fotograficznej?

Tak. I to było niesamowite. Chloé Zhao pierwszego dnia na planie przyszła przywitać się ze mną i powiedziała: „Robisz, co chcesz". Chciała jedynie, żebym sfotografowała to, co jest niewidoczne i niewidzialne, a nie kopię kadrów. Dzięki temu chyba najlepiej udało mi się oddać ducha planu i całej historii. To, że opowiadana historia była fikcyjna, szybko stało się drugorzędne. Dla mnie to była opowieść o życiu – miłości, narodzinach dziecka,

Agata Grzybowska (ur. 1984 r.) – fotografka, dokumentalistka, artystka wizualna. Autorka książek: „9 bram, z powrotem ani jednej" oraz „Even as a Shadow, Even as a Dream". Ambasadorka Leica Camera Poland. Podróżuje po świecie, dokumentując losy osób znajdujących się w trudnych, często zagrażających życiu sytuacjach, od kilku lat pracuje też jako fotosistka na planach filmowych.

eprasa.pl 4a128c0fe4

Jonathana Glazera oraz „Ojczyzny" Pawła Pawlikowskiego.

śmierci, stracie, żałobie, rozpadzie miłości, o bliskości. Chloé poprosiła też, aby aktorzy spisywali swoje sny. Jessie Buckley codziennie rano zapisywała kilka stron. Reżyserka część z tych zapisków włączyła nawet do scenariusza. A pod koniec wszystkie notatki zebrała, opatrzyła ilustracjami i tak powstała ręcznie robiona książka, notes Agnes Shakespeare. To był bardzo piękny obiekt. I wtedy Chloé wymyśliła książkę fotograficzną „Even as a Shadow, Even as a Dream". A później zdjęcia, które się w niej znalazły, miały też swoją wystawę w londyńskiej galerii.

Czuje się pani odpowiedzialna za to, jak pokaże ludziom na swoich zdjęciach film, który dopiero będą mieli szansę zobaczyć?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Nie wiem, czy czuję odpowiedzialność, bardziej to, że muszę i chcę wykonać swoją pracę jak najlepiej. Dostarczyć zdjęcia, które będą bardzo dobre pod względem technicznym i narracyjnym, które będą coś ze sobą nieść, jakąś historię. Jeśli mi się to uda, jestem zadowolona ze swojej pracy.

Na planach filmowych fotografuje pani znanych aktorów, w tym hollywoodzkie gwiazdy. Robi to na pani wrażenie?

I tak, i nie. Wiedziałam oczywiście, kim jest Emily Watson, ale ponieważ nie znałam Jessie Buckley i Paula Mescala, nie uległam wielkiej ekscytacji, że obcuję ze sławami. Pracowałam jak zwykle i te same rzeczy były jak zwykle ważne, czyli to, żeby być blisko ludzi, blisko ich emocji. Muszę się jednak przyznać, że kompletnie nie rozpoznałam Jennifer Grey na planie „Prawdziwego bólu".

Główna aktorka kultowego „Dirty Dancing"! Nie widziała pani filmu?

Widziałam. Mało tego, Jennifer od początku była dla mnie bardzo miła, mówiła, że lubi moje zdjęcia, i nawet zaobserwowała mnie na Instagramie. Pisałam o tym z planu do mojej partnerki, a ona mi odpisała, że jak to możliwe, żebym nie kojarzyła Jennifer Grey właśnie z kultowego „Dirty Dancing". Teraz już będę zawsze wiedzieć, kto to jest.

Kolejnym planem filmowym była „Ojczyzna" Pawła Pawlikowskiego, która niedawno miała premierę.

To tam się dowiedziałam, jak wygląda praca tradycyjnego fotosisty. Paweł Pawlikowski powiedział mi jedynie, że jego poprzedni fotosista stał zawsze przy kamerze. Nie mówił, co mam robić, jak mam fotografować. Po prostu mogłam się skoncentrować na tym, co umiem robić najlepiej, czyli obserwowaniu, przyglądaniu się i szukaniu obrazów.

W „Ojczyźnie" zagrała Sandra Hüller, aktorka, która wystąpiła także w „Strefie interesów". To miało jakieś znaczenie dla pani pracy?

Ogromne, bo już się z Sandrą znałyśmy, więc ona wiedziała doskonale, kim jestem, jakie zdjęcia robię. Sandra darzy mnie dużym zaufaniem, wobec tego mogę być naprawdę blisko niej, widzieć wszystko, a to dla mnie duże ułatwienie i komfort. Wydaje mi się, że obie się bardzo lubimy i bardzo szanujemy swoją pracę. Jest genialną aktorką, ale też lubię z nią po prostu siedzieć i rozmawiać. Zawsze jednak staram się pracować w dialogu ze wszystkimi na planie.

A zdarzały się pani sytuacje konfliktowe, bo zwyczajnie ktoś uznał, że pani na planie „przeszkadza"?

Oczywiście, ale nie wiem, czy nazwałabym to sytuacjami konfliktowymi. Czasem zdarza się, że drugi reżyser prosi mnie o usunięcie się, albo widzę, że swoją obecnością przeszkadzam reżyserowi czy aktorowi, wówczas po prostu znikam. Lubię być blisko planu i sytuacji, która się rozgrywa, ale nie za cenę ich komfortu. Chodzi mi o to, że jeśli dźwięk migawki ma zniszczyć coś, co aktor czy aktorka budują wspólnie z reżyserem i resztą osób z ekipy na planie filmowym, to wtedy nie można nacisnąć spustu. Bardzo często nie robię zdjęć, czasem po prostu jestem, uczestniczę w sytuacji, która rozgrywa się na moich oczach, a zdjęcia robię po.

Robiła pani zdjęcia na planach filmów hollywoodzkich i obsypanych Oscarami. Jednak w samym Hollywood jeszcze pani nie była?

Nie. I nie wiem, czy odnalazłabym się na planie wielkiej produkcji. Nie robię zdjęć komercyjnych, nie rozpycham się na planie, tylko na odwrót, staram się być niewidzialna. Zawstydza mnie fotografia, która zwraca na siebie uwagę. I zbyt dużo by mnie to kosztowało. Wolę się ukryć.

ROZMAWIAŁA MAGDALENA GORLAS

© AGATA GRZYBOWSKA (4)

eprasa.pl 4a128c0fe4

Barykada z Mitoraja

W toskańskim miasteczku Pietrasanta otwarto Muzeum Igora Mitoraja. Ale to nie we Włoszech, tylko nad Wisłą odżyła z tego powodu dyskusja, czy uhonorowano wielkiego rzeźbiarza, czy może producenta kiczu.

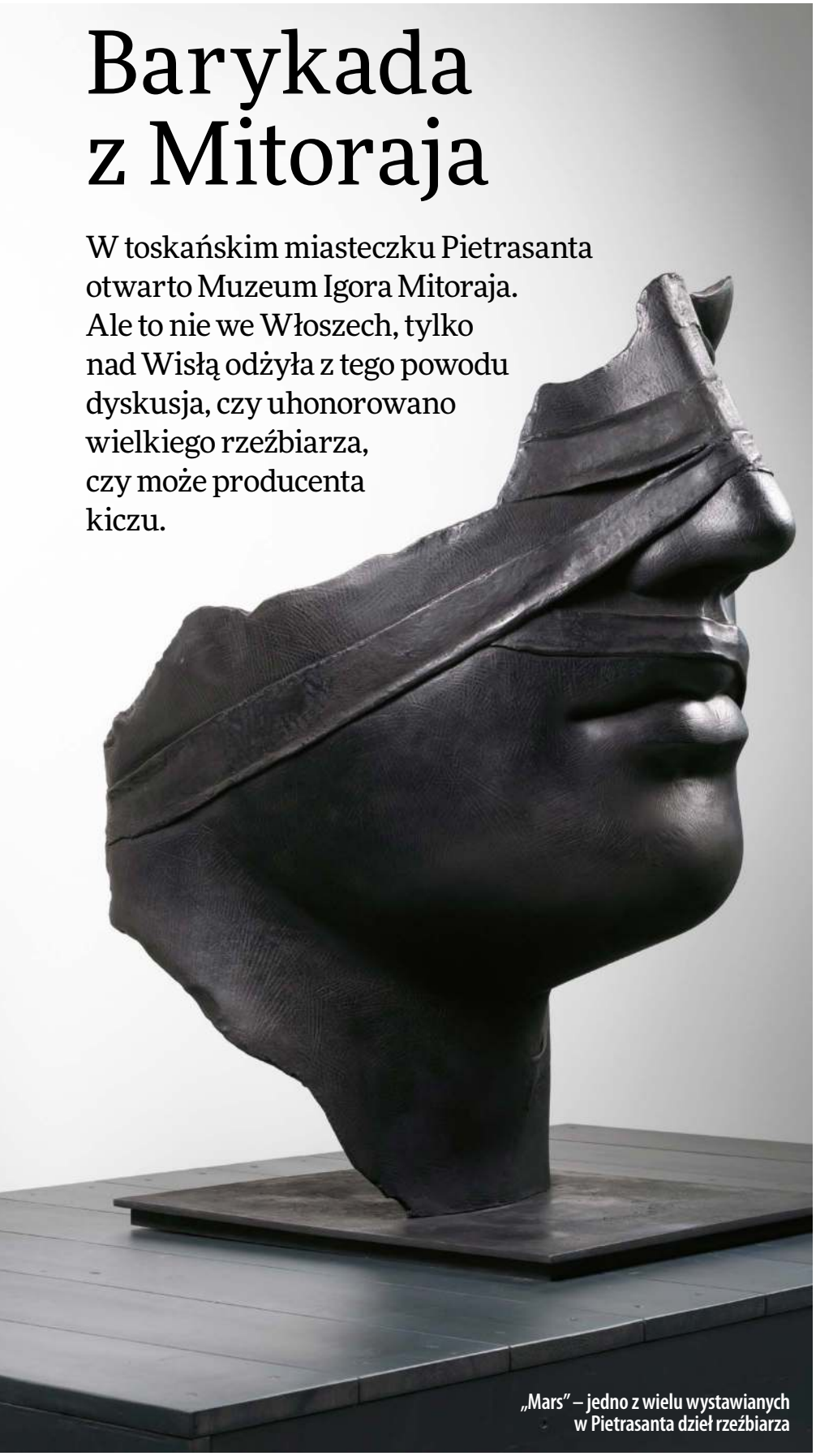

„Mars" – jedno z wielu wystawianych w Pietrasanta dzieł rzeźbiarza

PIOTR SARZYŃSKI

Czy to się nam podoba, czy nie, stał się Mitoraj w ostatnich dekadach – jeszcze za życia, ale i po śmierci – swoistym papierkiem lakmusowym osobliwości polskiej sceny sztuki współczesnej. Teoretycznie bardzo nowoczesnej, trzymającej międzynarodowe standardy. W praktyce ujawniającej wiele z naszych narodowych przywar i słabości.

Na świecie prace Mitoraja od dawna zdobiły miejskie place, parki, muzea i salony zamożnych kolekcjonerów. Czyli służyły z grubsza temu, do czego zostały stworzone. Efektowne, nieodmiennie nawiązujące do antyku, sugerujące rozległe i erudycyjne konteksty intelektualne i emocjonalne, podkreślały siłę korzeni śródziemnomorskiej cywilizacji oraz tragiczne skutki jej zanikania. Torsy bez głów, obandażowane popiersia, poodrywane skrzydła, spękane ciała, amputowane kończyny. Niekończąca się opowieść o kulturze, która nas kształtowała, a teraz, okaleczana, broni się resztkami sił. Szlachetne przesłanie, efektowne wykonanie, precyzyjny warsztat artystyczny. Stworzone, by się nimi zachwycać.

Tymczasem w Polsce okazały się doskonałym materiałem przede wszystkim do budowania barykad, po których obu stronach mocno okopali się zwolennicy różnych wizji sztuki. O ile bowiem w większości cywilizowanych krajów obowiązuje niepisana, ale zasadniczo przestrzegana zasada, że każdy twórca ma prawo do uprawiania własnego artystycznego ogródka, o tyle nad Wisłą przyjęło się, że ogródek jest jeden, a wstęp doń z motyką (a raczej pędzlem i dłutem) jest reglamentowany i pilnie strzeżony. Barykady zaś służą temu, by te najważniejsze ogrody sztuk zabezpieczyć przed odwiedzinami niepożądanych gości.

Kanonada związana z rzeźbami Igora Mitoraja okazała się jedną z najgłośniejszych. Ale przecież nie pierwsza to tego typu fortyfikacja, wokół której w polskiej sztuce toczyły się boje. Podobną zbudowano swego czasu wokół dorobku Zdzisława Beksińskiego, Franciszka Starowieyskiego, Jerzego Dudy-Gracza, a nawet całych nurtów w sztuce, jak choćby realizmu magicznego czy tzw. sztuki Nowych Dawnych Mistrzów. Siły po obu stronach z reguły bywały podobne. Po jednej więc

eprasa.pl 4a128c0fe4

Fragment ekspozycji muzeum w toskańskim Pietrasanta. Mieści się ono w zaadaptowanej na ten cel modernistycznej dawnej hali targowej (fot. poniżej).

wpływowi, by nie rzec: mainstreamowi historycy i krytycy sztuki, dyrektorzy muzeów i publicznych galerii. Słowem – branża. Z pełnym wachlarzem postaw wobec Mitoraja. Od ignorowania i zdystansowania się, poprzez profesjonalny krytycyzm, aż po oburzenie i ledwo skrywany niesmak.

A po drugiej stronie tzw. szeroka publiczność i kolekcjonerzy. Zachwyceni i oczarowani, dający temu wyraz frekwencją na wystawach i gotowością płacenia coraz większych kwot za prace do kolekcji. Wręcz idealnie pasuje tu opinia, którą krytyk Stach Szabłowski wyraził niegdyś w odniesieniu do malarstwa Edwarda Dwurnika: „Należał do ulubionych współczesnych artystów osób, które nie interesują się sztuką współczesną". Mitoraja pokochano nie tylko za sztukę, która szeptała odbiorcy do ucha, że jest osobą wyrafinowaną i subtelną. Ujmował również tym, że roztaczał aurę wielkiego artysty i dawał do zrozumienia, że miłośnicy jego sztuki przenoszą się ponad przeciętność.

© NICOLA GNESI (3)

Igor Mitoraj wyemigrował z Polski w 1968 r., a już w latach 80. wypracował sobie w Europie (głównie we Francji i Włoszech) pozycję artysty popularnego i chętnie kupowanego. W kraju pozostawał znany w stosunkowo wąskim gronie miłośników rzeźby. Od czasu jego wyjazdu trzeba było czekać ponad ćwierć wieku do pierwszej indywidualnej wystawy. Odbyła się w 1993 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim, ale i ona niewiele zmieniła w recepcji prac artysty.

Dopiero dziesięć lat później nastąpił istotny przełom, a wokół Mitoraja od razu wyrosła potężna barykada. Sprawcę zamieszania łatwo było wskazać: to rozkochany w sztuce Mitoraja ówczesny minister kultury Waldemar Dąbrowski. Dzięki jego staraniom, wpływom i możliwościom otrzymaliśmy potężny i spektakularny rzeźbiarski festiwal, obejmujący trzy miasta: Poznań, Kraków i Warszawę. A w jego ramach okazałe wystawy plenerowe największych rzeźb w najważniejszych punktach miast i wystawy mniejszych prac ▶

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ oraz rysunków w niemniej reprezentacyjnych obiektach, jak Pałac Prezydencki czy Muzeum Narodowe. Żaden inny artysta nie miał wcześniej tak widowiskowej i z rozmachem przygotowanej fety.

Tu właśnie Mitoraj, zamiast zjednoczyć naród w zachwycie, tylko go podzielił. Mieszkańcy tłumnie odwiedzali wystawy, a entuzjazm Krakowian sprawił, że jedną z prac, monumentalnego „Spętanego Erosa", artysta w akcie wdzięczności podarował miastu. Ale do ataku ruszyli krytycy. Dorota Jarecka na łamach „Gazety Wyborczej" brutalnie oceniała te prace jako „wystygłe skorupy pseudoherosów, od których wieje raczej cmentarna niż ożywcza, śródziemnomorska bryza". Z kolei Monika Małkowska widziała w nich „estetykę kiczu" i „pokaz wtórności". Takich głosów było więcej.

Z czasem emocje opadły i tylko od czasu do czasu chwilowo odżywały w publicznym dyskursie. A to za sprawą powracającej jak bumerang dyskusji, czy rzeźba Mitoraja zdobi krakowski Rynek Główny, czy go szpeci. A to znów z powodu rekordów cenowych na aukcjach. Tylko w 2024 r. rzeźby artysty sprzedano kolejno za 6, 8, 5 i 3 mln zł. A wreszcie po śmierci artysty w 2014 r., gdy na pogrzebie nie pojawiła się żadna oficjalna delegacja z Polski, choć wcześniej prezydent RP nadał mu Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. I znowu powrócił wówczas dylemat: czy odszedł gigant dłuta, współczesny Michał Anioł, czy zdolny manipulator, który potrafił doskonale sprzedać posiadane umiejętności.

Lista zarzutów jest spora i zawiera m.in. oskarżenia o: wtórność, powtarzalność, komercjalizację (nadprodukcję), efekciarstwo, żerowanie na nostalgii, nadmierną dekoracyjność, pozory głębi, manipulowanie emocjami, unikanie kontrowersji, intelektualną pustkę, a nawet brak dialogu z miejscem czy wręcz ignorowanie otoczenia (dotyczy to dużych prac stawianych w przestrzeni publicznej). Nie brakowało także mocno brzmiących inkryminacji, jak ta o „cmentarną estetykę". Ale wydaje się, że wszelkich krytyków najbardziej bolało, choć nie wyrażali tego publicznie, że miłośnicy dorobku Mitoraja z tak wielkim zaparciem tkwią w swym uwielbieniu. Że wielbiony jest Mitoraj (oraz Olbiński, Yerka, Siudmak itp.), a nie Bałka czy Opałka. Bo to oznaczało fiasko ich popularyzatorskich starań.

Sferyczne dzieło Igora Mitoraja „Grande Notturno" na wystawie czasowej „Mistrzowie rzeźby w Pabianicach" w Afloparku

„Ikar uskrzydlony" – rzeźba artysty przed Centrum Olimpijskim w Warszawie

© BARTOSZ BOBKOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

O ile kolejne fale ataków płynęły głównie z Polski (choć pojawiali się także obrońcy, jak prof. Adam Myjak), o tyle na świecie obchodzono się z dorobkiem Mitoraja o wiele łagodniej. Ba, zyskiwał nawet sojuszników wśród mających mocną międzynarodową pozycję historyków sztuki. Amerykanin Donald Kuspit pisał: „to głęboka, ponowoczesna medytacja nad stratą, cierpieniem i rozpadem ideałów". Wtórował mu jeden z najbardziej wpływowych włoskich historyków sztuki Giovanni Carandente, zapewniając o „chirurgicznej dekonstrukcji antyku". Z kolei Jean Clair, wieloletni dyrektor Muzeum Picassa w Paryżu, widział w dorobku Mitoraja „szlachetny i samotny opór wobec chaosu współczesnej kultury". A poza tym fanem jego twórczości i przyjacielem był m.in. reżyser legenda Federico Fellini.

Przede wszystkim jednak dzieła artysty podobały się zwykłym odbiorcom i efektownie prezentowały się w przestrzeni publicznej. Nic dziwnego, że przez całe życie Mitoraj pracowicie wypełniał zamówienia na kolejne rzeźbopomniki składane przez władze miast, inwestorów budujących reprezentacyjne biurowce czy deweloperów. Dziś można sobie wręcz podróżować tropem jego prac: Rzym (m.in. wrota

eprasa.pl 4a128c0fe4

© ANDRZEJ ZBRANIECKI/EAST NEWS

do zaprojektowanej przez Michała Anioła Bazyliki Matki Bożej), Mediolan, Paryż, Londyn, Lozanna, Walencja, ale też, poza Europą, m.in. Tokio, Atlanta, St. Louis. Jedną z najbardziej spektakularnych lokalizacji jest ta w sycylijskiej miejscowości Agrigento. W 2011 r. w tamtejszej antycznej Dolinie Świątyń zorganizowano wystawę 18 wielkoformatowych rzeźb Mitoraja, rozlokowanych na półtorakilometrowej trasie. Pozostała po niej już na stałe jedna praca: monumentalny „Upadły Ikar".

Dochodzimy do ostatniego etapu narodowego sporu o Mitoraja: otwarcia poświęconego artyście autorskiego muzeum. Pietrasanta to urocza mieścina w Toskanii, niewielka, ale o potężnym znaczeniu dla rozwoju rzeźby, a to z racji znajdujących się tam złóż marmuru. Oczywiście historią najchętniej przypominaną jest fakt, że z ich zasobów regularnie korzystał sam Michał Anioł, który ponoć osobiście nadzorował prace przy pozyskiwaniu odpowiednich bloków budulca.

Rzeźbiarzy, którzy czasowo lub na stałe mieszkali w Pietrasanta, korzystając z dobrodziejstw jego natury, było wielu. Swój dom i pracownię posiadał tu słynny kolumbijski mistrz Fernando Botero, Japończyk Kan Yasuda oraz Włoch Pietro Cascella, autor m.in. Pomnika Ofiar Faszyzmu w Oświęcimiu. Tu bywali regularnie tacy tytani sztuki XX w., jak Joan Miró, Henry Moore, Jean Arp, a nawet zajmująca się rzeźbą w późniejszych latach życia aktorka Gina Lollobrigida, której efektowna „Esmeralda" zdobi jeden z tutejszych placów.

Mitoraj osiadł w Pietrasanta w 1985 r. Kupił w centrum miasta duży dom z obszerną pracownią i silnie związał się z miasteczkiem, pozostawiając w nim kolejne artystyczne ślady. W 1995 r. przy centralnym placu stanęła rzeźba „Centaur", w nawie Kościoła św. Augustyna znajduje się płaskorzeźba „Zwiastowanie", a w miejskim ratuszu – freski. Muzeum imienia Mitoraja powstało w zaadaptowanej na ten cel modernistycznej dawnej hali targowej. Kosztowało 17 mln euro, a w ekspozycji znalazło się 70 rzeźb artysty oraz liczne szkice, modele, projekty. To, po Muzeum Stasysa w litewskim Poniewieżu, druga tego typu placówka na świecie.

Tuż po otwarciu dziennikarz „Rzeczpospolitej" Jan Bończa-Szabłowski napisał na Facebooku: „Nie ma oficjalnego przedstawicielstwa Polski na otwarcie muzeum polskiego artysty Igora Mitoraja. Instytut Adama Mickiewicza ma powody do wstydu". I niemal natychmiast odpowiedziała mu prof. Maria Poprzęcka: „Nie ma powodu do wstydu". I tak rozpoczął się kolejny narodowy bój o rzeźbiarza.

Można powiedzieć, że na gruncie sztuki dawnej większe różnice w gustach pojawiają się już coraz rzadziej. Tu arbitrzy sztuki i jej konsumenci osiągnęli jakie takie porozumienie. Im jednak bliżej teraźniejszości, tym barykady bardziej potężnieją. Naród ciągle jeszcze, mimo stu lat szalejącego modernizmu, wysoce sobie ceni w sztuce, także najnowszej, takie walory, jak warsztat, temat, wysoki współczynnik emocji lub treści. Tymczasem branża zasadniczo obstaje przy nowatorstwie, oryginalności, koncepcie, potencjale krytycznym itd. Dla pierwszych idolem będzie rzeźbiący kolejnych upadłych herosów emigrant Mitoraj, dla drugich – malujący kolejne liczby emigrant Roman Opałka. A gdyby tak wysadzić barykady i na jednej wystawie połączyć obu tych artystów?

PIOTR SARZYŃSKI

REKLAMA

W rocznicę
wielkiej wystawy
śląskiej sztuki
średniowiecznej

31.07 –
30.12.2026

Pawilon Czterech Kopuł
Muzeum Sztuki Współczesnej
Oddział Muzeum Narodowego we Wrocławiu

GOTYK W POLSCE

Projekt Gotyk w Polsce realizowany w latach 2026–2027 przez Muzeum Narodowe we Wrocławiu, Muzeum Narodowe w Poznaniu oraz Zamek Królewski na Wawelu

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Patronat honorowy
Marta Cienkowska
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 4a128c0fe4

Tom Hiddleston (ur. 1981 r.) – brytyjski aktor teatralny i filmowy, absolwent prestiżowej Królewskiej Akademii Sztuki Dramatycznej (RADA). Międzynarodową sławę przyniosły mu tytułowa rola w serialu „Nocny recepcjonista" (nagrodzona Złotym Globem) i rola Lokiego w filmowo-serialowym uniwersum Marvela. Regularnie powraca na sceny londyńskiego West Endu, a także występuje w kinie autorskim, m.in. w filmach Jima Jarmuscha, Guillermo del Toro czy Kennetha Branagha. „Pompeje: podróż w czasie z Tomem Hiddlestonem" można oglądać na kanale National Geographic.

Wolę szukać nisz

Aktorstwo wyzwalało iskrę wyobraźni, której szukałem w historii – mówi Tom Hiddleston, gwiazda filmowa, serialowa i teatralna, a także narrator serii dokumentalnej o Pompejach w National Geographic.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Zacznijmy od pańskiego najnowszego projektu dla National Geographic. W trzyczęściowych „Pompejach" nie wciela się pan w klasyczną postać, lecz staje się przewodnikiem po historii. Co pana skłoniło do zaangażowania się w tak nietypowy format?**

TOM HIDDLESTON: – To wynik mojej wieloletniej pasji oraz splotu wydarzeń zawodowych. Wszystko zaczęło się od wakacyjnej podróży do Pompejów w 1998 r. z dwoma kolegami. Poczułem się tam, jakbym dosłownie cofnął się w czasie. Doświadczenie okazało się na tyle silne, że podjąłem wtedy decyzję o studiowaniu filologii klasycznej i przez trzy lata zgłębiałem literaturę, historię, filozofię oraz systemy polityczne starożytnej Grecji i Rzymu.

Kariera naukowa pana jednak ominęła.

Nauczyciele akademiccy bardzo mnie do niej namawiali. Badanie historii dlatego jest ciekawe, że pozwala nam odnaleźć samych siebie. W pewnym momencie zrozumiałem, że mogę osiągnąć to szybciej jako aktor, grając w sztukach Szekspira, wcielając się w bogów, potwory, królów czy poetów – dzięki unikatowej perspektywie, której nie oferuje sucha analiza danych. Aktorstwo wyzwalało iskrę wyobraźni, której szukałem w historii. Co nie znaczy, że zainteresowanie starożytnością kiedykolwiek we mnie osłabło. Podczas kręcenia sceny w serialu „Loki" osadzonej w Pompejach z taką pasją mówiłem po łacinie, że producent Kevin R. Wright dostrzegł we mnie idealnego partnera i zaproponował udział w nowym przedsięwzięciu.

Wasz serial nie opowiada o zniszczeniu, tylko o wytrwałości i ratowaniu ludzkich istnień w obliczu katastrofy.

Historyków i aktorów łączy to, że zajmują się chodzeniem w cudzych butach, czyli wyobrażaniem sobie życia innych w oparciu o ciągłe odkrywanie i reinterpretację faktów. I taką właśnie metodę „zatrzymywania czasu" i analizowania faktów na bieżąco zastosowaliśmy w naszej opowieści o Pompejach. M.in. dzięki niej i skupieniu się na codzienności, człowieczeństwie mieszkańców: rzemieślników, piekarzy czy właścicieli firm, udało nam się obalić kilka mitów. Okazało się np., że – wbrew popularnym przekazom, utrwalanym choćby przez filmy katastroficzne – podczas erupcji Wezuwiusza w 79 r. lawy było stosunkowo niewiele. To, co faktycznie zniszczyło Pompeje i Herkulanum, to ogromne ilości magmy i fragmentów skał wyrzucanych w powietrze, a następnie potoki piroklastyczne (złożone z gazów wulkanicznych, popiołów i okruchów skalnych, zwane też chmurami gorejącymi – przyp. red.), rozgrzane do kilkuset stopni Celsjusza i pędzące z prędkością 200 mil na godzinę.

W porządku, ale spójrzmy na pana filmografię: Szekspir, Jarmusch, Spielberg, del Toro, wielkie uniwersum Marvela. I nagle – serial edukacyjny,

© NATIONAL GEOGRAPHIC, LANDMARK MEDIA/ALAMY/BE&W, DISNEY/BE&W

eprasa.pl 4a128c0fe4

z założenia skrojony pod masowego, młodszego widza. Po co panu takie doświadczenie? Nie miał pan poczucia, że stawia sobie poprzeczkę trochę za nisko?

Wprost przeciwnie. Uważam, że edukacja to w ogóle najwyższa możliwa poprzeczka, zwłaszcza dzisiaj, w epoce totalnego szumu informacyjnego i krótkich form wideo, które drenują naszą pamięć. Znalezienie formy, która przekaże skomplikowaną prawdę historyczną i ludzki dramat, i jednocześnie przykuje uwagę nastolatka, nie obrażając jego inteligencji, to jest wyższa matematyka. Poza tym, wie pan, ja mam w sobie gen nauczyciela – oboje moi rodzice kładli potężny nacisk na edukację, sam studiowałem w Cambridge. Pompeje zawsze mnie fascynowały. To nie jest po prostu opowieść o wulkanie i popiele. To lekcja kruchości cywilizacji oraz nostalgiczny powrót do czasów młodości, gdy jako 16-latek pierwszy raz podróżowałem do Włoch. Kiedy patrzy się na ludzkie szczątki, figury zastygłe w swoich codziennych gestach, dociera do nas, że ich lęki były identyczne z naszymi. Nie uważam tego za obniżenie poprzeczki. To raczej użycie mojego nazwiska jako wabika, by młody człowiek, zamiast kolejny raz scrollować TikToka, spojrzał przez chwilę w głąb historii, poczuł empatię dla zwykłych mieszkańców Pompejów, takich jak piekarze czy rzemieślnicy, dzięki czemu też przywróci się im należną godność.

Skoro mówimy o kruchości i ostateczności: w filmie „Życie Chucka" w reż. Mike'a Flanagana jest ta niesamowita scena, w której grany przez pana bohater w obliczu nieuchronnego końca świata po prostu tańczy na ulicy z nieznajomą dziewczyną. Oglądając to, zastanawiałem się, na ile ten taniec był czystą, szaleńczą improwizacją aktorską?

(*śmiech*) O, to były trzy minuty najczystszego terroru w moim życiu! Mike Flanagan napisał w scenariuszu: „Chuck zaczyna tańczyć z niespotykaną witalnością". I tyle. Reszta należała do mnie i do cudownej tancerki Annalise Basso. Przez kilka tygodni katowałem się próbami z choreografem, bo jestem aktorem, który z natury musi wszystko przeanalizować, rozłożyć na czynniki pierwsze. Ale kiedy stanąłem na ulicy, a Mike krzyknął: „Akcja!", stało się coś dziwnego. Perkusja zaczęła grać, a ja poczułem, że jeśli będę myślał o krokach, ta scena umrze. Musiałem całkowicie wyłączyć mózg. To była improwizacja wewnątrz pewnych ram. Ten taniec musiał być uwalniający. Dla faceta takiego jak ja – wiecznie spiętego, kontrolującego każdy gest – to było jak skok na bungee.

A jak pan w ogóle interpretuje ten moment? Co ten specyficzny wybuch radości w cieniu apokalipsy miał zakomunikować widzowi?

Dla mnie ta scena to esencja tego, co Stephen King zawarł w swoim opowiadaniu. Wokół nas rozpada się świat – dosłownie i w przenośni – a Chuck decyduje, że jedyną rzeczą, jaką może przeciwstawić nicości, jest celebracja chwili. To nie jest taniec ignorancji, tylko akt buntu: „Wiem, że przegramy, ale ta sekunda należy do nas". W kinie utonęliśmy w cynizmie i postapokaliptycznym mroku. „Życie Chucka" proponuje coś innego: naiwną, czystą wiarę w to, że piękno ma sens, nawet jeśli zaraz zgaśnie światło.

Ten film zasadza się na filozoficznym koncepcie, że każdy człowiek nosi w głowie własny wszechświat, który umiera wraz z nim. Kiedy przypomina pan sobie swoje role, czuje pan, że ocalił kawałek własnego mikrokosmosu, czy raczej patrzy na te filmy jak na cmentarze dawnych wcieleń?

To dotyka sedna tego, czym w ogóle jest ten zawód. Z jednej strony to potworne, melancholijne uczucie. Patrzę na siebie sprzed 15 lat w „Czasie wojny" Spielberga i widzę chłopaka, którym już nie jestem. Tamten Tom nie istnieje, jego komórki się wymieniły, naiwność wyparowała. W tym sensie kino to fabryka duchów. Ale z drugiej strony jest w tym jakaś przedziwna pociecha. Zostawiamy ślady. Kiedyś mój syn – dziś jest jeszcze maleńki – obejrzy te filmy i zobaczy, jak jego ojciec myślał, jak się poruszał, co go fascynowało. Aktorstwo to próba oszukania czasu. Niekiedy nieudana, niekiedy pretensjonalna, ale jedyna, jaką dysponuję.

Może dlatego tak regularnie ucieka pan z Hollywood z powrotem na londyńskie sceny? Teatr to azyl, gdzie aktor zachowuje pełną ▶

Scena tańca w „Życiu Chucka" w reż. Mike'a Flanagana

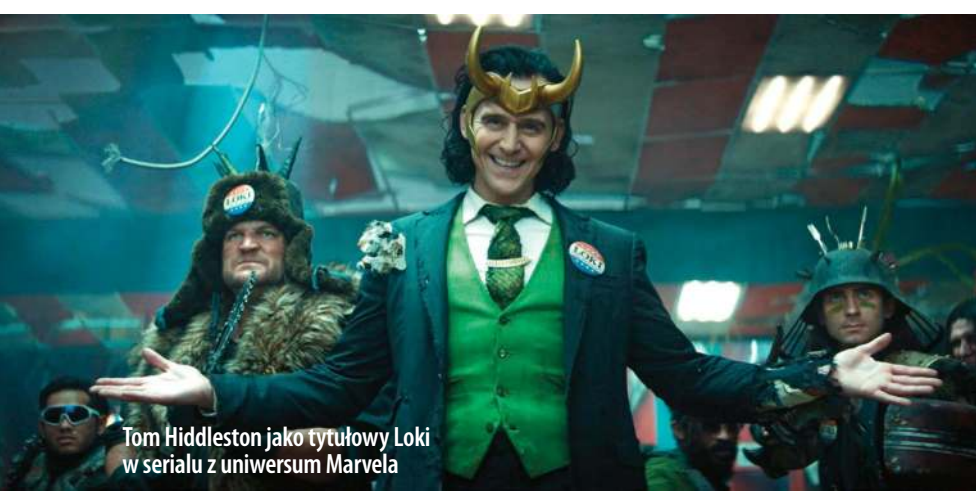

Tom Hiddleston jako tytułowy Loki w serialu z uniwersum Marvela

eprasa.pl 4a128c0fe4

▶ suwerenność, czy może mechanizm obronny – próba udowodnienia samemu sobie, że potrafi pan utrzymać uwagę widza bez zielonego ekranu i cyfrowych efektów?

Teatr to dla mnie test prawdy, absolutny detoks. W kinie, zwłaszcza blockbusterowym, aktor jest często tylko jednym z elementów gigantycznego równania, obok specjalistów od efektów specjalnych, dźwiękowców i montażystów. Możesz zagrać fatalnie, a genialny montażysta zrobi z tego wybitną kreację. I odwrotnie. W teatrze o ósmej wieczorem kurtyna idzie w górę i zostajesz sam na sam z 2 tys. ludzi. Nie ma dubli, nie ma CGI, nie ma ratunku. Jeśli kłamiesz, oni to usłyszą w sekundę. Więc tak, wracam do teatru, żeby sprawdzić, czy moje rzemiosło wciąż działa w warunkach laboratoryjnych. To nie jest defensywa, raczej potrzeba poczucia ciężaru własnego ciała i natychmiastowej wymiany energii.

My, krytycy, uwielbiamy pisać o pańskim klasycznym wykształceniu i o tym, jak szekspirowski warsztat pozwolił panu nadać Lokiemu głębię tragedii elżbietańskiej. Ale, tak szczerze, czy te szekspirowskie narzędzia naprawdę na coś się przydają, gdy stoi pan w lateksowym kostiumie z rogami przed zieloną ścianą? Nie jest to po prostu zgrabna figura retoryczna, którą my i pan sprzedajemy mediom?

Prawda leży dokładnie pośrodku. Oczywiście, opowiadanie w wywiadach, że Loki to skrzyżowanie Jago z „Otella" z Edmundem z „Króla Leara" brzmi świetnie na konferencjach prasowych i dodaje filmom komiksowym powagi, której fani tak bardzo łakną. Ale jeśli odrzucimy ten marketingowy sztafaż, to czysto technicznie... Szekspir niesamowicie pomaga przy zielonym ekranie. Dlaczego? Ponieważ dramat elżbietański był wystawiany w teatrach, w których, jak w londyńskim The Globe, nie było scenografii. Aktor musiał wyjść na pustą scenę i samym słowem, samą wyobraźnią stworzyć przed widzem burzę morską, zamek w Elsynorze albo pole bitwy pod Azincourt. Kiedy stoisz w studiu w Atlancie, otoczony jaskrawą zielenią, i reżyser mówi ci: „Tom, po twojej prawej stronie właśnie otwiera się portal do innego wymiaru, z którego wylatuje armia kosmitów", to ty nie masz nic poza swoją wyobraźnią. Musisz dokonać dokładnie tego samego skoku wiary, co aktor grający cztery wieki temu. Szekspir uczy akceptacji umowności. Bez tego stałbyś się na planie Marvela po prostu śmieszny.

Skoro dekonstruujemy mity: pańskie nazwisko od ponad dekady pojawia się w każdym możliwym zestawieniu giełdy nazwisk do roli Jamesa Bonda. Pomijając plotki, czy bycie uwięzionym w szufladzie „klasycznego brytyjskiego dżentelmena z nienagannymi manierami" to dla aktora kapitał czy balast? I czy pan kiedykolwiek rozważał tę rolę?

To interesujące, jak ta narracja zaczyna żyć własnym życiem, stając się niemal częścią twojej tożsamości, choć nigdy nie podpisałeś żadnego kontraktu. Odpowiadając na pierwszą część pytania: to jest i kapitał, i klątwa. Status „brytyjskiego dżentelmena" otwiera wiele drzwi, daje ci pewien społeczny szacunek, ale też potwornie ogranicza. Reżyserzy rzadko widzą w tobie faceta z nizin społecznych, robotnika czy psychopatę z przedmieść. Musisz bardzo ciężko pracować, żeby tę skorupę rozbić – tak jak u Jarmuscha w „Tylko kochankowie przeżyją", gdzie mój Adam był przecież destrukcyjnym, brudnym rockandrollowcem, a nie gładkim facetem w garniturze. A co do samego Bonda... który brytyjski chłopiec, dorastający na tych filmach, nie marzył o byciu 007? W pewnym momencie mojej kariery, zwłaszcza po sukcesie serialu „Nocny recepcjonista", te rozmowy w przestrzeni publicznej były bardzo intensywne i oczywiście mi to pochlebiało. Jednak plotki krążące od dekady pozostawały zawsze tylko spekulacjami. Żadna realna propozycja nie padła. Temat ten nigdy nie wyszedł poza sferę domysłów, więc trudno mi o tym nawet rozmawiać

Ale gdyby sprawa wróciła?

To się nie stanie. Mam 45 lat. Bond to nie jest po prostu rola – to franczyza, która pożera cię na dekadę. Zobowiązanie, które redefiniuje całe twoje życie prywatne i zawodowe. Myślę, że ten pociąg już odjechał, i mówię to z pełnym spokojem. Ta ikona potrzebuje teraz kogoś młodszego, kto nada jej zupełnie nowy kierunek. Ja wolę szukać nisz.

Wspomniał pan o Jarmuschu. Rola w „Tylko kochankowie przeżyją" wymagała wejścia w specyficzny, hipnotyczny, wręcz somnambuliczny rytm. Jak aktor z klasycznym wykształceniem, przyzwyczajony do tekstu i precyzyjnej struktury, odnajduje się w świecie, w którym od akcji ważniejszy jest nastrój, zawieszenie głosu i pauza?

U Jarmuscha tekst jest jak nuty w jazzie – liczy się to, co zagrasz pomiędzy nimi. Jim przed wejściem na plan powiedział mi jedną rzecz, którą zapamiętam do końca życia: „Tom, nie spiesz się. Pozwól czasowi płynąć przez ciebie". Dla aktora wychowanego na Szekspirze, gdzie słowo napędza akcję, to było absolutne tąpnięcie. Nagle okazało się, że najważniejszą sceną dnia może być to, jak siedzę na kanapie z Tildą Swinton, słucham starej płyty winylowej i po prostu patrzę, jak kurz opada w świetle lampy. Musiałem nauczyć się przestać produkować emocje, a zacząć po prostu rezonować z otoczeniem. To była lekcja minimalizmu. Przypomniała mi, że cisza na ekranie potrafi być o wiele bardziej magnetyczna niż najbardziej błyskotliwy monolog.

Rozmawiamy o wielkich reżyserach. Spielberg, Jarmusch, del Toro, Branagh – każdy z nich ma zupełnie inną metodę, każdy jest autokratą na swój sposób. Na tym etapie kariery, kiedy ma pan już status gwiazdy i komfort finansowy, jak definiuje pan zawodowe ryzyko? Czy wciąż szuka pan reżyserów, którzy mają w sobie tę bezwzględność, by pana na planie całkowicie zdekonstruować i złożyć na nowo?

Bez tego aktor umiera. Największym błędem jest wejście w strefę komfortu. Wygoda to najgorszy wróg sztuki. Bardzo łatwo jest zacząć grać Toma Hiddlestona – używać tych samych sprawdzonych trików, uśmiechów, zawieszeń głosu, które publiczność już zna i lubi. To bezpieczne i nudne. Dlatego szukam ludzi, którzy potrafią mnie zaskoczyć, zresetować moje nawyki. Kiedy pracujesz z kimś takim jak Guillermo del Toro, on wpycha cię w ramy tak gęstej gotyckiej estetyki, że musisz zapomnieć o psychologii, a stać się częścią malarskiego płótna. Z kolei Kenneth Branagh potrafi podejść do ciebie na próbie i powiedzieć: „Wiem, jak chcesz to zagrać, to zbyt proste dla ciebie. Zróbmy coś odwrotnego". Ryzyko dzisiaj oznacza dla mnie rezygnację z kontroli. Chcę spotykać reżyserów, przy których znowu poczuję się bezbronny, niemal jak student pierwszego roku, który nic nie wie o aktorstwie. Z tego poczucia braku gruntu pod nogami rodzi się czasami coś naprawdę unikatowego.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 4a128c0fe4

FELIETON

Witkowski

Ameryczka

„Ameryko, oddałem ci wszystko i jestem teraz nikim" – pisał poeta. A ja za cholerę nie wiedziałem, co też miał na myśli. Jak to „oddałem", skoro ona raczej daje? I jak to „nikim", skoro Kaczorowie, krewni pani Ani i Marka z klatki obok, już od dawna w Czikago, syci i szczęśliwi. Gdy ich dzieci przyjeżdżają na wakacje do kuzynów, to mówią, że takie bloki jak nasz to u nich regularne slumsy. Dziwią się, że tu raczej sami porządni i wypachnieni ludzie.

Był bowiem taki czas, w którym „Ameryka", na przekór kartografii, nie oznaczała kontynentu ani państwa. Była miłą marą, obłokiem z waty cukrowej krążącym nad postgierkowskim osiedlem. Jeśli dorastałeś w transformacyjnej Polsce, mogłeś nawet odnieść wrażenie, że Ameryczka to po prostu państwo ościenne. „Hej, hej, NBA!" rzucane z ekranu przez Włodzimierza Szaranowicza, „MacGyvery" i „Drużyny A" na Polsacie (co z tego, że w Stanach były już mocno przechodzonymi hitami z lat 80.), premiery kinowe, na które nie trzeba już czekać kilka lat, a jedynie kilka miesięcy. Do tego telewizja satelitarna czy kablówka, MTV i Cartoon Network. Przestaliśmy być góralami pielgrzymującymi za wielką wodę. Ameryczka była tutaj.

A jednak czasem się człowiek rozejrzał po okolicy. Targ, na którym „ruscy" (prawdopodobnie jednak Ormianie) handlują sprzętem AGD zagadkowej proweniencji. Żuk załadowany po szczyt plandeki ziemniakami. Kolega, którego nie stać na porządne buty do gry w piłkę. W Ameryce czegoś takiego nie ma, tam ludzie przeżywają przygody, a policjanci służą radą i wcinają pączki oponki (nikt nie mówił przecież „donuty"). Tęskno nam było do Ameryki, choć nie mieliśmy nawet pewności, czy istnieje. Pamiętam rozmowę z tatą z 1994 r., w której zadeklarowałem, że nie chcę być Polakiem, chcę być Amerykaninem. Pamiętam też ojcowską irytację i zatroskanie. Nie wiedziałem, o co tacie chodzi. Przecież nikt nie chce być Polakiem. Każdy chce być Amerykaninem.

> Nie oddałem ci nic, Ameryko, i bardzo dobrze. Szkoda na ciebie futbolu. O ważnych rzeczach nawet nie wspomnę.

Tym bardziej że wraz z poszerzaniem zdolności matematycznych okazywało się, że Polaka nie stać na amerykańskie rzeczy reklamowane w amerykańskich stacjach z kreskówkami. Nie wszystko jednak stracone, np. Kaczorowie wygrali wizę w loterii. Ameryka jest dobra i daje szansę. Poza tym z Ameryki jest Nirvana i Alice in Chains – nie mam już pięciu, a naście lat, nie zrobiłbym już przykrości tacie, zrzekając się obywatelstwa, ale szczerze wierzę Ameryczce. Płaczę, gdy Springsteen śpiewa „Come on, rise up!" podczas występu upamiętniającego ofiary z 11 września. Ufam wszelkim operacjom pokojowym zmierzającym do wprowadzenia ustroju demokratycznego w krajach Dzikiego Wschodu. Nie znam jeszcze Ginsberga, ale gdybym znał, nie wiedziałbym dalej, o co mu do cholery chodziło.

W końcu poznaję, w pakiecie z Bobem Dylanem i innymi Jackami Kerouacami. Na politykę Stanów nie zważam, bo gdy masz 20 lat, to wojna jest tylko terminem z podręcznika do historii. Chcę pisać i podróżować pociągiem towarowym z Maine do Kalifornii – być może takowy nie istnieje, ale co do Ameryki również nie ma stuprocentowej pewności. Zresztą nikogo ona już aż tak nie interesuje, skoro można wyjechać do Wielkiej Brytanii lub po prostu zostać u siebie. Co prawda w 2014 r. widzę w kolejce do krakowskiego konsulatu braci Golec ściskających reklamówki z dokumentami i – jak mniemam – starających się o wizę w związku z występami za Wielką Wodą. Mniemam jednak również, że nie wynika to z konieczności życiowej. Robią to raczej dla przyjemności: kto nie chciałby zagrać „Ściernisca" w Cricket Clubie w New Jersey?

Aż brudna woda wybija z instalacji, rozlewa się po posadzce. Wojna istnieje, nie trzeba też wielkich prac archeologicznych, żeby zauważyć, że w fundamentach Ameryczki jest trochę za dużo ludzkich kości. Oglądając odcinek „Rodziny Soprano", w którym rdzenni mieszkańcy próbują zablokować Columbus Day, zmieniam stronę (kiedyś byłbym za Włochami z Newark, którzy próbują utemperować „oszołomów"). W końcu trafiam do Ameryczki, pierwszy i pewnie nieostatni raz: jest rok 2024, biegam po Manhattanie. Jestem Spider-Manem, Jimmym z „Chłopców z ferajny" i Annie Hall w jednym. W duchu przyznaję się tacie do chęci zmiany obywatelstwa.

Jednocześnie jestem jednak „bardzo późnym 30-latkiem", który zna całą tę brudną wodę. Choć Nowy Jork mówi o Ameryce jeszcze mniej niż Warszawa o Polsce, widzę bezdomnych, słucham o niebotycznych czynszach od goszczących nas znajomych. Idę na mecz NBA, który przerywają konkursy typu „Kto znalazł w swoim zestawie z McDonald's magiczną frytkę?".

A teraz oglądam finał mundialu zorganizowanego przez kraj, który aktywnie wspiera ludobójstwo, prowadząc równolegle pokojowe operacje wojenne. Podczas show w przerwie meczu murawę pokrywa wielki napis „LOVE". „Ameryko, czy to w porządku?" – pytał ten sam poeta. Nie oddałem ci nic i bardzo dobrze. Szkoda na ciebie futbolu. O ważnych rzeczach nawet nie wspomnę.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 4a128c0fe4

Hartman

Lekarze bez granic

Długa i kręta była droga lekarza na wyżyny autorytetu i społecznej hierarchii. Choć już średniowiecze obdarzyło go tytułem doktora, to niewiele mógł z Galenem i Awicenną pod pachą zdziałać dla pacjentów, a nieraz i chirurg golibroda potrafił więcej od niego. W czasach prawie już naszych, gdy medycyna popłynęła na fali oświecenia, stając się *in spe* nauką (na dobre stała się nią dopiero w XX w.!), było już nieco lepiej, ale nie aż tak dobrze, by zadowolić aspiracje pani Bovary. Więcej o lekarzach literatura pozostawiła nam facecji niż chwalebnych świadectw.

Dopiero wielkie wojny i jeszcze większy przemysł XIX w. uczyniły z medycyny i z lekarskich korporacji potęgę, a lekarz wojskowy i lekarz fabryczny stali się prefiguracją lekarza państwowego, obiecanego i danego ludowi przez początkującą demokrację. Na wpół militarne systemy zdrowia publicznego, nastawione na zwalczanie epidemii i tworzenie szpitalnego zaplecza dla armii, przeistoczyły się w narodowe służby zdrowia. A nie byłoby to możliwe, gdyby nie spektakularny postęp, trwający już co najmniej półtora stulecia. Lekarze zaczęli naprawdę leczyć, a ich sztuka nabrała ceny, wymiernej finansowo i politycznie. Od stu lat żadne państwo i żadna partia polityczna pragnąca sprawować władzę nie może pozwolić sobie na zadzieranie z lekarskim establishmentem. Ba, nawet dyktatorzy muszą się z lekarzami liczyć, bo tyran też musi kiedyś zachorować.

Żadne państwo nie może pozwolić sobie na zadzieranie z lekarzami. Ba, nawet dyktatorzy muszą się z nimi liczyć.

Wszyscy staliśmy się pacjentami – rodzimy się nimi i umieramy. Całe nasze życie jest w rękach lekarzy, a ich władza sięga wnętrza naszych ciał i naszej egzystencji. Przed lekarzem nawet królowa angielska staje naga, a jego rozkazów musi słuchać nawet cesarz. Wielcy lekarze otrzymali to, co im się należało i czego pragnęli – prestiż niemal równy arystokracji i niewiele mniejsze pieniądze. Oderwali się od lekarskiej masy, która z dekady na dekadę rosła w tysięczne zastępy, niosące w skórzanych torbach bandaże zduszonych aspiracji i gorzkie zioła frustracji. Lekarski stan musiał się emancypować o własnych siłach, na przekór masom pacjentów i wywyższonej już medycznej arystokracji.

I oto wciąż jeszcze jesteśmy świadkami tego procesu. Toczy się on dwoma, częściowo rozbieżnymi traktami. Jeden wyznaczony jest przez górny lekarski etos. Drugi – przez lekarski biznes. Walczy się tu o chwałę i zyski, razem sumujące się w prestiż i szczęśliwe życie na wysokich szczeblach społecznej hierarchii. W modnej od kilku dekad eufemistycznej retoryce nazywa się to „godnością zawodu" i „godnymi zarobkami".

W dziele emancypacji nie ma granic. Nie ma niczego – ani chwały, ani zarobku – którego lekarz nie byłby godzien, skoro całym sobą służy całemu społeczeństwu. Zupełnie jak książę i kapłan! Oni też pełnią swą pokorną służbę dla dobra całego ludu, oddając się jej bez reszty. Kto zaś całym sobą służy, temu wiele się należy. Ta przewrotna figura władzy wywodzącej się ze służby, znana co najmniej od czasów Platona, przed stu laty znalazła zastosowanie również do medyków. Jak cierpienia świętych męczenników uzasadniają przepych biskupich pałaców, tak idealizm doktorów Judymów musi znaleźć godne zadośćuczynienie w „godnych zarobkach" współczesnego lekarza. Zresztą ta „historiozoficzna" i klasowa sytuacja lekarzy bynajmniej nie jest ich winą. Po prostu znaleźli się w pewnej dziejowej i społecznej sytuacji, która wyznaczyła im taką, a nie inną ścieżkę emancypacji.

Każda emancypująca się grupa musi przezwyciężyć jakiś antagonizm. W przypadku lekarzy jest nim przeciwstawność roli mędrca i rzemieślnika. Otóż lekarz – jak kapłan – jest tym, który generalnie wie lepiej. Jego czynności opierają się na mądrości, a nie samym tylko fachu. Jednocześnie lekarz jest człowiekiem czynu, mającym w ręku fach, którego nie waha się użyć i swych fachowych usług sprzedawać na wolnym rynku bądź dyktować za nie cenę dysponentom rządowego pieniądza. Bądź tu mądry i bądź tu bogaty! Jak to wszystko pourządzać, żeby i szacunek był, i autonomia, i pieniądz? Oto wyzwanie dla korporacyjnego aktywu i establishmentu.

Zwykły lekarz odczuwa to inaczej. Chce być człowiekiem jednocześnie światłym i zamożnym w całkiem osobistym, jednostkowym wymiarze. Jednakże pracując do rana do nocy, wypełniając swoje materialne aspiracje, nie ma już czasu i sił, by praktykować nieróbstwo arystokraty ducha, mitrężącego czas na czytanie książek i chodzenie do filharmonii czy teatru. Parweniuszowski ból głowy niczym uporczywa migrena dręczy światową klasę medyczną idącą dziś w miliony.

A sprawy nie ułatwia potężny nawis prestiżu sprawiający, że gdy tylko ważny lekarz otworzy usta w dowolnej sprawie, złakniona zdrowia opinia publiczna zaczyna słuchać w nabożnym skupieniu. Gdy zaś można gadać cokolwiek, a narody i tak klękają, to trudno wyzbyć się poczucia, że ma się dużo do powiedzenia po prostu dlatego, że się jest, kim się jest, a nie dlatego, że się coś przeczytało i przemyślało. Jakże trudno być złotym i skromnym!

JAN HARTMAN

eprasa.pl 4a128c0fe4

Lęk, który nosimy pod skórą

Z całej awantury wokół „Odysei" Christophera Nolana najbardziej rozśmieszyły mnie publiczne deklaracje znanych i nieznanych osób, że nigdy, przenigdy nie obejrzą tego filmu. Nie wpuszczą do swoich głów konia trojańskiego ideologii *woke*. Nie dadzą się mamić czarnoskórej Helenie. Nie pozwolą, by ich serca zmiękczał transpłciowy Elliot Page. Żywcem ich nie wezmą.

O ile wiem, na razie nikt nie zmusza do oglądania „Odysei", ale czujność oczywiście nie zawadzi. Kto wie, co jeszcze wymyśli lewactwo. Może w niedalekiej przyszłości zaczną wypłacać 800 plus dopiero po okazaniu „skonsumowanych" biletów na określone seanse? Marksizm kulturowy potrafi być podstępny. Nie zawaha się przed niczym, by przemeblować ludziom mózgi na modłę multikulti. Dziwię się tylko, że ci najprzenikliwsi, którzy odkryli niebezpieczeństwo i wyrzekli gromkie „No pasarán!", uczynili to na Facebooku.

Wystarczy przecież, że padnie infrastruktura krytyczna i zabraknie prądu, a już takiej deklaracji nikt nie uwzględni. Nie bacząc na nasze protesty, usadzą nas w kinowym fotelu z zawiązanymi z tyłu rękami, a górną powiekę przykleją skoczem do łuku brwiowego, żeby bez przeszkód sączyć swoje trucizny. Ja bym poszła z tym do notariusza, zawszeć to pewniej. Poświadczona notarialnie deklaracja woli w sprawie „Odysei" to byłby naprawdę mocny papier. Można by go nosić zawsze przy sobie na wypadek, gdyby lewackie bojówki urządziły obławę na tych, którzy jeszcze nie widzieli. Wyobraźmy to sobie: już nas mają, już wloką w kajdanach do najbliższego multipleksu, a my, cyk, wyciągamy zza pazuchy ratujący życie dokument i odchodzimy wolno, posyłając siepaczom szyderczy skurcz twarzy. Co za ulga, prawda?

> Nolan pokazuje, że z wojny się nie wraca i być może lepiej mają polegli. Bo zgliszcza i ruiny ruszają z nami „do domu".

A mówiąc poważnie, „Odysei" Nolana oglądać naprawdę nie trzeba. Wierzę głęboko, że każdy człowiek ma prawo niezależnie i samorządnie uczynić sobie krzywdę. Jednak tych, którzy lubią traktować samych siebie dobrze, zapewniam, że wybrać się na „Odyseję" warto. Bynajmniej nie jest to film o współczesnych wojnach kulturowych, jak pisano o nim przed oficjalną premierą. Obsada reprezentująca całą paletę kolorów skóry wypada w nim naturalnie i widz wolny od uprzedzeń w ogóle nie zatrzyma na tym uwagi. Tym bardziej że dzieło Nolana jest nie tyle ekranizacją eposu Homera, ile głęboką, angażującą wypowiedzią o człowieku i świecie, wyartykułowaną poprzez „Odyseję". Osobistym odczytaniem, a nie przekładem konkretnej opowieści z języka literatury na język filmu. Takie podejście jest zresztą zgodne z istotą mitów. Mity nie istnieją poza czasem; nie są domkniętą raz na zawsze opowieścią. Odradzają się nieskończenie wiele razy w swoich odczytaniach, gdy są opowiadane na nowo przez kolejne pokolenia. Nolan opowiedział „Odyseję" po swojemu, dla nas, jako nasz współczesny. Miał pełne prawo zrobić z nią wszystko to, co zrobił.

Jego film jest dziełem wielkiej wagi, nie wiem, czy nie jedynym takim w najnowszym kinie. Filmowe fabuły, przynajmniej te jakościowe, koncentrują się dzisiaj raczej na mikroświatach; obserwują z bliska osoby i relacje, analizują biografie i psychologizują, dorzucając ewentualnie kontekst społeczny albo „tło epoki". Filmy kręcone w tej formule bywają lepsze i gorsze, czasem nawet świetne, jednak samo to analityczne, ciasno kadrowane spojrzenie stało się w kinie czymś nużącym przez swoją powtarzalność. Jakby oglądało się wciąż tę samą historię, w której zmieniają się tylko szczegóły.

Sięgając po mit o powrocie Odysa spod Troi, Nolan uzyskał całkiem inną perspektywę, szeroką i uniwersalną. Poprzez historię mężczyzny, który u Homera przedstawia się jako Nikt, udało mu się opowiedzieć o wszystkich. Myślę, że dotknął naszego największego lęku. Nosimy go półświadomie pod skórą jak ból utraty, który wzbudzają swoim śpiewem syreny. Nolan też jest syreną, a ten lęk to lęk przed wojną. Przeczucie czy nawet już poczucie rozpadania się świata i gęstniejącego mroku. „Odyseja" właśnie dlatego wywiera tak wielkie wrażenie, że nas z tym wypieranym lękiem konfrontuje.

Dziesięcioletnie oblężenie Troi zakończyło się „sukcesem", czyli epicką rzezią, gwałtem i grabieżą. Odys czuje się winny, ponieważ to dzięki jego fortelowi z drewnianym koniem, z naruszeniem boskiego prawa gościnności, udało się złamać opór Trojan. Nolan pokazuje, że z wojny się nie wraca i być może lepiej mają ci, którzy polegli. Zgliszcz i ruin nie zostawia się za sobą, one wracają z nami „do domu". Domu też już nie ma, bo kto burzy jedno miasto, burzy cały świat, w tym swój własny. Ci, którzy uszli z życiem, umarli razem z tymi, których zabijali. Świat trwa jedynie dlatego, że wojna niczego nie uczy tych, którzy osobiście jej nie zaznali. Tylko nieświadomi mogą powrócić do dawnych wartości i odbudować to, co zniszczone, otwierając zarazem kolejny cykl destrukcji i powstawania z ruin. Odys u Nolana zdobył tę wiedzę, ale poza nią stracił wszystko.

RENATA LIS

eprasa.pl 4a128c0fe4

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

W numerze 31. z 2011 r., w okładkowym artykule „Strach krąży po Europie” Tomasz Walat, Marek Ostrowski i Wawrzyniec Smoczyński pisali o zbrodni, która wstrząsnęła światem. Co przeraża: 15 lat po tym akcie prawicowego terroru w polskim internecie nie brakuje komentarzy wyrażających podziw dla Breivika, jego przekonań i jego czynu.

„Jeden człowiek zabił prawie sto osób, sparaliżował rząd, wstrząsnął krajem i wystraszył pół świata. Podwójny zamach w Norwegii to zbrodnia nowych czasów, indywidualny akt terroru na niespotykaną skalę.

Swoją chorą rewolucję Anders Behring Breivik planował od trzech lat. To wtedy zaczął kompilować »Europejską Deklarację Niepodległości«, 1518-stronicowy manifest, w którym wykłada swoją mieszankę nienawiści do muzułmanów, potępienia dla wielokulturowości i złości na własne państwo. Dokument umieścił w sieci na kilka godzin przed podwójną zbrodnią. W ubiegły piątek Breivik najpierw wysadził samochód-pułapkę pod budynkami rządowymi w Oslo, zabijając osiem osób, a następnie przedostał się na maleńką wyspę Utøya, gdzie dokonał masowej egzekucji co najmniej 68 uczestników młodzieżowego obozu rządzącej Partii Pracy.

Największy zbrodniarz w historii powojennej Europy z zimną krwią położył trupem prawie setkę ludzi, krzycząc do nich »hej« i »dobranoc« na pożegnanie. Według świadków sprawdzał, czy strzały przyniosły efekt, a w razie potrzeby dobijał ofiary.

(...)

32-letni zamachowiec określa się sam jako konserwatysta i chrześcijanin. Kilka lat temu należał wprawdzie do młodzieżówki skrajnie prawicowej Partii Postępu, ale drugie co do wielkości ugrupowanie polityczne Norwegii nie jest bardziej radykalne niż partie rządzące do niedawna w Polsce pod wodzą Prawa i Sprawiedliwości. Sam Breivik opuścił młodzieżówkę, gdy zrozumiał, że nie zamierza ona zwalczać imigracji czynem. „Większość nowych twarzy w Partii Postępu to politycznie poprawni karierowicze, żadni idealiści, którzy byliby gotowi podjąć ryzyko dla osiągnięcia idealistycznych celów” – wyjaśnia w swoim manifeście.

Sam Breivik, członek wolnomularskiego zakonu templariuszy, uważa się za współczesnego krzyżowca, a motywem jego krucjaty jest walka z „islamską kolonizacją Europy” i „zalewem marksizmu kulturowego, czyli wielokulturowości”. Wyjątkowość tego zamachu polega nie tylko na tym, że sprawcą był rodowity Norweg, ale że obrócił się przeciwko własnemu państwu i własnym współobywatelom. Terroryzm, od dekady kojarzony z radykałami muzułmańskimi, stał się narzędziem w ręku chrześcijańskiego fundamentalisty, który za jego pomocą karze władze i młodzieżówkę partii rządzącej za prowadzoną politykę.

Breivik nie zabija imigrantów ani muzułmanów, których tak nienawidzi, tylko tych, którzy otwarli dla nich granice Norwegii. Czuje szczególną nienawiść do socjaldemokratów, a ich młodzieżową organizację nazywa *Stoltenbergjugend*. „Matkę kraju” – jak określa się często popularną byłą premier Gro Harlem Brundtland, która w dniu zbrodni odwiedziła młodzież na wyspie – nazwał „morderczynią kraju”. Obecny premier i przywódca Partii Pracy Jens Stoltenberg wielokrotnie przypominał w ostatnich dniach, że Utøya była jego młodzieńczym rajem. Dokonując rzezi na wyspie, Breivik chciał zgładzić przyszłą elitę władzy.

(...)

Breivika nie można zaliczyć do grona wykluczonych, z którego często rekrutują się sprawcy wielkich zbrodni. Jego ojciec obracał się kręgach władzy, był norweskim dyplomatą, matka pielęgniarką, oboje byli sympatykami Partii Pracy. Breivik mieszkał z matką, regularnie jadali razem niedzielne obiady. Miał pieniądze, przekazywał je ruchom skrajnej prawicy, przygotował się do zamachu, kupując gospodarstwo rolne, by móc niepostrzeżenie kupić duże ilości nawozów potrzebnych do zbudowania bomby, zresztą identycznej jak ta, którą McVeigh podłożył w Oklahomie. Przepis wziął z internetu.

(...)

Masowa imigracja i fiasko integracji to główne źródła napięć społecznych w Europie Zachodniej. Od Marine Le Pen we Francji, poprzez Geerta Wildersa w Holandii, aż po Jimmiego Akessona w Szwecji, w niemal każdym kraju rosną w siłę antyimigranccy populiści. Gdzieniegdzie są już w koalicjach rządzących, gdzie indziej pozostają w opozycji, ale wszędzie zyskują zwolenników. Przypadek Breivika ilustruje pośrednie zagrożenie ze strony prawicowego populizmu: gdy szaleńcy rozczarują się niespełnionymi obietnicami swoich partii, sami ruszają do działania”.

eprasa.pl 4a128c0fe4

Nie każdy lekarz to oszust

Gdyby jakiś ufoludek zaczął czytać polskie gazety, stwierdziłby, że od służby zdrowia lepiej trzymać się z daleka. Zwłaszcza w ostatnich miesiącach przekaz jest głównie taki, że lekarze: kradną, oszukują, zostawiają starszych pacjentów na parkingach i molestują pacjentki. Są też pazerni, cyniczni i niekompetentni. Rozumiem, że rolą mediów jest wskazywanie nieprawidłowości i odstępstw od normy. Nie oczekuję, że dziennikarze będą pisać o rzeszach kierowców, którzy szczęśliwie dojechali do domu. Prasa opisuje kraksy i kryzysy, bo takie jest jej zadanie. I to przyciąga czytelników, bo tragedie są zwyczajnie ciekawsze niż proza życia. Czasem jednak należałoby przemyśleć skutki nadmiaru negatywnych wieści. W przypadku ruchu drogowego ta „inklinacja negatywna" nie zaszkodzi, a bywa nawet korzystna. Może po lekturze ktoś zrobi przegląd auta, nie zapomni zapiąć pasów albo przesiądzie się na pociąg.

Wzbudzanie nieufności wobec lekarzy może być jednak brzemienne w skutki. Skoro są przedstawiani jako pazerne potwory, ludzie mogą zacząć ich unikać (Polki już i tak przerażająco rzadko chodzą do ginekologa). Albo jeszcze pogłębi to podział na bogatych, których stać na prywatną wizytę w miłej atmosferze, i biednych, którzy się nie badają i nie leczą bądź skazani są na lekarzy w niedofinansowanym NFZ. I u kiepskiego specjalisty, bo kto leczyłby za mniej, skoro w prywatnych placówkach zarobi więcej.

Era Judymów już odeszła (jeżeli kiedykolwiek trwała gdzie indziej niż na kartach powieści). Co wcale nie znaczy, że nie ma lekarzy z powołania, sumiennych i oddanych pacjentom specjalistów. Mam w rodzinie kilku i widzę, że wcale nie zarabiają kokosów. A pracują naprawdę bardzo ciężko. Pracują, kiedy większość z nas odpoczywa (rzadko który lekarz ma wolne i w święta, i w sylwestra). Pracują, nie patrząc na zegarek – nie mogą przecież wyjść w połowie zabiegu, bo „właśnie wybiła godzina". Pracują po pracy, bo kto nigdy nie wysłał do znajomego lekarza wiadomości z gatunku: „Zobacz, co mi tu wyrosło". Pracują na wakacjach, bo pytania: „Czy jest na sali lekarz?" nie padają tylko w filmach.

I nie jest to praca jak każda inna – nie stukają w klawisze, od czasu do czasu zerkając na instagramowe kotki. Lekarz musi być skupiony i odporny na stres. Pracuje na delikatnej materii ludzkiego zdrowia i emocji, a system, w którym działa, jest przeciążony i niedofinansowany.

I kiedy po długim dyżurze, na którym ktoś „mu" umarł (tak lekarze często mówią: „umarł mi pacjent"), ktoś się urodził, a ktoś inny miał pretensje, lekarz wraca do domu i czyta o tym, jak źli są lekarze, trudno nie zniechęcać się do zawodu. Zwłaszcza że każdy, kto skończył piekielnie trudne i długie studia, a potem nieustannie się dokształca, z łatwością mógłby robić co innego. Za naprawdę duże pieniądze.

Uważam, że nieprawidłowości należy piętnować, a winnych karać. Nie można tylko tracić proporcji – oszuści, owszem, zdarzają się. Ale większość lekarzy to naprawdę porządni ludzie. I znakomici specjaliści (każdy, kto, tak jak ja, mieszkał za granicą i bywał zbywany paracetamolem, wie, jak wysoki poziom mają lekarze w Polsce), których powinniśmy doceniać, bo inaczej nikt nie będzie chciał nas leczyć. Według mnie trzeba trochę zniuansować przekaz, żeby w tej fali krytyki nie wylać dziecka z kąpielą.

DOROTA

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl 4a128c0fe4

FELIETON

Sulej

Sprężynki

Buba to był bardzo kochany kotek. Piszę to ze świadomością, że wiele osób w Polsce pomyśli: wariatka, bezdzietna lambadziara, „w głowach się poprzewracało", „do czego ta cywilizacja zmierza", „dzieci rodzić!". Współczuję, widać nie zdarzyło im się nigdy zbudować bliskiej więzi ze zwierzęciem. Może nie chcą się zastanawiać nad swoimi emocjami albo się ich wstydzą.

Nie traktowałam Buby jako mojego dziecka, kotowatość w niej lubiłam i śledziłam. Znałam każde poruszenie pyszczka, każde miauknięcie, wszystkie sposoby patrzenia, leżenia, jedzenia, przychodzenia na głaskanie. Uczyłam się języka tego kocurka przez lata, a on uczył się mnie. Nie wiem, kim dla kogo byliśmy – ja i mój mąż. Rodzicami? Kotami? Kosmitami? To nie ma znaczenia, na pewno byliśmy dla siebie wzajemnie ćwiczeniem z inności.

Tyle złego wyrządzamy przyrodzie jako gatunek, że każda udana relacja człowieka ze zwierzęciem jest małym darem dla planety. Oczywiście czasem najlepsza relacja to zostawienie w spokoju, ale koty udomowiły sobie człowieka dosyć skutecznie i lubią relacje z tymi, których postanowią sobie wybrać. A my lubimy myśleć, że zwierzęta nas sobie wybierają, że widzą w nas kogoś dobrego, godnego zaufania. Kot, który do nas podejdzie, jest jak błogosławieństwo. Chce, to przy nas będzie, niew chce, to nie. Nawet w domowym kocim pupilu jest wolność, która co chwilę nas wybiera – albo nie.

> Tyle złego wyrządzamy przyrodzie, że udana relacja człowieka ze zwierzęciem jest małym darem dla planety.

Przeżyłam śmierć trzech naszych kotków. Nie żyły długo jak na kocie lata. Jeden zaledwie dwa, drugi i trzeci zmarły, kiedy miały około pięciu, sześciu lat. Tak, zmarły. W tym określeniu, które kulturowo przypisujemy ludziom, jest szacunek i tęsknota. W „zdychaniu" ich nie ma, bo tam jest pogarda dla zwierzęcego życia – kiedy człowiek ma „zdychać", to znaczy, że nim pogardzamy. Więc nie – chciałabym, żeby zwierzęta umierały, jako że i my nimi jesteśmy. Były tu przed nami, będą po nas i brak wywyższania się to jakieś minimum przyzwoitości. Zwierzęta mają kultury, o jakich nie mamy pojęcia, i kto wie, jakie my w tych kulturach zajmujemy miejsce.

Nie powinniśmy też dzielić zwierząt na przyjaciół domowych i na takie, które możemy sobie zjeść. Każde zwierzę, które nas polubi, może być naszym „pupilem" i dzielić z nami dom. Nie zawsze jest to dla niego dobre, tak jak nie byłoby raczej dobre dla nas mieszkanie w lesie z zaprzyjaźnioną rodziną lisów, ale chodzi tu raczej o możliwość. Kiedyś mieliśmy naturalnych wrogów, musieliśmy walczyć o życie i życie odbierać. Teraz nie musimy – możemy sobie pozwolić na luksus widzenia w zwierzętach potencjalnych przyjaciół. Im mniej będziemy zabijać dla zabawy, tym mniej zwierzęta będą się nas bać, tym lepiej na tej planecie będzie wszystkim, nie tylko „szalonym" ekologom i wegetarianom.

To nie naiwność, lecz zwykła logika. Jeśli zwierzęta zaczyna się poznawać, a całkiem nieźle studiuje się to na takim delikwencie, który dzieli z tobą dom, coraz trudniej zgodzić się z tym, że zwierzęta są jakieś inne. Poczyniliśmy to kulturowe założenie na podstawie arbitralnych przekonań i własnej wygody. Zdecydowaliśmy, że zwierzęta mają się nam przydawać, jak narzędzia. Stąd te głosy: „Kto to widział, żeby się ze zwierzęciem tak cackać". Wielu widziało i się cackało. Takie „cackanie" nie zbliża nas do „szaleństwa", lecz do przyrody. Może czasem okrężną drogą, przez nieporadne słowa jak „byty nieludzkie" i „osoby zwierzęce", ale chodzi o prostą sprawę, o to, co napisałam na początku o Bubie – ten świat ożywiony, którego jesteśmy częścią, jest po prostu kochany, kochany, kochany.

W internecie popularne są memy z kotkami, filmiki ze zwierzętami w ogóle. Jesteśmy potwornie zmęczeni tzw. cywilizacją – wszyscy, nie tylko lambadziary i „wariatki" od kotków i piesków. Zwierzęta przypominają nam, że mamy ciała, potrzebujemy dotyku, spokoju, uwagi, odpoczynku, snu, ratują nas przed potworną cyborgizacją, przypominają, że jesteśmy śmiertelni, że mamy w sobie dzikość – co nie oznacza brutalności i zabijania siebie nawzajem, lecz właśnie życie w harmonii z czasem i przemijaniem.

Tak się lubimy chwalić, że mamy świadomość, że to czyni nas, jak sugerują rozmaite religie, bliższymi Boga. Ale co z nią robimy? Czym jest ten Bóg, którego świadomość wyprodukowała? Ja wolę zgłębiać kotowatości, psiowości i inne zwierzęcości, jakie tylko będą mi dane. Buba rozumiała, że przynoszenie sprężynek sprawi, że będę jej je rzucać, a ona będzie przynosić mi je z powrotem; rano przychodziła się witać na kilkuminutowy rytuał; mówiłam do niej po ludzku, a ona odpowiadała po kociemu i obie strony miały wrażenie zrealizowanej konwersacji – gdzieś w tym wszystkim jest Bóg albo przynajmniej nadzieja, że granica między naturą a kulturą to jakiś wymysł, że powinny być inne słowa, inne poszukiwania, inna wspólnota, inna planeta. Może to właśnie ten utracony raj.

KAROLINA SULEJ

eprasa.pl 4a128c0fe4

TREND

Co się gniecie

Repliki tabliczek czekolady, kostek masła i chińskie pierożki – to nowe ulubione zabawki dorosłych. I hity letnich straganów.

Ludzie wiercą się od początku dziejów, ale dopiero teraz przedmioty do ugniatania, uciskania i miętoszenia przeżywają renesans. Zaczęło się od „fidget spinnera" – zabawkowego śmigiełka wyposażonego w łożysko, które można obracać w dłoniach, a nawet robić z nim różne sztuczki. Właśnie ten aspekt „popisywania się" odróżnia współczesne gniotki i „wiercidełka" od klasycznych przedmiotów zajmujących dłonie, jak antystresowe kulki czy automatyczne długopisy. Spinnery nie tylko pozwalały się odstresować, ale można je było pokazywać w filmikach na YouTube.

Związek gadżetów-fidgetów i techniki jest niezwykle ciekawy. Współczesne przenośne gry wideo wzięły się z obserwacji znudzonych japońskich biznesmenów, którzy w latach 70. zajmowali dłonie bezmyślnym klikaniem w przenośne kalkulatory. Wychodząc naprzeciw, firma Nintendo stworzyła serię konsolek Game & Watch (znanych w Polsce z podróbek radzieckiego kombinatu Elektronika jako „ruskie jajka"), a potem GameBoya, pradziadka dzisiejszych smartfonów. Kolorowe ikonki na ekranie iPhone'a aż zachęcają, żeby w nie klikać – przypominają przez to inny gadżet, silikonowe bąbelki **Pop-It**, których popularność eksplodowała kilka lat temu.

Michał R. Wiśniewski – pisarz, publicysta, specjalizuje się w kulturze popularnej i cyfrowej oraz we współczesnych obyczajach. Autor powieści „Jetlag", „God Hates Poland" i „Hello World", a także książek „Wszyscy jesteśmy cyborgami. Jak internet zmienił Polskę", „Zabójcze aplikacje. Jak smartfony zmieniły nasz świat" i „Zakaz gry w piłkę. Jak Polacy nienawidzą dzieci".

Zabawa nimi może przywodzić na myśl przekłuwanie folii bąbelkowej, ale źródło pomysłu leży gdzie indziej. Przyśnił się w 1975 r. Ori Coster, która wraz z mężem wynalazła ponad 190 gier (takich jak popularna „Zgadnij kto to?"). Pierwsza wersja była wykonana z gumy i nie była taka przyjemna w użyciu. Do pomysłu powrócono po latach, gdy dostępne były dużo lepsze materiały. Barwne bąbelki idealnie nadawały się do pokazywania w tiktokowych filmikach, dzięki atrakcyjnym kolorom i przykuwającym uwagę dźwiękom. Pojawiła się masa tanich podróbek – na letnich straganach można dostać je w dowolnym kształcie, np. ciągle modnych kapibar czy bohaterów kreskówek.

Pop-it jest więc „bezpiecznym" zamiennikiem zabawy smartfonem, ale popularność zdobył dzięki sieci. Podobnie jak inne zabawki sensoryczne – galarety, glutki („slime") i gniotki („squishy"). Szczególnie te ostatnie idealnie nadają się do komercjalizacji i wywoływania trendów – mogą przyjmować przeróżne formy. Od maskotek, poprzez urocze wersje deserów, aż po zupełnie realistyczne obiekty. Takie jak najmodniejsze w tym sezonie orzeszki ziemne, **kostki masła** i tabliczki czekolady. A także słodziutkie chińskie pierożki we wszystkich kolorach tęczy, pakowane w plastikowe repliki charakterystycznych bambusowych koszyczków do gotowania na parze. Źródłem wiedzy o tym, co jest na fali, są oczywiście tiktokowe influencerki i szkolna poczta pantoflowa.

Kolejną „techno falą" w przemyśle miętoszenia okazał się druk 3D – złożone z plastikowych, naturalnie grzechoczących modułów zwierzątka albo transformujące piramidki. Można znaleźć je wszędzie tam, gdzie sprzedaje się rękodzieło. Np. na konwentach anime. Na targowisku w Szanghaju widziałem nawet stoisko, gdzie wydruk 3D odbywał się na bieżąco.

Moda na sensoryczne zabawki nieprzypadkowo zbiegła się w czasie ze zwiększoną świadomością neuroróżnorodności, zwłaszcza ADHD i spektrum autyzmu. Coraz częściej pojawia się zrozumienie dla potrzeb uczniów, którzy czasem muszą się powiercić, żeby lepiej się skoncentrować. Producenci zabawek wpisali się w tę narrację – wspomniane gadżety były reklamowane jako narzędzia pozwalające się skupić. Eksperci uważają jednak, że o ile dzieci z ADHD potrzebują ruchu i używają zabawek sensorycznych do samoregulacji, o tyle kręcenie bączkiem w dłoni często sprawia, że poświęcają uwagę jedynie tej czynności. Ważniejsze są przerwy, gdzie ruchu doświadcza całe ciało.

A wśród zabawek można znaleźć też breloczki z kilkoma klawiszami prosto z klasycznych klawiatur mechanicznych. Stawiają opór, mają głośny klik. Być może pokoleniu ekranów po prostu brakuje dotyku, którego nie daje zimna szybka telefonu czy tabletu. ■

© MP

eprasa.pl 4a128c0fe4

WIRAL

W kupie siła

Fala – nomen omen – protestów z wykorzystaniem sztucznej krwi chyba już za nami. Teraz aktywiści w Polsce używają sztucznych fekaliów, a na celownik biorą głównie celebrytów. **Ruch Klimatyczny Jazda!** potraktował brunatną substancją dom („rezydencję") i sklepy należące do Angeliki Trochonowicz, znanej w sieci jako Andziaks, i jej męża. Oberwało również mienie Małgorzaty Rozenek-Majdan i Radosława Majdana oraz kebabownia Filipa Chajzera czy restauracja Kuby Wojewódzkiego. A na tym się zapewne nie zakończy. Performens odbywa się pod hasłem: „Elity posrało – czas po sobie posprzątać!". Przez „posrało" należy rozumieć dostatni styl życia, którym celebryci epatują w sieci i realu. Luksusy, wycieczki do Dubaju, drogie samochody, takież kosmetyki... „Ta kupa symbolizuje ich wkład do polskiego społeczeństwa. Arogancko promują skrajnie konsumpcyjny styl życia", piszą aktywiści w liście manifeście. Jak dodają, 62 proc. bogactwa należy w Polsce do 10 proc. ludzi, a 5 proc. najbogatszych odpowiada za 23 proc. emisji CO_2. Piętnują też sharenting, czyli dzielenie się w social mediach intymnością własnych dzieci. Listy zostawiają w „miejscach zbrodni" i grożą, że jeśli nie dotrą, to chętnie doręczą je ponownie.

Grupę tworzą m.in. dawni członkowie Ostatniego Pokolenia, które w kwietniu zakończyło działalność i już ma następców. W socialach wyliczają swoje postulaty: zbiorkom zamiast ekspresówek, wspólny bilet miesięczny za 50 zł i „tiry na tory". Chodzi m.in. o tańsze bilety i przekierowanie środków publicznych z budowy autostrad na kolej, czyli lex Ostatnie Pokolenie, projekt Lewicy, który powoli przechodzi przez proces legislacyjny. „Lex Jazda" pasowałoby nawet bardziej.

Grupa nie budziła większych emocji, gdy edukowała i dyskutowała. Fekaliami zwróciła na siebie uwagę i ściągnęła krytykę. „To się kupy nie trzyma", komentuje ktoś w sieci. Ktoś inny pyta, czy aktywistom skończył się klej (bo kiedyś przyklejali się do dróg). A im samym pewnie w to graj. Taki jest sens performensu i protestu, ma wpędzać w dyskomfort, emocjonować i zniesmaczać. Algorytmy też to lubią, im więcej wzmianek, tym lepiej dla sprawy. W kupie siła.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

SŁOWO

Opowieści krypne

Słowo „krypny" mignęło mi w którymś z seriali. Najpewniej **„Margo jest spłukana"**, choć ważniejsze niż to, gdzie trafiło, jest to, że w ogóle przeszło z zabawnego anglicyzmu wracającego na forach dyskusyjnych na poważną listę dialogową. Od dawna zresztą widnieje w bazie tłumaczeń dialogów prowadzonej przez Marzenę Falkowską (projekt nazywa się „Napisy z charakterem"), oczywiście jako odpowiednik angielskiego *creepy*, bo tym dokładnie jest – próbą zrekompensowania braku w polszczyźnie określenia na uczucie z okolic niepokoju, dziwności, przerażenia i dyskomfortu, a najczęściej wszystkiego naraz. A ponieważ *creepy* to przymiotnik, krypny – mimo kalkowania brzmienia oryginału – wydaje się znakomitym zamiennikiem. Od lat.

Już dawno temu Paweł Opydo na platformie X pisał: „Jaram się słowem »krypny«. Brakowało w języku polskim jakiegoś odpowiednika »creepy«". Potem zachwycano się w ten przewrotny sposób jedną z gier wideo („ale to »Black Myth Wukong« krypne!"), a dwie użytkowniczki platformy dyskutowały: „Creepy nie ma polskiego odpowiednika (»obmierzły« to nie to samo), a ile wyraża". „W polszczyźnie już niektórzy używają »krypny«. Ewidentnie jest potrzeba w narodzie".

W jaki sposób na tę potrzebę odpowiadano? Rzuciłem się w wir poszukiwań, za sprawą internetowej wyszukiwarki szybko lądując na blogu Zpopk (Zwierza Popkulturalnego, czyli Katarzyny Czajki-Kominiarczuk), gdzie niemal 10 lat temu pod notką o filmie „Pasażerowie" z Jennifer Lawrence jedna z dyskutantek (Catus Geekus) rzuciła: „Film był miejscami ewidentnie krypny, nie przeczę".

A ponieważ *creepy* to momentami ten rodzaj dziwności, który towarzyszy naszym kontaktom z AI, muszę dodać jedno: komentarz na blogu wskazało mi Google w swoim przeglądzie AI, który wciska wszystkim i który potrafi przekręcić dosłownie wszystko: krypne uznał za skrót słowa kryptonim, a nazwę bloga Zpopk rozwinął jako „Z Popkultury w Kuchni". Z halucynującymi chatbotami, na których zaczyna się opierać ten świat, jest tak krypnie, że to się rypnie.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Jestem w mieście największym kozakiem, bo wpisałem kody,
Policjant nie złapie, mam z plecakiem system rakietowy
White 2115, Palar, VVSimon, To coś, 2026 r.
kody – sposób obejścia ograniczeń w grze. W popularnym „GTA 5" można w ten sposób zdobyć np. plecak odrzutowy

eprasa.pl 4a128c0fe4

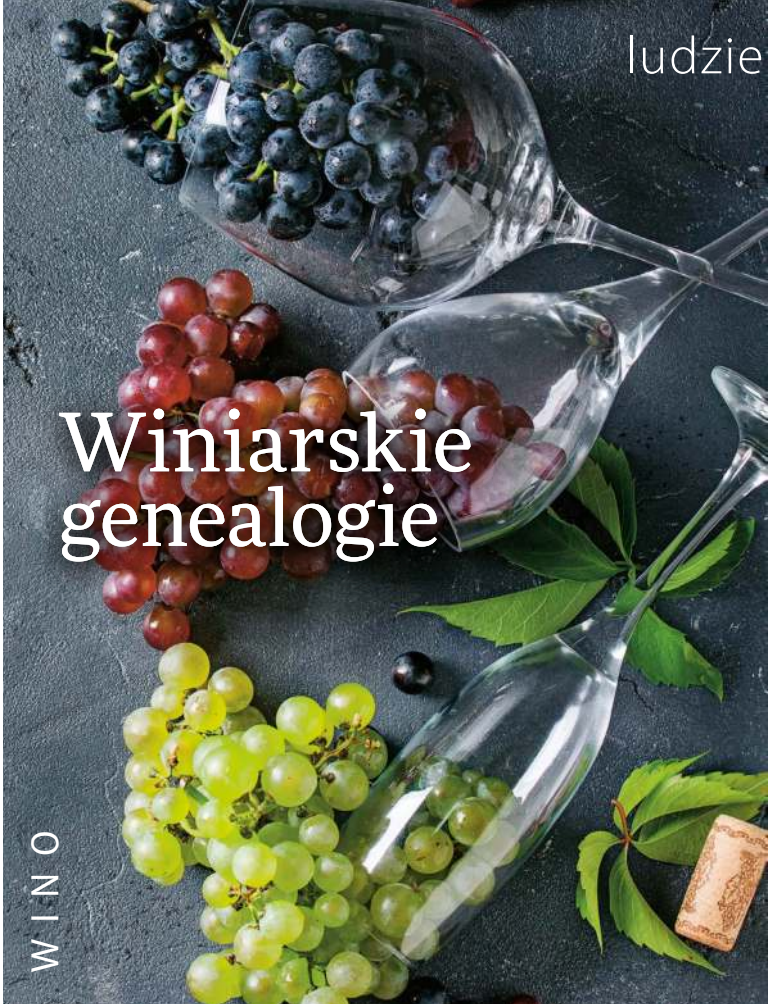

Winiarskie genealogie

WINO

O smaku wina decydują... geny.

Na Węgrzech nowy rząd pracuje pełną parą. Ale winiarze mają ważniejsze sprawy. Flagową rodzimą odmianę winogron – furminta – odnaleziono... w Turcji (pod nazwą kolorko). Sensacyjne odkrycie naukowców wprawiło producentów w konsternację. Mniejszy problem, gdyby okazało się, że nad morze Marmara furmint zawędrował z Tokaju. Gorzej, jeśli to Turcy zawlekli swoją własną odmianę na Węgry, gdzie przecież uważana jest za rdzenną, wręcz patriotyczną.

Szczepy winogron to gorący temat z dwóch względów. Po pierwsze, użyta odmiana decydująco wpływa na smak wina. Różnica między takim rieslingiem a – dajmy na to – grüner veltlinerem, uprawianymi na tej samej działce i robionymi w identyczny sposób, jest ewidentna nawet dla niewprawionych degustatorów. A dwa rieslingi z zupełnie innych miejsc będą miały wiele cech wspólnych. Konsumenci o tym wiedzą i dlatego przy zakupach szukają na etykietach znanych sobie nazw – 10 najbardziej popularnych odmian odpowiada za 40 proc. sprzedaży, tysiące pozostałych muszą zadowolić się resztą.

Po drugie, dziś w winiarstwie mamy erę lokalności. Z mody wyszły tzw. odmiany międzynarodowe, czyli np. cabernet sauvignon, uprawiane pod każdą szerokością geograficzną, natomiast poszukiwane są te rdzenne, „autochtoniczne", jedyne w swoim rodzaju. Dlatego nawet na te niemal wymarłe chucha się i dmucha, bo nigdy nie wiadomo i wśród zapomnianych krzaczków może kryć się jakiś przyszły winiarski Yamal. A ręce pełne roboty mają badacze zajmujący się ampelografią, czyli nauką o szczepach winorośli właśnie.

Turcja na nagłówki winiarskich gazet trafiła już parę lat temu, gdy najbardziej znany ampelograf – prof. José Vouillamoz ze Szwajcarii – oznaczając markery DNA innej tureckiej odmiany, çal karası, odkrył, że jest ona tożsama z greckim liátiko. Niby nic dziwnego, że na obszarze, gdzie od stuleci styka się i ściera cywilizacja grecka z turecką, pod różnymi nazwami występuje ten sam szczep. Ale dla winiarskiej polityki to spory problem, bo przecież i jedni, i drudzy dumnie dotąd utrzymywali, że od stuleci uprawiają swoje unikatowe odmiany, niemające nic wspólnego z barbarzyńcami z drugiej strony Morza Egejskiego...

Na świecie uprawia się dzisiaj ok. 15 tys. odmian winorośli szlachetnej. Rekordzistką pod względem ampelograficznych zasobów jest Gruzja, gdzie zarejestrowano ich przeszło 540; kopalniami autochtonów są też Italia, Chorwacja, Portugalia, Grecja. W krajach północnych, z Francją na czele, listę odmian przykrojono natomiast i zracjonalizowano po epidemii filoksery w XIX w., gdy wybite przez tę mszycę winnice trzeba było na nowo obsadzić. Wtedy zrezygnowano z ważnych w historii odmian takich jak gouais blanc (przodek dzisiejszych klasyków takich jak chardonnay) i postawiono na kilkunastu liderów jakości, np. merlota, który notowany jest zaledwie od 250 lat. Z kolei taki pinot noir uprawiany jest co najmniej od 1500 lat.

Ustalanie historii odmian winorośli zamienia się niekiedy w iście detektywistyczne przygody. Najbardziej znany jest przypadek zinfandela, uważanego dawniej za rdzenną odmianę z Kalifornii. W latach 70. okazało się jednak, że do Złotego Stanu przywiózł go węgierski hrabia Agoston Haraszthy, który pozyskał go z ogrodu botanicznego w Wiedniu, gdzie gromadzono sadzonki wszystkich odmian uprawianych w Austro-Węgrzech. W 1994 r. pionierskie badanie DNA wykazało, że zinfandel jest tożsamy z włoskim primitivo. Śledztwo trwało jednak dalej, bo primitivo nie jest spowinowacony z innymi szczepami z włoskiej Apulii, gdzie jest dziś popularny, za to ma ważnego krewnego w... Chorwacji (plavac mali). Po zbadaniu 148 różnych odmian natrafiono wreszcie na protoplastę zinfandela vel primitivo – crljenak kaštelanski, którego ostatnie egzemplarze rosły w winniczce nieopodal Splitu...

Ile takich niespodzianek jeszcze przed nami? ■

Wojciech Bońkowski
– dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

Marani Qvevri Saperavi, 52 zł (winanawidoku.pl)
Winnice Kojder Souvignier Gris, 99 zł (winnicekojder.pl)
Seghesio Sonoma County Zinfandel 2023, 169 zł (mielzynski.pl)
Paşaeli Kolorko 2025, ok. 15 euro (internety zagraniczne)
Zlatan Otok Makarska Crljenak Kaštelanski 2021, ok. 30 euro (internety zagraniczne)

© MP (2), GETTY IMAGES

eprasa.pl 4a128c0fe4

EGIPT: reżim, którego nie widać

Paradoksalnie, najbiedniejsza tu jest południowa część kraju, gdzie znajdują się niemal wszystkie luksusowe kurorty. Zza ich bram trudno jednak dostrzec prawdziwe problemy Egipcjan.

Liczące niemal 5 tys. lat piramidy i budowane od zera nowoczesne inteligentne miasta na pustyni. Zadowolone tłumy wypoczywające na plaży, pluskające się w basenach i w ciepłym morzu, a tuż obok Egipcjanie gnieżdżący się w chatkach skleconych z kawałków blachy i desek wyrzuconych przez morze. Jeżeli mają kozę, mieszka z nimi. Witajcie w kraju kontrastów.

Egipt inwestuje w turystykę od dawna. W latach 90., kiedy Hurghada i Sharm El Sheikh na Synaju były już popularne wśród turystów z Europy i przynosiły ogromne dochody, władze podjęły decyzję o przekształceniu niewielkiej osady rybackiej Marsa Alam w kolejny kurort. Głównym inwestorem była rodzina Al Kharafi z Kuwejtu. W krótkim czasie w regionie powstały hotele i kompletna infrastruktura. Przełomem dla turystycznego rozwoju tej części wybrzeża stało się otwarcie międzynarodowego lotniska w 2003 r., oddalonego o 60 km od miasta Marsa Alam. Hotele ciągną się tu wzdłuż wybrzeża, od lotniska aż do miasta. W ostatnich latach Kuwejtczycy wybudowali tuż przy lotnisku luksusowy kurort Port Ghalib. A w nim: hotele, apartamentowce, marinę na tysiąc jachtów, wille, centra konferencyjne, sklepy i restauracje. Całość inwestycji szacowana jest na 2 mld dol. W Port Ghalib powstaje też polskie osiedle Larimar Luxury Villas. Inwestor oferuje na sprzedaż apartamenty od 69 tys. euro.

Agnieszka Sowa – dziennikarka działu społecznego POLITYKI. Pisze m.in. o niepełnosprawności, ochronie zdrowia, prawach zwierząt i prawach reprodukcyjnych. Nominowana do nagrody Grand Press (2017 r.) w kategorii publicystyka za tekst „Życie poza życiem". Laureatka Grand Press (2020 r.) w kategorii publicystyka za tekst „Zwierzę przemysłowe".

Budowanie od zera to w tym kraju dość powszechna praktyka. Na pustyni, ok. 45 km na wschód od przeludnionego Kairu (to największa metropolia na kontynencie afrykańskim), powstaje od podstaw megamiasto – **Nowa Stolica Administracyjna**. Ultramodernistyczne, w którym mają stanąć najwyższe budynki w Afryce. A do tego – gigantyczne parki i specjalna linia kolei jednoszynowej łączącej je ze starym Kairem, który dziś pęka w szwach. Głód mieszkaniowy w stolicy sprawił, że w historycznej nekropolii, Mieście Umarłych u podnóża wzgórz Mokattam, zaadaptowano dawne mauzolea i grobowce. W niektórych z nich są okienka, świetliki, więc zawieszono w nich firanki. Do niektórych nowi mieszkańcy podciągnęli wodę i prąd. Posadzili drzewka, porobili altanki i ogrodowe ławki.

Egipt od lat jest krajem, do którego najchętniej podróżują Polacy. W zeszłym roku nad Morze Czerwone wybrało się tam ponad milion naszych rodaków (a także 16 mln innych zagranicznych turystów). Słoneczny sezon trwa w Egipcie praktycznie cały rok, temperatura wody w Morzu Czerwonym rzadko spada poniżej 24 stopni, choć od grudnia do marca może nie być tak przyjemnie. Jest stosunkowo tanio i blisko, a większość hoteli oferuje tak lubianą przez rodaków opcję *all inclusive*.

Dużą grupę odwiedzających Egipt Polaków stanowią nurkowie, bo Morze Czerwone ma jedne

eprasa.pl 4a128c0fe4

z **najpiękniejszych raf na świecie**. Sharm el Sheikh daje możliwość nurkowania na rafach Parku Narodowego Ras Muhammad. Dahab to przede wszystkim słynna Blue Hole, dosłownie okrągła dziura w rafie, pionowa jaskinia podwodna o głębokości 102 m, której ściany opadają pionowo w głąb morza, tworząc ogromny naturalny szyb otoczony rafą koralową. Studnia ma średnicę 60 m. Na głębokości 52 m w jej ścianie znajduje się przejście do otwartego morza. Tunel ma 26 m długości, a miejsce, w którym łączy się z otwartym morzem, przypomina bramę – nazwano ją „The Arch" (z ang. łuk). Raj dla nurków i freediverów (nurkujących bez butli, na wstrzymanym oddechu) i niestety także cmentarz dla wielu z nich.

Zarówno nurkujący, jak i rodziny spędzające wakacje w hotelach *all inclusive* najczęściej znają tylko Egipt turystyczny. Egipską biedę (ponad 33 proc. populacji żyje poniżej granicy ubóstwa) widzą z okien klimatyzowanych autokarów i busików wiozących ich do portu czy na zorganizowane wycieczki. Z Sharm el Sheikh na górę Synaj i na pustynię, z Hurghady i Marsa Alam do Luksoru, a także do Doliny Królów, Kairu, Gizy. Autokary zwalniają przy wojskowych posterunkach na rogatkach każdej miejscowości i przed każdym lotniskiem. Jedyny widoczny dla turystów znak, że odpoczywają w państwie autorytarnym.

Władza wykonawcza koncentruje się w rękach prezydenta Abdela Fattah el-Sisiego, wojska oraz służb bezpieczeństwa. Obecny prezydent rządzi od 13 lat. W lipcu 2013 r. wojsko odsunęło od władzy poprzedniego, Mohameda Mursiego, związanego z islamistycznym Bractwem Muzułmańskim. Był jedynym prezydentem kraju wybranym w wolnych wyborach i jedynym na tym stanowisku cywilem. Bo armia rządziła Egiptem już wcześniej – od 1952 r., kiedy grupa wojskowych obaliła monarchię króla Faruka. Od tego czasu wojsko stało się najważniejszą siłą polityczną, a wszyscy prezydenci poza Mursim wywodzili się z armii. Pierwszy, Gamal Abdel Naser był oficerem, po nim rządził Anwar Sadat, również były oficer. I wreszcie Hosni Mubarak, były dowódca sił powietrznych Egiptu. W latach 2011–12, po rewolucji arabskiej, władzę tymczasowo sprawowała Najwyższa Rada Sił Zbrojnych. Potem były pierwsze, i jak na razie ostatnie, wybory prezydenckie – wygrał je wspomniany Mursi, ale po roku go obalono.

Formalnie Egipt jest republiką prezydencką; ma konstytucję, parlament. Jednak większość organizacji zajmujących się prawami człowieka oraz wielu politologów określa obecny system jako autorytarny reżim z dominującą rolą wojska lub reżim wojskowo-autorytarny, ponieważ armia ma decydujący wpływ na politykę, opozycja jest silnie ograniczana, media i internet podlegają kontroli, tysiące przeciwników politycznych zostało zatrzymanych lub skazanych, a wojsko kontroluje znaczną część gospodarki, również bazę hotelową.

Masowe protesty uliczne praktycznie się nie zdarzają. Władze wymagają zgody na organizację zgromadzeń, a nielegalne demonstracje są szybko rozpędzane; uczestnicy narażają się na zatrzymanie i proces. Niezadowolenie przeniosło się do internetu, choć także tam państwo prowadzi intensywny nadzór. Krytyczne wpisy w mediach społecznościowych prowadzą do postępowań karnych. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego wzywa na przesłuchania aktywnych użytkowników social mediów, nawet jeśli nie publikują treści politycznych. Tancerki czy tatuatorzy reklamujący swoje usługi na portalach społecznościowych są aresztowani, sądzeni, a potem skazywani nawet na kilkuletnie wyroki więzienia pod zarzutem obrazy moralności czy „podważania wartości rodzinnych egipskiego społeczeństwa". Według Human Rights Watch w ub.r. między lipcem a sierpniem aresztowano 29 osób. Jedną z nich była 16-letnia tancerka Nur Tufaha oskarżona o zamieszczanie „nieprzyzwoitych" nagrań i skazana na dwa lata więzienia za „promowanie zepsucia i występku".

Najgorzej traktowani są jednak więźniowie polityczni. Jak Mohamed Adel, jeden z liderów Ruchu Młodzieży 6 Kwietnia, który odegrał ważną rolę podczas rewolucji w 2011 r. Aresztowano go w 2018 r. i oskarżano o działalność przeciwko państwu oraz rozpowszechnianie fałszywych informacji. Amnesty International twierdzi, że jest przetrzymywany arbitralnie, i wskazuje na przypadki przemocy wobec niego w więzieniu oraz odmowę odpowiedniej opieki medycznej.

Egipskie władze często stosują praktykę określaną jako „rotation" (arab. *tadwir*). Polega ona na tym, że gdy kończy się okres aresztu lub kara więzienia, prokuratura wszczyna nową sprawę z bardzo podobnymi zarzutami (np. „rozpowszechniania fałszywych informacji" lub „wspierania organizacji terrorystycznej"), co pozwala trzymać daną osobę w więzieniu przez kolejne lata. Galal El-Behairy, poeta i autor tekstów piosenek, odbył już zasądzoną karę, mimo to pozostaje w więzieniu na podstawie kolejnych postępowań.

Do tego dochodzi korupcja na wszystkich szczeblach administracji państwowej. Nadużywanie stanowisk publicznych, nepotyzm, ograniczona przejrzystość działań instytucji państwowych. Szczególnie narażone na korupcję są sektory zamówień publicznych, budownictwa, administracji lokalnej oraz niektórych usług publicznych. Reżimowa władza tłumaczy kontrolę obywateli, internetu i mediów ochroną bezpieczeństwa narodowego, walką z terroryzmem oraz utrzymaniem stabilności państwa. Jest to oficjalna narracja rządu od czasu objęcia władzy przez Abdela Fattah el-Sisi w 2014 r. ■

© SHUTTERSTOCK (2), LESZEK ZYCH

eprasa.pl 4a128c0fe4

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

PiS: rekonfiguracja

Czy wieści o śmierci Prawa i Sprawiedliwości są przedwczesne? **Nawet gdyby PiS się rozpadł, na polskiej scenie politycznej dojdzie niechybnie do rekonfiguracji – twierdzi prof. Tomasz Słomka (UW), gość wideokastu „Polskie demo" POLITYKI i Fundacji Batorego.** Czy Mateusz Morawiecki stworzy nowe obrotowe centrum prawicowe, jak się na to zapatrują obie Konfederacje i prezydent Karol Nawrocki – o tym w naszej rozmowie.

Co szykuje Putin

Czy i kiedy Rosja zamierza zaatakować inny kraj w Europie? W podkaście „Świat na zakręcie" odpowiada Jacek Siewiera, analityk Atlantic Council, podpułkownik rezerwy Wojska Polskiego, szef BBN w latach 2022–25.

Czy może to być atak chemiczny lub radiologiczny? Prof. Siewiera prowadzi prace nad systemem wczesnego ostrzegania przed tego rodzaju uderzeniami. Z rozmowy dowiecie się, czy jesteśmy gotowi.

Donos za lemoniadę

Dziecko sprzedaje przed domem własnoręcznie zrobioną lemoniadę. Ktoś dzwoni po straż miejską. Mundurowi przyjeżdżają na miejsce, ale zamiast likwidować stoisko, wykupują towar. Ta historia obiegła Polskę i wywołała zaskakująco poważne dyskusje, nie zawsze też kończy się tak dobrze. **Komu przeszkadza wakacyjna praca dzieci? O „aferach lemoniadowych" pisze na polityka.pl Zbigniew Borek.**

Pierwszy rower

Jak dobrać pierwszy rower? Czy metoda kija i czterech kółek ma jeszcze sens? Dlaczego rowery dla dzieci są zwykle za ciężkie? Wszystkie te kwestie rozstrzygają goście podkastu „Rowery, nie bajki": Piotr Jarosławski (z firmy Woom) i Krzysztof Wieczorek (Orbea), na co dzień konkurenci, którzy w naszym studiu mówią jednym językiem. „I bardzo mądrze", zachęca Juliusz Ćwieluch, który tę rozmowę prowadzi.

612 książek w 10 lat

W serii „POLITYKA o książkach" Justyna Sobolewska odpytuje tym razem Agatę Romaniuk, pisarkę, autorkę powieści i popularnego cyklu dla dzieci „Kocia Szajka". Ile książek da się przeczytać w 10 lat? Romaniuk dekadę temu wróciła do Polski z Australii i zaczęła nadrabiać zaległości. Nam opowiada, co ją zachwyciło i które polskie powieści zasługują na ekranizację. Czy producenci nas słyszą?

© LESZEK ZYCH (4), MAREK BAZAK/EAST NEWS

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 4a128c0fe4

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 4a128c0fe4

ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE
OKNA I DRZWI I FASADY I OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE I PERGOLE
AMBASADOR
Szymon Marciniak
Granice?
Tylko te, które sam wyznaczasz.
To Twój wybór.
Panoramiczne drzwi przesuwne MB-Skyline Type S